

Krystyna Januszewska

Dolina Motyli

Zbliżenie na ekran, napisy.

Piękny widok na zieloną łąkę, na las, na kilka domów stojących w dolinie nad potokiem.

Kamera prowadzi widza wzdłuż drogi, gdzie zza drzew wylania się kopuła starego kościoła, dach spalonej stodoły, zakład kamieniarski Szymona.

Potem zjeżdża niżej przez malinową łąkę, drogą przez wieś, na samo dno Doliny Motyli.

JOASIA ZALEWSKA

Stoi w oknie, widać tylko jej prawy profil, jasne włosy ściągnięte czarną gumką i zwinięte w gruby rogalik. Za oknem bloki, w oddali przystanek tramwajowy i tłum czekających ludzi.

*Ma parapecie obok doniczki z kwiatkiem zdjęcie psa, podpisane:
Rozalka. Kręcimy pierwszą scenę.*

Pamiętam nasz dom. Stał na zboczu pagórka, pod samym lasem. W tym domu czułam się wolna jak ptak i bardzo szczęśliwa. Bo jak inaczej można się czuć, kiedy świat wokół taki piękny, a nogi same niosą na łąki, do lasu, nad staw. Rozsadzała mnie energia, nie starczało czasu na bycie dobrą córką i przykładną dziewczynką. Było tyle do zrobienia. Stary strych mieścił w sobie sekrety dawnych mieszkańców, stodoła sąsiadów, którzy wyprowadzili się do miasta, była pełna tajemnic, duchów i lokatorów mieszkających w jej ciemnych zakamarkach. Czereśnia o rosochatych konarach, szerokich jak autostrada, zapraszała co dzień do towarzystwa. Rozebrany częściowo piec do wypieku chleba, gdzie trzymałam swoje skarby, kusił przytulnym kątem, a pola, a potok za domem! Na to wszystko dzień był za krótki. Wracałam do domu z wypiekami, pełna wrażeń. Trzeba było mnie uciszać przy stole, bo miałam zbyt dużo do powiedzenia. Razem ze mną wracał pies. Wierna Rozalia nie odstępowała mnie na krok.

Uwielbiałam Bielinek i piękną Dolinę Motyli, nad którą co roku, nie wiadomo dlaczego, przyfruwała chyba największa w świecie ilość bielinków. Właśnie od nich powstała nazwa wsi, w której mieszkaliśmy. Dolina ciągnęła się lekkim łukiem pomiędzy domami, a jej dnem przepływał czysty potok. Właśnie nad tym potokiem odbywał się zlot białych wędrowników. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, dlaczego raz w roku, w samym środku lata, cała dolina na kilka godzin robiła się biała. Motyle siadały na trawie i na kamieniach nad wodą, a trzepot motyliich skrzydełek słychać było już z daleka. Wszyscy czekali na ten dzień niecierpliwie i wyznaczali sobie poranne dyżury, żeby go nie przegapić. Tata opowiedział mi w tajemnicy, że motyle to ludzkie dusze, które po

śmierci, raz w roku, otrzymują w niebie prezent i mogą odwiedzić świat, na którym kiedyś żyły. Powiedział, że wśród tych motyli jest jego mama i tata, czyli moja babcia i dziadek. To oni mieszkali przed nami w domu nad potokiem.

Pamiętam, jak urodził się Jaś, mój brat. Był taki malutki. Mama pozwoliła mi wziąć go na ręce tylko na chwilkę. Byłam bardzo przejęta. Zaskoczył mnie jego ciężar. O nie, to nie tak jak lalka. Wnętrze kocyka promieniowało ciepłem, rozchodził się miły zapach. Pomyślałam nagle, że to przecież żywy człowiek, taki jak ja, tylko malutki, że to nie jest nowa zabawka, chwilowy żart, ale ktoś bardzo, bardzo ważny i na zawsze.

Tyle się zmieniło w naszym domu! Nocami słyszałam płacz dziecka, krzątanie w pokoju rodziców, ich szepty. Czułam zazdrość. Czyżby mieli przede mną jakieś tajemnice? Byłam za mała, żeby zrozumieć, ile uwagi i czasu trzeba poświęcić takiemu dziecku.

Mama karmiła Jasia piersią. Śmiesznie wyglądał z noskiem wciśniętym w miękkie ciało mamy.

– Czy on się nie udusi? – pytałam za każdym razem, gdy z hałasem wciągał powietrze.

– Nie bój się – uspokajała. – Mleczko bardzo mu smakuje, to z łakomstwa tak sapie. – Gładziła jego główkę pokrytą jasnym puszkim i patrzyła tak, jakby trzymała w ramionach największy skarb.

Jasio urodził się na wiosnę. Akurat zakwitły bzy. Tata ustawił na stole ogromny bukiet i powiedział, że to dla mamy, bo ona uwielbia bez. Ale bzy za bardzo pachniały, kiedy przyjechali ze szpitala, trzeba było wazon wystawić na taras. Żał mi było kwiatów. Potem tata przeniósł mój tapczan do sąsiedniego pokoju, a jego miejsce zajęło łóżeczko Jasia. Wtedy poczułam się niepotrzebna, jak ten samotny bukiet bzu na tarasie.

Jasio był ślicznym bobaskiem i mieliśmy z nim mnóstwo uciechy. Już po kilku tygodniach zaczął odkrywać swój świat, jeszcze maleńki i trochę przymglony, ale już bardzo ciekawy. Potrafił przez godzinę przyglądać się gałązce w wazonie albo oglądać swoje rączki lub rękawek od koszulki, na którym czerwieniły się okrągłe baloniki. Słodko mruczał swoje dzidziusiowe piosenki, popiskiwał rozkosznie, gdy się go łaskotało w brzuszek, a kiedy był głodny, powtarzał bez końca: gii, gii, gii. To był znak dla mamy, że nadchodzi czas karmienia. Oszałeliśmy na punkcie Jasia. To były cudowne dni. Wszystko kręciło się wokoło tej malutkiej kruszyny.

Zaniedbałam swoje tajemnice, przestałam odwiedzać koleżanki, opuściłam Rozalię, towarzyszkę dalekich wypraw.

Mimo że bardzo się starałam, nie mogłam opanować uczucia zazdrości. Kochałam Jasia i wiedziałam, że jest malutki i wymaga wyjątkowej opieki, ale czasami tęskniłam do czasów, gdy nikt się nie liczył oprócz mnie. Rodzice trochę mnie rozpieszczali. Mama mówiła do mnie „Asiula”, a tata nazywał mnie swoją księżniczką. Kochałam jednakowo oboje. A jednak nie wiem dlaczego, kiedy tata wracał do domu, wydawało mi się, jakoby świeciło słońce. On był zawsze dla mnie jak czarodziej. Przywoził wesołą atmosferę i uśmiechy całego świata. Tłumaczył mi każdą rzecz, objaśniał skomplikowane sprawy dnia codziennego i czytał bajki przed spaniem. Leczył złe humory mamy i kobiece smutki, kochał ją i ciągle obdarowywał kwiatami albo plótł wianek z gałązek jaśminu. Wieczorami siadał z nią przed domem i grał na swojej gitarze, która nie miała najgrubszej struny, bo kiedyś się zerwała, a tata zapominał ją kupić. Można było umrzeć ze śmiechu, tak ta gitara grała.

Moja mama pięknie się śmiała. Miała lśniące włosy w kolorze kasztanowym i duże zielone oczy. Kiedy tata grał na gitarze, te oczy zwięzały się w szparki, a tata mówił wtedy, że ma oczy jak kot.

Mama była trochę dziwna, inna niż wszystkie mamy. Nie miała nikogo oprócz mnie, taty, Jasia i swojej młodszej siostry, Marysi. Nie miała rodziny ani przyjaciół, ani nawet zwykłych koleżanek. Zajmowała się tylko nami i tylko my byliśmy jej potrzebni do szczęścia. Chodziła trochę nieprzytomna i zamyślona. Trzeba jej było mówić czasami: Małgosiu, uważaj, bo wpadniesz na ścianę; Małgosiu, uważaj na kałużę; Małgosiu, przypała się obiad; Małgosiu, odcedziłaś zupę do zlewu; Małgosiu, otwórz oczy, już koniec filmu. Tata mówił, że mama jest aniołem i dotyka ziemi tylko czubeczkami butów.

Mój tata pracował w banku. Był tam kimś bardzo ważnym. Wyjeżdżał z domu, kiedy jeszcze spałam, a wracał wieczorem. Było mi go żal, że musi tak wcześnie wstawać. Ale on nie wydawał się zmartwiony. Mama mówiła, że jest bardzo ambitny, a tata powtarzał, że musi pracować, byśmy mieli za co żyć. Nie wiedziałam jeszcze wszystkiego i nudziły mnie rozmowy o pieniądzach. Wydawało mi się to takie nieistotne. Myślałam sobie, że pieniądze nie są potrzebne do życia. Przecież można jeść jajka z kurnika, warzywa z ogrodu, przynieść mleko ze wsi, nazbierać grzybów i malin, palić

w piecu drewnem z lasu... Ale rodzice znali się na pieniądzach i wieczorami układali plany na przyszłość. Mama często powtarzała, że jestem rozpieszczona, bo oni spełniają wszystkie moje zachcianki. Nie czułam się wcale wyróżniona z tego powodu. Koleżanki wprawdzie zazdrościły mi nowego komputera i pięknych zabawek, ale ja wolałam biegać po polach, niż wpatrywać się w zimny ekran. Tata twierdził, że jestem sprzęgnięta z naturą. Chyba miał rację. Bo nic tak nie sprawiało mi przyjemności jak dotykanie mchu mokrego od rosy, zbieranie kamieni w potoku, obserwowanie owadów albo pucowanie jabłek do połysku. Taka już byłam i tyle.

Pewnego dnia, zaraz po Nowym Roku, tata po naradzie z mamą wyjawiał, że dostał awans i będzie pracował w jeszcze większym banku. Trochę mnie tym zmartwił, bo pomyślałam, że będzie miał jeszcze dalej do pracy i jeszcze wcześniej będzie musiał wstawać. Nie rozumiałam, dlaczego uśmiecha się do mamy, a ona patrzy mu w oczy i gładzi po ręce.

– Za miesiąc przeniesiemy się do dużego miasta – oznajmił. – Kupiłem dla nas piękne mieszkanie z dużym balkonem.

– Będiesz mogła z wysokości oglądać miasto – dodała mama. Chciała sprawić mi radość tym stwierdzeniem. Ale mnie nie było do śmiechu. – Jest tam podwórko z placem zabaw, z dużym trawnikiem i ławeczkami. Poznasz nowe koleżanki, zobaczysz całkiem inny świat.

Patrzyli na mnie szczęśliwi, a moje serce pękało z rozpaczy. Połykałam łzy, żeby nie okazać smutku.

– A nie możemy dalej mieszkać tutaj? – nieśmiało pytałam. – To tutaj przecież jest nasz dom. – Wtedy jeszcze myślałam, że dom ma się tylko jeden. Tylko ten, w którym przyszło się na świat i w którym się dorastało. Tymczasem niedługo miałam się dowiedzieć, że to wcale nie jest prawda.

– Zrozum, Joasiu, ty za kilka miesięcy musisz iść do szkoły. – Tata poważnie spojrzał mi w oczy.

– Pójdę do szkoły w Bielinku! – zawołałam.

Rodzice wyglądali na zakłopotanych.

– Ale to nie jest dobra szkoła. – Usłyszałam.

– Dobra, bardzo dobra – zapewniałam ich gorliwie. – Chodzą do niej wszystkie dziewczynki ze wsi.

– Chcieliśmy z tatą, żebyś chodziła do większej szkoły niż ta w Bielinku, żebyś uczyła się obcych języków, czytała dobre książki, spotykała mądrych ludzi.

– W Bielinku jest dużo mądrych ludzi – powiedziałam z przekonaniem.
– Stary Mateusz od Sabiny zna głosy wszystkich ptaków, a ojciec Maćka jak nikt zna się na rybach, a mama Kaśki potrafi sama prowadzić kombajn i jeździ na koniach, i ma najładniejsze gospodarstwo w okolicy. Ciągłe przyjeżdżają do niej turyści i mówią, że u niej lepiej niż w Paryżu. – Próbowałam za wszelką cenę bronić mojego ukochanego Bielinka. Ale wszystko na nic.

Gdy tylko skończyła się zima, a pierwsze przebiśniegi pojawiły się w Białym Jarze, my byliśmy już spakowani. Tata rozmawiał przez telefon, uzgadniając termin przeprowadzki, a ja spoglądałam z żalem przez okno, na łąkę za domem, gdzie zieleniły się pierwsze roślinki, na drzewa w sadzie, całkiem gołe, ale przez to jeszcze piękniejsze, bo bez liści można było lepiej zobaczyć ich dusze. Myślałam o małych zajączkach, które za kilka tygodni pojawią się w norze koło stodoły, o dzikich kaczkach powracających co roku nad nasz staw. Czy możliwe, żeby to mogło istnieć dalej, żyć i toczyć się beze mnie? Czy ten świat pozostanie niezmienny, mimo że mnie w nim zabraknie? Przecież to straszne! Głaskałam czuprynkę starej Rozalii i marzyłam o tym, żeby zatrzymał się czas albo żeby się cofnął. „A co będzie z nią? – pomyślałam o psie. – Kto przygarnie moją Rozalkę? Przecież ona zdechnie z tego smutku”. Modliłam się do anioła stróża o przekręcenie wskazówek na zegarze mojego czasu. Nie chcę urosnąć, nie chcę nowego mieszkania, dużego miasta i mądrej szkoły.

– Niech będzie zawsze ta wiosna, kiedy urodził się Jasio – prosiłam, wycierając ukradkiem sływające po policzkach łzy. – Niech wszystko zacznie się od początku, od nowa.

* * *

Samochód wiozł nas przez szare ulice. Pierwszy raz widziałam duże miasto. Było brzydkie. Ulice tonęły w kałużach, gdzieś leżały resztki ubitego śniegu. Wiał silny wiatr, nad chodnikami unosiły się plastikowe worki. Samochody obłocone, ludzie smutni, domy szare – to było pierwsze zderzenie z miejscem, gdzie mieliśmy zamieszkać. Nic tutaj nie przypominało rajskiego zakątka, z którego przybyliśmy. Tata przez cały czas opowiadał mamie o nowej pracy. Obiecał, że teraz zaczną się dla nas wspaniałe czasy. Tylko Jaś, który właśnie obślinał nową rękawiczkę mamy,

miał wszystko w nosie. Marudził, gdy zbliżał się czas posiłku. Kiedy w brzuszku było pusto, nie interesowały go rodzinne problemy.

Mama szybko pokochała nowe mieszkanie, mnie było trudniej. Nie mogłam znieść tęsknoty do Bielinka i Rozalii, bałam się, że już nigdzie indziej nie będę szczęśliwa. Po nocach śnił mi się dom nad potokiem, kwitnące łąki i mój ukochany pokój na piętrze. Szczęście prysnęło jak mydlana bańka, runął bezpieczny świat, a to, co dostałam w zamian, przerażało. Bloki, bloki i bloki, a za blokami ruchliwe ulice, samochody. Na trzeci dzień dostałam temperatury. Był więc doktor i zastrzyki, i niedobry syrop. Przez tydzień trwały moje zmagania z chorobą. To odwróciło nieco uwagę od tęsknoty. Polubiłam swoje łóżko, ciepły azyl, zaprzyjaźniłam się z meblami, z zapachem świeżych tynków i farb.

W końcu przystosowałam się. Sprawił to wiosenny wiatr, który dotarł z dalekich ogrodów do okien mojego pokoju, i tata. To on ustawił dla mnie na balkonie olbrzymie donice i wypełnił ziemią. Wiele czasu spędzałam, siejąc w nich kwiaty, trawę, przyglądając się ptakom przysiadającym na balustradzie, chmurom przepływającym nad głowami i dzieciom pojawiającym się na podwórku obok huśtawek.

Gdy zrobiło się ciepło, zaczęłam z mamą wychodzić na spacer. Jaś był coraz starszy, podobało mu się w wózku. Otwierał swoje wielkie oczy i dziwował wszystkiemu. Pewnego dnia mama kazała mi wyjść na podwórko.

– Nic się nie bój. Będę cię pilnowała przez okno – tłumaczyła, widząc, że się waham. – Musisz przecież poznać jakieś koleżanki. Nie możesz się ukrywać w domu.

Nie wiedziałam, jak wytłumaczyć mamie swój strach. Patrzyłam z wysokości drugiego piętra na dzieci i podsłuchiwałam, o czym rozmawiają. Wymieniały się dziwnymi przedmiotami, czasami kłóciły, oglądały kolorowe kartki, układały na ziemi dziwne tekturki. Nie potrafiłam się tak bawić. Przerażała mnie pusta przestrzeń pod blokiem, tylko chodniki i place, mało zieleni. Dookoła wysoki płot, brama zawsze zamknięta, a po drugiej stronie jakiś mężczyzna w czarnym mundurze. Do budynku można było wejść, znając cyfrowe hasło, co potrafili tylko rodzice. Czy tak wygląda więzienie?

– Mamo – odważyłam się wreszcie zadać to pytanie. – Dlaczego my jesteśmy zamknięci i kim jest ten pan przed bramą?

– Nie jesteśmy wcale zamknięci. – Mama roześmiała się, słysząc moje

słowa.

– To dlaczego wkoło są kraty?

– To nie są kraty – zapewniła. – To jest zwyczajny płot, tylko trochę mocniejszy, a ten pan to strażnik.

– To tak jak w więzieniu.

– Ten strażnik pilnuje naszych mieszkań i nas. – Próbowała wybrnąć z sytuacji.

– Dlaczego, czy inni ludzie są źli? – Zastanowiłam się przez chwilę. Wpadł mi do głowy pewien pomysł. – To przez tatę, prawda? To tata jest taki ważny, że go pilnują.

– Nie, kochanie. To nie tak. Źle mnie zrozumiałaś. My mieszkamy w takim bloku... no właśnie. – Złapała się za głowę. – Jak ci to wytłumaczyć... Sama nie wiem. Najlepiej – ucieszyła się – najlepiej zapytaj ojca, on wyjaśni ci to dokładnie.

– Ja chyba się domyślam – wyznałam.

– Więc słucham. – Mama spoważniała.

– My jesteśmy bogaci i mieszkamy z innymi bogatymi ludźmi, którym trzeba tego bogactwa pilnować, tak? – zapytałam.

– Nie jesteśmy jeszcze bogaci. – Mamie zaświeciły oczy. – Ale może będziemy kiedyś trochę bogatsi. Wtedy przyda się nam bezpieczne mieszkanie – Uśmiechnęła się.

– Mamo? – Chciałam jeszcze coś dodać.

– Tak, kochanie?

– To niesprawiedliwe.

Mama znowu spoważniała. Zamyśliła się.

– Tak to już w życiu jest, kochanie. – Zrobiła zmartwioną minę.

Ten problem zaprzętał mój dziecięcy rozum jeszcze przez kilka dni. Nie mogłam pojąć, kogo boją się rodzice. Przed jakimi innymi ludźmi muszą ich strzec strażnicy przy bramie? Przecież w Bielinku nikt mnie nie pilnował. Biegałam cały dzień po lesie, po polach, daleko od mamy. Czasami przez kilka godzin nie było mnie w domu. Bawiłam się z dziećmi ze wsi, przesiadywałam u sąsiadów i wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy. Zastanawiałam się więc, skąd biorą się ludzie, których muszę się strzec.

Kto wie, jak długo bałabym się wyjść z domu, gdyby nie Marta, dziewczynka z sąsiedztwa. Zadzwoiła pewnego razu do naszego mieszkania i zapytała, czy wyjdę na dwór. Mama oczywiście się zgodziła, a

ja znudzona samotnością przełamalam strach.

Kiedy wspominam te lata z perspektywy czasu, muszę przyznać, że nie było mi łatwo. Dzieci z podwórka okazały się zupełnie inne. Opowiadały dużo o swoich domach, rodzicach, znały się na samochodach, komputerach, rozmawiały językiem, którego nie znałam. Zamiast kamieni zbierały obrazki z opakowań i kolorowe naklejki. Czułam się wśród nich jak przybysz z Księżyca. Ale tylko przez kilka dni. Nie minął tydzień, a już poznałam tajniki wiedzy podwórkowej. W krótkim czasie zgromadziłam wystarczającą ilość naklejek, żeby się nimi wymieniać z rówieśnikami. Ostatnie lato wolności, lato wielkich przemian nauczyło mnie, jak się przystosowywać do innych ludzi. Ten przyspieszony kurs dorastania przydał się bardzo. Za kilka dni miała się rozpocząć szkoła.

Przyjaźń z Martą zaczęła się od pierwszych dni w szkole. Byłyśmy w jednej klasie. Nasze ławki stały obok siebie. Codziennie rano szłyśmy na lekcje, trzymając się za ręce. Ona chyba mnie lubiła, a ja po prostu nie mogłam bez niej żyć.

Marta była dziwną dziewczynką. Czasem rozsadzała ją energia i wtedy rozśmieszała ją najmniejsza drobnostka, innym razem chodziła zamyślona, a wszystko, o czym mówiła, było niesłychanie skomplikowane. Mama tłumaczyła mi, że Marta ma bogatą duszę, w którą trzeba się mocno wsłuchiwać. Za tę duszę bardzo ją lubiłam. Kiedy zobaczyła coś pięknego, jej oczy stawały się ogromne. Zaczynała marzyć i opowiadać te swoje marzenia. Niektóre były zupełnie nierealne, ale w jej ustach zmieniały się w prawdę. Marząc z Martą, można było zapomnieć o całym świecie. Zdarzało się nam nie wrócić na czas ze szkoły, bo w jakimś parku na ławce odlatywałyśmy na skrzydłach marzeń. Innym razem, przeciskając się przez wąskie ulice wielkich miast na latającym rowerze, pokazywała mi, jak wygląda wymyślony świat. Potem przyszedł czas wizyt w dużej księgarni tuż obok domu. Przeglądałyśmy półki z książkami, albumy, czasami gry komputerowe. Marta zatrzymywała się często przy książce z baletnicą na okładce. Książka była gruba i stała wysoko. Za wysoko jak na nasze dziecięce możliwości.

– Dlaczego zawsze zatrzymujesz się przy tej książce? – zapytałam pewnego dnia.

W pierwszej chwili nie odpowiedziała. Stała i patrzyła.

– Chcesz ją kupić?

– Chciałabym, ale nie mam tyle pieniędzy.

To mnie zdziwiło. Nie przypuszczałam, że Marta może nie mieć pieniędzy. Kiedy miałam siedem lat, wydawało mi się, że kupowanie polega na tym, że się wchodzi i kupuje. Skąd wziąć na to pieniądze, to była sprawa rodziców. Oni je mieli i koniec.

– Poproś mamę albo tatę. Może ci kupią.

– Już prosiłam – wyznała.

– I co?

– Tata powiedział, że to nie jest książka dla dzieci.

– A co jest w tej książce? – zapytałam zdziwiona.

– To książka o balecie.

– To znaczy, że uczą w niej tańczyć?

– Coś ty – prychnęła oburzona. – Tam są zdjęcia najważniejszych baletnic i przedstawienia, w których występowały – odpowiedziała ze znanstwem.

– To nudne – stwierdziłam, robiąc głupią minę.

– Mówię ci, jak one tańczą, jakie mają kostiumy!

– Oglądałaś?

– Tata zdjął mi kiedyś z półki i pokazał.

– Ale się nie ruszają? – zapytałam.

– Nie rozumiem.

– No, baletnice w tej książce.

Marta była oburzona.

– Nie mogą się ruszać w książce. Musisz pójść do teatru, żeby zobaczyć, jak tańczą.

– A ty już kiedyś byłaś?

– Widziałam w telewizji, ale to nie to samo.

– No pewnie. To tak jak z meczem. Tata mówi, że oglądanie meczu w telewizji to jak lizanie placka.

– No właśnie – potwierdziła.

– Też chciałabym ją obejrzeć, ale nie dosięgnę.

– Poproś. – Marta szturchnęła mnie łokciem, spoglądając w górę. Obok stał wysoki chłopak.

Po chwili książka wylądowała w naszych rękach. Usiadłyśmy na wąskim parapecie, z namaszczeniem przeglądając kartka po kartce. Marta wpatrywała się w dziwnie wykręcone pozy tańczących i nic nie mówiła.

Siedziałam jak trusia, trochę onieśmielona jej zachwytem. Nie widziałam niczego specjalnego w cienkich nogach baletnic, w dziwnych bucikach, w pierzastych spódniczkach sterzających na boki niczym parasolki. Po kilku stronach byłam znudzona. „Co ona widzi w tym balecie?” – pomyślałam i zaraz przypomniała mi się mama. Bo moja mama też ma swoją pasję. Ciągłe kupuje książki z obrazami, takie kolorowe albumy pełne obrazów, które ktoś już dawno namalował. Od patrzenia na te obrazy też nie można zostać malarzem, chociaż mama bardzo chciałaby malować jak oni.

– Musimy iść – przypomniałam Marcie. – Już późno.

Ona jednak jakby mnie nie słyszała.

– Zobacz, jaka piękna. – Pokazała palcem kobietę z ciemnymi włosami ściągniętymi mocno w malutki koczek.

– Taka sobie – powiedziałam bez entuzjazmu.

– To primabalerina.

Kiedy w końcu udało mi się oderwać ją od książki, jeszcze przez chwilę nic nie mówiła. Dopiero gdy weszliśmy na nasze podwórko, usiadła na ławce i wyznała:

– Będę kiedyś baletnicą.

– Przecież ty nie umiesz tańczyć – przypomniałam.

– Trochę już umiem – powiedziała poważnie. – A jak będę większa, to pójdę do baletowej szkoły. Tam mnie nauczą wszystkiego. Moja mama mówi, że już teraz potrafię pięknie się poruszać – wyznała. – Chcesz zobaczyć?

– Chcę, ale chyba nie będziesz tańczyć na podwórku?

– Mogę zatańczyć. Nikogo tu nie ma. – Spojrzała dookoła.

Rzeczywiście, podwórko było puste.

Najpierw zaczęła nucić cichutko jakąś melodię. Potem zmrużyła oczy, uniosła wysoko brodę i wspięła się na palce. Z wrażenia wstrzymałam dech. Potem rozłożyła ręce i zaczęła swój taniec. Jej spódniczka zakręciła się ślicznie, a ona, leciutko jak motylek, podbiegła najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. W pierwszej chwili chciało mi się śmiać. To dziwnie wyglądało. Mała dziewczynka tańcząca pośrodku wybetonowanego podwórka. Ale zaraz potem stałam skamieniała, nie wierząc własnym oczom. Ręce Marty układały się w taki sposób, jakby za chwilę miała odfrunąć. Rozkładała ramiona i potem zamykała wokół głowy, zatrzymując na chwilę całe ciało w bezruchu. Stała tak przez moment, żeby już po

sekundzie poszybować w drugą stronę, przeskakując z prawej nogi na lewą, z palców na pięty i odwrotnie. Miała przy tym zamknięte oczy i błogi uśmiech na twarzy. Obracała się bez końca jak świder, a potem zaczęła biegać szybko wokół mnie, śmiejąc się. Kiedy opuściła głowę i ukloniła się w moją stronę, za plecami usłyszałam oklaski. Nawet nie zauważyliśmy, że obok zebrał się spory tłumek. Stałam zawstydzona, a Marta uśmiechnięta kłaniała się wszystkim jak prawdziwa baletnica. Po raz pierwszy zrozumiałam, że taniec jest jej powołaniem. Jeszcze wtedy nie znałam tego określenia, lecz widok tańczącej Marty wstrząsnął mną do głębi.

Pierwsza zima w nowym mieszkaniu nie była łatwa. Jasio dużo chorował, a tata bardzo często nie wracał do domu. Był ważnym dyrektorem i sprawy, które załatwiał, też były ważne. Mama powtarzała mi, że tata buduje w kraju nowy system bankowości, bo stary był zły. Czułam, że to coś ważnego, więc mój ojciec był dla mnie prawdziwym bohaterem. Zresztą to było widać, bo kiedy wracał do domu, ciągle rozmawiał przez telefon. Kiedyś słyszałam nawet, jak powiedział: „Panie ministrze”. Wiedziałam, że minister często występuje w telewizji. Ma swój mikrofon i zawsze wkoło niego kręci się wiele osób. Spytałam o to tatę, ale nie odpowiedział, bo kiedy odłożył słuchawkę, to zaraz wyjechał z domu i nie wracał kilka dni. Mama długo w nocy czekała na telefon. Nie mogła spać, bo Jasio miał wysoką temperaturę. Ja szybko zasnęłam, a kiedy rano otworzyłam oczy, mama szykowała w kuchni śniadanie i cichutko podśpiewywała. Pomyślałam, że chyba wszystko jest w porządku.

Tata wrócił w niedzielę wieczorem bardzo zmęczony. Powiedział do mamy: „Udało się” i mocno ją przytulił. Wziął kąpiel i nawet nie chciał jeść kolacji, tylko od razu poszedł do łóżka. Następnego dnia zasiedliśmy wszyscy przy telewizorze i czekaliśmy. Nawet Jasio siedział na kolanach u mamy. Już był trochę wyleczony, przestał płakać i śmiesznie postękiwał, cmokając smoczek. Czułam napięcie. Mama trzymała tatę za rękę i bez słowa patrzyła w ekran. Właśnie zaczynał się dziennik. Nie rozumiałam, o czym mówili. Widziałam tylko, że wstrzymali oddech.

– Jest. – Usłyszałam głos taty.

Zobaczyłam jakiegoś pana, który wchodzi na salę i pociąga za jakiś sznurek. Wtedy rozległ się dzwoneczek i oklaski. Czułam się oszukana. To dla tego dzwoneczka zebraliśmy się przed telewizorem? Patrzyłam na rodziców i nic z tego nie rozumiałam. Usłyszałam tylko, że rozmawiają o

jakiejś giełdzie. Po tym zdarzeniu tata jeszcze rzadziej bywał w domu.

Kończyła się zima, a Jasio uczył się chodzić. Dreptał na krzywych nóżkach i popiskiwał z uciechy, kiedy udało mu się bezbłędnie trafić w ramiona mamy. Był słodki, tylko coraz więcej psocił. Wjeżdżał w chodziku do mojego pokoju i robił bałagan. Nic nie mogło leżeć na stoliku, wszystko, czego dotknął, natychmiast trafiało na podłogę. Pomyślałam, co to będzie, kiedy on naprawdę zacznie już biegać?

W szkole było strasznie nudno. Czytaliśmy różne nudne czytanki. Z matematyki zadania były za łatwe, a na rysunkach wciąż tylko domki, płotki, pieski. Tęskniłam za wakacjami. Coraz częściej myślałam o Bielinku, o tym, jak cudownie się tam mieszkało. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że już nigdy go nie zobaczę, zrobiło mi się smutno.

– Tato – zapytałam któregoś dnia – kto teraz mieszka w naszym domu w Bielinku?

Tata podniósł głowę znad gazety i powiedział zdziwiony:

– Jak to kto?

– Przecież ktoś musi mieszkać. Myśmy się stamtąd wyprowadzili.

– W naszym domu w Bielinku nikt teraz nie mieszka. Opiekuje się nim jedna pani. Czasami otwiera go i wietrzy.

– Dlaczego? Nikomu się nie podoba? Jest przecież piękny.

– Ależ, Joasiu! To jest dalej nasz dom. Nikomu go nie sprzedałem. Zamknęliśmy go tylko na klucz, a kiedyś do niego pojedziemy.

– Tak?! – krzyknęłam uradowana. – To jest dalej nasz dom? Nasz własny?

– Oczywiście, że nasz – zapewniał. – A właściwie kiedyś był domem moich rodziców. Dostałem go po ich śmierci.

– Na zawsze? – Chciałam się upewnić.

– Na zawsze. Kiedy ja umrę, będzie twój i Jasia, a później waszych dzieci. Oczywiście, jeżeli do tego czasu się nie rozleci – dodał.

– To cudownie! – krzyknęłam, aż Jasio spojrzał przerażony. – Kiedy do niego pojedziemy? – szybciotko zapytałam.

– Może uda się nam pojechać w czasie urlopu, a może mama pojedzie z wami sama, a ja zostanę tu i będę chodził do pracy, zobaczymy.

– A będę mogła zabrać ze sobą Martę? – zapytałam.

– Oczywiście, jeżeli zechce.

Pewnego dnia zauważyłam, że mama jest bardzo smutna, spogląda w

okno, chodzi po domu bez celu. Pomyślałam, że pewnie tęskni za Bielinkiem. Kiedy zapytałam tatę, co się mamie stało, odpowiedział krótko:

– Chyba się nudzi.

Po raz pierwszy nie przyznałam ojcu racji. Przecież ma mnie i Jasia. Jak z nami może się nudzić? Poza tym zaprzyjaźniła się ostatnio z mamą Marty i czasami wychodziła do niej na kawę, zostawiając mnie z tatą i Jasiem. Z tych spotkań wracała dużo weselsza i zawsze uśmiechnięta, robiła nam dobrą kolację, a potem z tatą wypijali czerwone wino. Lubiłam takie wieczory. Mogłam wtedy iść później spać, aż Jaś usypiał w kojcu na podłodze. Tata podkładał mu pod głowę poduszkę, a mama przykrywała swoim sweterkiem. Potem rodzice opowiadali mi, jak było kiedyś, kiedy byli młodzi. Wspominali swoją szkołę, rodziców i lata, gdy nic nie można było kupić, a dzieci nie miały takich ładnych zabawek, tylko byle co. To dlaczego tak chętnie o tym rozmawiali? – zawsze mnie zastanawiało.

Jednak takie wieczory zdarzały się rzadko. Mama coraz częściej płakała, złościła się na mnie, na Jasia, a czasami nawet na tatę. Kiedyś się nawet pokłócili. Leżałam w nocy przestraszona, słysząc za ścianą ich podniesione głosy.

– Ja muszę ze sobą coś zrobić – mówiła mama – bo oszaleję. Od lat zajmuję się tylko dziećmi. Mam dość. Chcę pójść wreszcie do pracy.

– Jak to sobie wyobrażasz? – pytał tata ściszym głosem. – Co z Jasiem, ma dopiero roczek?

– Znajdę kogoś do opieki.

Przez chwilę panowała cisza.

– Umawialiśmy się inaczej.

– Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to się będzie przedłużało.

– Wytrzymaj chociaż rok.

– Nie mogę. Muszę coś sobie znaleźć. Jeszcze nie wiem co, ale myślę o tym – wyznała mama.

– No dobrze, jeżeli tak postanowiłaś, nie będę się upierał. Tylko nie proś mnie o pracę w banku. To nie dla ciebie – powiedział kategorycznie.

– Dlaczego?

– Nie masz przygotowania. – Usłyszałam, jak ojciec próbował łagodzić.

– No tak, wyjdzie na to, że do niczego nie jestem przygotowana poza wychowywaniem dzieci.

Tylko tyle usłyszałam, bo mama wyszła do kuchni, a tata włączył

telewizor. Nie mogłam zasnąć. Po raz pierwszy słyszałam kłócących się rodziców. Nie wiedziałam, co to może dla nas oznaczać. Poza tym bardzo się zmartwiłam, dowiadując się, że opieka nad nami była dla mamy takim ciężarem, że – jak powiedziała – „bo oszaleję”. Nie chciałam, żeby mama oszalała, ale również nie chciałam, żeby zostawiła nas i poszła do jakiejś pracy. Jasio był jeszcze taki malutki. Nie wolno go dawać komuś obcemu pod opiekę. To było dla mnie zbyt trudne. Cały mój bezpieczny świat stracił swoje fundamenty.

Z tego wszystkiego w samym środku nocy dostałam temperatury. Widocznie już taki miałam zwyczaj. Nie wiadomo, czy to był zwykły zbieg okoliczności, czy może tak przejęłam się kłótnią rodziców. Zaczęłam głośno płakać i wołać mamę. Obudziłam przez to brata, bo rodzice jeszcze nie spali. Mama poszła uspokoić Jasia, a do mnie przyszedł tata.

– Boli cię coś? – zapytał.

– Tylko głowa.

– A gardło albo brzuszek?

– Nie, gardło nie, brzuszek też mnie nie boli. Tylko głowa i chce mi się pić – wyznałam.

– Poczekaj chwilę, zaraz przyniosę trochę soku i tabletkę na obniżenie temperatury – próbował mnie uspokoić.

Potem, kiedy tabletkę zaczęła działać, a ja trochę spokojniejsza leżałam pod kołdrą, długo ze mną rozmawiał. Zapytałam wtedy o mamę i o to, co usłyszałam.

– A jeżeli mama rzeczywiście pójdzie do pracy i zostawi mnie i Jasia z jakąś obcą panią?

– Przecież to nic strasznego – tata usiłował ze spokojem rozwiązać moje obawy. – Wiele kobiet tak robi. Niektóre po prostu muszą zarabiać na utrzymanie rodziny, inne chcą, bo lubią swoją pracę, a inne pragną coś w swoim życiu zmienić, coś osiągnąć.

– A dzieci cierpią – powiedziałam oburzona.

– No chyba trochę przesadzasz. Zobacz, a Marta? Marta nie narzeka, a jej mama cały czas pracuje. Naszej mamie też coś się od życia należy.

– My się należymy. – Naburmuszyłam się zła na tatę za to porównanie.

– Tylko że wy też szybko urosiecie i będziecie radzić sobie same.

– No właśnie – przytaknęłam. – I wtedy mama pójdzie do pracy.

– Wtedy – spojrzał mi prosto w oczy – wtedy mama będzie już za stara,

żeby znaleźć sobie jakąś pracę.

– Co ty mówisz, mama nigdy nie będzie stara!

– Chyba nie zależy ci na tym, żeby mama była nieszczęśliwa.

Nic nie odpowiedziałam. Obróciłam się twarzą do ściany i zamknęłam oczy. Tato wciąż siedział na łóżku.

– Opowiem ci, Joasiu – powiedział dziwnym głosem – bajkę o pewnym ptaku. Może słuchając, zrozumiesz, co chcę ci powiedzieć.

Chciałam usłyszeć tę bajkę. Lubię bajki, szczególnie gdy opowiada je tata.

– Opowiedz – poprosiłam.

Tato rozsiadł się wygodnie na tapczanie, oparł plecami o ścianę i powoli zaczął swoją historię.

– W pewnym bardzo bogatym kraju żył okrutny i niesprawiedliwy władca. Był tak zły, że na jego widok więdły kwiaty i opadały liście z drzew, a ludzie na samą myśl o tym, że mógłby nagle się pojawić na ich drodze, w jednej chwili siwieli albo tracili wzrok. Władca ten nosił imię Ja.

– Ja to nie jest żadne imię – zaprotestowałam. – Ma tylko dwie litery.

– Wielka rzecz. A imię twojego brata ma tylko o jedną więcej.

– Mój brat ma na imię Jasio albo Janek.

– Twój brat ma na imię Jan.

– No dobrze – ustąpiłam dla świętego spokoju – opowiadaj.

– Otóż ten Ja oprócz tego, że był okrutny i niesprawiedliwy, był również bardzo skąpy. Im więcej pieniędzy zdołał zgromadzić w swoich magazynach...

– Władcy nie mają magazynów, tylko skarbcę – poprawiłam zirytowana.

– Zgoda. Im więcej pieniędzy zgromadził w swoim skarbcu, tym biedniejsi byli obywatele. Do tego karał ich za byle co, a szczególnie za to, że odmawiali mu swoich dóbr. Zabierał do swojego dworu małe dzieci, żeby wyszkolić ich na wojowników. Pragnął wszystko ludziom odebrać i zatrzymać dla siebie. Kto stawiał opór, tego zamykał w więzieniu na klucz. Nikt go nie kochał. Wszyscy go nienawidzili i płakali, że mają tak ciężkie życie. Pewnego dnia do państwa okrutnego Ja przyleciał przepiękny ptak. Ten ptak miał na imię Wola.

– Chyba Viola – wtrąciłam.

– A Wola nie może być?

– Niech będzie – zgodziłam się.

– A więc ten piękny ptak oprócz tego, że zachwyił wszystkich swoim wyglądem, potrafił jeszcze cudownie śpiewać. Śpiewał tak pięknie, że kwiaty kolejny raz w roku zaczynały kwitnąć, martwe drzewa wypuszczały liście, a ludzie tańczyli na ulicach. Nawet zły władca Ja uśmiechał się po kryjomu, kiedy nikt nie widział. „Muszę go mieć – postanowił pewnego razu. – Każę go złapać i postawić w mojej komnacie. Będzie mi śpiewać, a ja będę się cieszył, tańczył i nikt tego nie zobaczy”. Tak też zrobił. Kazał swoim żołnierzom złapać ptaka do klatki i przynieść do pałacu. W kraju zapanował smutek. Kiedy piękny ptak zniknął w ciemnych komnatach Ja, ludzie stracili ostatnią nadzieję.

Ptak, gdy znalazł się w klatce, przestał śpiewać. Posmutniał, zszarzał i schudł ze zgryzoty. Ja najpierw się zmartwił, a potem wściekł. „Co to ma znaczyć, dlaczego nie chcesz dla mnie śpiewać?” – codziennie pytał ptaka, a ptak nic. Przestał jeść, pić i zaczął umierać. Ja przestraszył się nie na żarty. Mimo że był władcą okrutnym, zakochał się w ptaku i nie chciał zrobić mu krzywdy. Dlatego wciąż się dopytywał, czego ptakowi potrzeba do szczęścia. W końcu ptak przemówił. „Zacznę pić wodę – powiedział – pod warunkiem że przestaniesz zabierać ludziom ich własność”. „Zgadzą się”. – Ja ucieszył się niezmiernie. W końcu miał dosyć pieniędzy, nie potrzeba mu było więcej. Ogłosił w całym kraju, że od tego dnia ludzie mogą wszystko sobie zatrzymać. „Spełniłem twoje życzenie, ptaku” – powiedział do Woli następnego dnia. „Zacznę jeść – ptak się odezwał – pod warunkiem że przestaniesz ludzi za wszystko karać i opróżnisz więzienia”.

Ja otworzył wrota więzień i obiecał, że od tej chwili będzie władcą sprawiedliwym i dobrym. „Spełniłem twoje życzenie, ptaku” – powiedział jeszcze raz. „Znowu będę piękny, pod warunkiem że przestaniesz ludziom odbierać dzieci”.

Następnego dnia Ja wypuścił na wolność wszystkie porwane dzieci i obiecał swoim obywatelom, że już nigdy więcej tego nie zrobi. „Spełniłem twoje życzenie, ptaku”. – Stał dumnie przed klatką. Był zadowolony z tego, czego dokonał. Teraz, kiedy tak bardzo się zmienił, jego serce zaczęło bić mocniej i zrozumiał, jakim był okrutnym człowiekiem. W całym kraju zapanowała radość. Ludzie cieszyli się, że mają teraz uczciwego władcę. Ale Ja nie był do końca szczęśliwy. Wprawdzie ptak zaczął pić wodę, jeść posiłki i znowu pięknie wyglądał, ale, niestety, nie chciał śpiewać. Ja bardzo się tym martwił. Nie spał po nocach, rozmyślał, robił różne dobre uczynki,

żeby przypodobać się Woli, ale ona wciąż milczała. Wtedy postanowił poradzić się mędrca. Wybrał się więc w daleką podróż do krainy, gdzie mieszkali mędrzy. Po wielu dniach ciężkiej podróży wreszcie dojechał do celu. Znalazł największego mędrca i poszedł do niego po radę. Opowiedział mu dokładnie swoje życie i to, jak bardzo się zmienił pod wpływem ptaka, jak zmieniła się jego ojczyzna i ludzie. Potem zamilkł, czekając cierpliwie na radę. Mędrzec myślał trzy dni i trzy noce. Czwartego dnia wezwał Ja do siebie. „Mam dla ciebie radę – powiedział. – Jeżeli chcesz, żeby ptak znowu zaśpiewał, musisz wypuścić go na wolność”. Ja oburzył się. „Jak to, przecież jeśli go wypuszczę, wyfrunie z mojego pałacu i będzie śpiewał ludziom, a nie mnie – zaprotestowałem. – Chcę, żeby Wola śpiewała tylko dla mnie”. Ja był uparty. „Więc wybieraj – powiedział mędrzec. – Albo twój ptak już nigdy nie zaśpiewa, albo będzie śpiewał, lecz nie tylko w twoim domu. Zwróć mu wolność, a wtedy będziesz naprawdę szczęśliwy”.

Tato skończył swoją opowieść. Leżałam cichutko z zamkniętymi oczami. Chyba myślał, że zasnąłam, ale ja nie spałam. Kiedy wstał i na palcach skierował się w stronę drzwi, powiedziałam:

– Tato, zrozumiałam twoją bajkę.

* * *

Niestety, do Bielinka pojechaliśmy dopiero w następnym roku. Rodzicom podobało się miasto i żal im było wracać na wieś. Mama wolała spacerować po ulicach niż przesiadywać z nami przed domem na trawie. Nie żaliłam się tacie na swoją tęsknotę. Miał dużo pracy i własne kłopoty. Często bolała go od nich głowa, nie mógł spać i ciągle się martwił. Mama twierdziła, że wszystko przez trudne czasy, i zabroniła przeszkadzać mu, kiedy wracał do domu.

– Tata załatwia bardzo ważne dla kraju sprawy – często powtarzała.

Potem zamykali się w pokoju i o czymś rozmawiali, a ja cierpliwie czekałam, bo on i tak do mnie przychodził. Czasami tylko na chwilę, żeby powiedzieć dobranoc, a nieraz zostawał dłużej, bo chciał zapytać, co się wydarzyło w szkole, czy nie mam kłopotów z nauką, z koleżankami. Cieszył się z moich dobrych stopni i obiecał, że jak będę zawsze dobrą uczennicą, to kiedyś pomoże mi w pracy.

W dzień wręczania świadectw tata odwiózł mnie i Martę do szkoły

samochodem. Nie miałyśmy daleko, ale on chciał podkreślić w ten sposób znaczenie tego dnia. Mama została w domu z Jasiem i obiecała, że z tej okazji przygotuje tort. Za kilka dni wyjeżdżaliśmy do Bielinka. Tak się cieszyłam, że znów zobaczę swoje ukochane miejsca. Czułam się teraz dużo starsza i mądrzejsza. Te dwa lata w mieście wiele mnie nauczyły. Niestety, Marta nie mogła z nami pojechać. Wyjeżdżała na wakacje do cioci, nad morze.

* * *

Jechaliśmy zapakowani po sam dach. Mama nie mogła się zdecydować do końca, co będzie jej potrzebne, a co nie. Ledwo wyruszyliśmy, a ja już spoglądałam niecierpliwie przez okno samochodu, wypatrując znajomej okolicy. Nie myślałam, że Bielinek jest tak daleko. Po godzinie zmorzył mnie sen, choć obiecałam sobie, że w podróży nie zmruję oka. Obudziłam się dokładnie w chwili, gdy tata powiedział, że jesteśmy prawie na miejscu.

Już z daleka poznałam drogę. Najpierw prowadziła w las, potem jak wąska wstążeczka wiała się pośród pól i nagle skręcała. Za następnym zakrętem zaczynała się wieś. Widniała wysoko na łagodnej skarpie porośniętej krzakami dzikich malin, przez które prowadziła dróżka na skróty. Samochodem trzeba było jechać prosto, ominąć stary dwór ze zniszczoną basztą i kościół z altanką porośniętą winem, za którym zaraz zaczynała się moja wieś, Bielinek. Nasz dom stał poniżej wsi na pięknej łące schodzącej prosto do potoku. A potok płynął przez dolinę, którą wszyscy nazywali Doliną Motyli. Siedziałam z nosem przy szybie i liczyłam drzewa. Od drewnianego krzyża za kościołem do naszego domu rosło dwadzieścia pięć wierzb. Biegły równym rzędem wzdłuż polnej drogi, każda niby taka sama, a jednak inna, zupełnie niepodobna do drugiej. Na końcu wierzbowej alei pięły się w niebo olbrzymie czereśnie, na które często wchodziłam, by obserwować okolicę.

Kiedy ujrzałam wreszcie nasz dom, serce zamarło mi ze wzruszenia. Tak długo na to czekałam. „A jednak życie jest piękne” – pomyślałam, gdy samochód taty zajechał przed drewniany ganek. W drzwiach stała gospodyni księdza z kluczem w dłoni i machała na powitanie.

– Jesteśmy. – Tata uśmiechnął się do mnie szeroko i zapytał: – Zadowolona?

– Bardzo! – zdążyłam krzyknąć i już wisiałam na jego szyi.

* * *

A jednak długo mnie tam nie było. Dom jakby zmałał. Mój pokój też wyglądał inaczej. Malarz zmienił w nim prawie wszystkie kolory. Był czysty i ładny, lecz brakowało mi znajomych zapachów, starych sprzętów i drewnianych schodów na strych. Teraz do góry prowadziły nowe schody, murowane z metalową balustradą. Tata kazał je przerobić ze względu na Jasia.

W ogrodzie brakowało kilku drzew, ponoć zmarzły, i ktoś rozebrał stary piec. Nie było Rozalki, mojej przyjaciółki i towarzyszki szalonych wypraw. Podobno zabrał ją do siebie sołtys z sąsiedniej wsi. W stodole ktoś posprzątał siano i zniknął wielki kosz, do którego wkładałam najładniejsze kamienie, zginął mój składak i hamak mamy, i taty sprzęt do łowienia ryb. Dziwnie się czułam z tymi zmianami. Bałam się, że nie odnajdę pośród znajomych kątów swojej niedawnej szczęśliwości. Szukałam przez kilka dni starej kotki od sąsiadów, która codziennie przychodziła pod nasz dom, odwiedziłam wszystkie miejsca, które tak skrzętnie przechowywałam w pamięci, próbując odnaleźć w nich siebie sprzed dwóch lat i swoje dziecięce marzenia. Myślałam, że dwa lata to niewiele, a jednak. Przekonałam się na własnej skórze, jak wiele w tym czasie może się zmienić.

Najpierw przez kilka dni pomagałam mamie rozpakować bagaże. Musiałyśmy przygotować dom na dwa miesiące wakacji. Przywieźliśmy ze sobą wiele rzeczy, bez których nie dałoby się tutaj żyć. Najwięcej z nich należało do Jasia – ubranka, poduszki, pościele, wózek, leżaczki, zabawki, butelki itd. Mój dobytek był trochę skromniejszy, ale i tak miałam z nim dużo roboty. Dopiero po kilku dniach pojawiłam się we wsi. Chciałam odwiedzić wszystkich znajomych, zobaczyć swoje koleżanki.

Niestety, już w pierwszym domu, do którego zajrzałam, poczułam się nieswojo. Nikt nie miał dla mnie czasu. Przywitali się ze mną tak chłodno, jakby mnie przedtem nie znali, a kiedyś tak mnie lubili, zapraszali na pierogi, zabierali z pola na placki ze śmietaną, głaskali po głowie i mówili same miłe rzeczy. Teraz ich spojrzenia były chłodne. Szłam wolno przez wieś, a z podwórek, przez siatki płotów, przez sztachety parkanów spoglądały na mnie dzieci. Te same, z którymi kiedyś biegałam po kałużach,

zbierałam jagody, kąpałam się w potoku. Teraz patrzyły na mnie obco, nawet wrogo.

Rozpłakałam się w domu na całego. Takie rozczarowanie! Wracałam tu do nich jak na skrzydłach, a oni mnie nie poznają albo nie chcą poznać. Dlaczego? To było dla mnie zbyt trudne. Nawet nie miałam odwagi powiedzieć o tym mamie. Mama sama wyczuła, że coś jest nie tak. Przyszła do mojego pokoju, bo zauważyła, że od rana nigdzie nie wychodzę.

– Nie chcą się już ze mną bawić – płakałam w poduszkę. – Poszłam do Kaśki, pytałam o Ewę, ale nawet nie chciały wyjść.

– Może ich nie było. – Próbowała mnie uspokoić.

– Były! – krzyczałam zrozpaczona.

– Skąd wiesz?

– Widziałam, jak się chowały za mur, kiedy wchodziłam na podwórko.

– Może ci się tylko wydawało?

– Widziałam je, na pewno. Nawet słyszałam ich śmiech.

Mama poczekała, aż się wypłaczę, a potem przytuliła mnie i poradziła:

– Nie myśl o nich źle. One od ciebie odwykły. Nie było cię tu dwa lata, więc wydajesz się im obca.

– Przecież to głupie.

– Ale się zdarza. Nie powinnaś się zrażać. One na pewno mają ochotę bawić się z tobą, tylko trochę się boją.

– No coś ty. – Uśmiechnęłam się. – Mnie?

– Myślą, że się zmieniłaś. Trochę ich onieśmiela to, że przyjechałaś z dużego miasta. Może boją się, że będziesz się wymądrzać, zadzierać nosa.

– To co mam zrobić?

– Udawać, że nic się nie stało. Spróbuj się z nimi zaprzyjaźnić jeszcze raz.

Mama poszła gotować obiad, a ja powędrowałam sama nad staw, żeby przemyśleć swoje kłopoty. Dzień był słoneczny i ciepły. Zabrałam z domu czysty zeszyt, bo postanowiłam pisać pamiętnik. Nad stawem na szczęście nic się nie zmieniło. Jak zwykle pachniał tatarak i kumkały żaby. Było ich tyle, że gdy szłam, wyskakiwały spod nóg i w popłochu uciekały do wody.

– Żabki, nie bójcie się mnie – powiedziałam głośno, żeby usłyszały. Kto wie, może znają ludzką mowę.

– Nie chcą być rozdeptane. – Usłyszałam za plecami.

Obejrzałam się przestraszona. Nikogo nie było.

- Jestem w trzcinie – rozległo się znowu.
- Co tam robisz? – zapytałam, choć nie wiedziałam kogo.
- Zobacz sama.

Rozchyliłam wysokie łądygi trzciny i wtedy go zobaczyłam. Siedział na małym pomoście i łowił ryby. Spoglądał bokiem, robiąc głową taki ruch, jakby mnie zapraszał do siebie.

– Pożyczyłem sobie wędki twojego taty – wyznał bez pytania. – Mieszkam z drugiej strony potoku. Dokładnie naprzeciwko was – wyrecytował jednym tchem. – Siadaj, pogadamy.

Usiadłam trochę speszona.

- Naprawdę mieszkasz tu? – zapytałam.
- Od urodzenia, to znaczy od dziesięciu lat.
- Nie pamiętam, żebyś wcześniej cię widziała.
- Nie jestem dziewczyną. Gdybym był dziewczyną, znałabyś mnie na pewno.

– Możliwe. A jak masz na imię?

– Filip, a ty?

– Joanna.

– Tak mam do ciebie mówić? – Skrzywił się.

– Możesz wołać na mnie Joaśka.

– Joaśka, może być – zgodził się po namyśle. – Przyjechałaś na długo?

– Na całe wakacje. Razem z mamą i z bratem.

– Fajnie – powiedział i zamilkł. Jego wędka, a właściwie wędka mojego taty, stała oparta na kijku.

– Urosłaś – zauważył po chwili.

– Tak? – zdziwiłam się.

– No pewnie. Dwa lata temu byłaś jeszcze mała. Teraz sięgasz mi chyba do ramion – powiedział pewny swego i natychmiast wstał. – Przymierzmy się.

Stanąłam obok.

– Stań plecami. Widzisz – dotknął najpierw mojej głowy, a potem swojej – nie mówiłem? Sięgasz mi do uszu.

– Tata też powiedział, że urosłam – przyznałam.

– Wszyscy we wsi o tym mówią. Słyszałem, jak rozmawiali, że przyjechaliście i że mała Zalewska bardzo urosła. Nie wybierasz się do nich?

– Może jutro pójde – powiedziałam, chociaż nie byłam tego pewna.

– Przyjdź jutro, będzie fajnie. Ma przyjechać z miasta kino. Będą wyświetlali filmy. Pamiętasz starą świetlicę przy mleczarni?

– Pamiętam.

– Przyjdź jutro o dwunastej. Bezpłatny seans.

– Nie zapomnę. – Ucieszyłam się.

– Nie gniewasz się o tę wędkę? – zapytał. – Stała na ganku. Właściwie leżała. Wiatr ją przewrócił, potem zasypał śnieg. Kiedy ją znalazłem, była trochę podniszczona. Teraz chodzi jak złoto. Kołowrotek trochę brzęczy, ale się nie zacina.

– Tata mówi, że były jeszcze podbieraki i skrzynka z podętami – powiedziałam jak prawdziwy wędkarz.

– Stoją w starej stodole. Nie były mi potrzebne. I tak nic nie mogę złowić.

– Tata mówi, że w tym stawie nie ma ryb. Najwyżej dzikie karasie.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnął się. – Wszystko mi jedno. Łowię dla samego łowienia, choć nic jeszcze nie złowiłem.

– Aha – mruknęłam. – Długo tak siedzisz?

– Może godzinę, może więcej.

– To chyba nudne?

– Okropnie – przyznał szczerze.

– Więc dlaczego?

– Chowam się przed ojcem i braćmi. Ojciec zaraz znajdzie mi nową robotę, a bracia wejdą na głowę. To jeszcze dzieciaki.

– Ja też mam młodszego brata. Jak chcesz, pokażę ci go – zaproponowałam.

– Dzięki, nie skorzystam – burknął. – Mam dość swoich braci. Zobaczysz, co będzie za rok. Ten mały wykończy mnie, wierz mi mam doświadczenie. Muszę się mmi zajmować więc wiem.

– Rodzice ci każą? – zapytałam ze współczuciem.

– Ojciec pracuje, ciągle nie ma go w domu.

– A mama?

Tylko pogrzebał butem w piasku i zamilkł. Grzebał tak kilka minut, później sprawdził wędkę, czy nic się nie złapało założył nowe ziarenko kukurydzy, spojrzał w niebo, potem na swoje buty, aż w końcu powiedział:

– Mama wyjechała.

– Daleko? Na długo?

– Chyba daleko – odpowiedział. – A w połowie sierpnia jadę na obóz – zmienił temat. – Przyjedzie do nas babcia i zajmie się chłopakami.

– Ja wolałam przyjechać tutaj. Mnie się tu najbardziej podoba.

– Jesteś dzieciak – wzruszył ramionami – nic nie rozumiesz i musisz się trzymać mamy. A ja nie. Jak będę trochę starszy, ucieknę stąd – powiedział.

– Wyjadę za granicę albo do Warszawy i będę miał fabrykę komputerów. – Znow zaczął wiercić butem w ziemi, a potem kopać czubkiem w mokry piach, jakby był zły. – Mam dość tej dziury – Pokazał brodą w kierunku wsi.

Milczałam zaskoczona. Nie rozumiałam, dlaczego się wściekł. Bałam się odezwać, żeby znowu nie palnąć czegoś głupiego.

– A ty, co kiedyś będziesz robiła?

– Jeszcze nie wiem.

– To trzeba już wiedzieć. Musisz sobie wszystko zaplanować, żeby nie było za późno.

– Dlaczego?

– Tata mi powiedział, że człowiek musi znać od początku swoje plany, bo jak ich nie zna, to błądzi.

– Błądzi? – Nie rozumiałam.

– Błądzi w życiu, po prostu – dodał zniecierpliwiony. – Nie w lesie ani w dużym mieście, tylko tak ogólnie, w życiu.

– To znaczy co? Chce mieszkać gdzie indziej i ciągle się przeprowadza?

– Nie! Nie o takie błądzenie chodzi.

– A o jakie? – Chciałam się koniecznie dowiedzieć, gdzie zabłądę, jeśli nie będę znała dokładnie swoich planów na przyszłość.

– Na przykład... – Spojrzał w niebo, jakby pomiędzy chmurami napisana była odpowiedź.

Też spojrzałam do góry. Zobaczyłam tylko dwie lecące jaskółki i mały obłoczek przypominający kształtem bałwana.

– No powiedzmy, że postanowiłaś zostać lekarzem. – Spojrzał na mnie poważnie. – Zobaczyłaś w przychodni panią w białym fartuchu, ze słuchawkami na szyi, i pomyślałaś sobie „Zostanę lekarzem”. Zaczęłaś o tym mówić wszystkim. Mama i tata pochwalili się znajomym: „Nasza córka zostanie lekarzem”. Zaczęłaś o tym myśleć, snuć plany. A tu pewnego dnia zobaczyłaś policjantkę. Fajny zawód. „No tak – myślisz sobie – ale miałam zostać lekarzem. Co powiem rodzicom?” Zaczynasz się męczyć i nie możesz

zasnąć – tłumaczył cierpliwie. – A to może się dzieć bez końca, przez całe życie. Nauczysz się jednego, a tu chce ci się zmiany i tak bez przerwy. Sama nie wiesz już, co wybrać i kim zostać. Szukasz, szukasz i wciąż błędzisz, nie możesz znaleźć tego najważniejszego.

– A jeżeli ma się już plany – próbowałam zrozumieć wszystko do końca – jeżeli postanowisz, kim będziesz tak na sto dwa, to już koniec? Tak musi być na całe życie?

– No pewnie – odpowiedział zdecydowanie. – Inaczej byś była niesłowna.

– Kurczę – westchnęłam. – Trudna sprawa, bo ja jeszcze nie jestem zdecydowana.

– Więc musisz się za to zabrać – pokiwał głową – jak najszybciej.

– To nie będzie łatwe – stwierdziłam.

– Nic nie jest łatwe. – Jego oczy zrobiły się całkiem granatowe, a brwi uniosły się wysoko. – Ja zostanę producentem komputerów, jak Bill Gates. Wybuduję fabrykę i będę w niej robił najszybsze komputery świata.

– Znasz się dobrze na komputerach? – Popatrzyłam na niego z uznaniem.

– Trochę już się znam – powiedział z dumą.

– A jak on się nazywa?

– Ale co? – Nie zrozumiał pytania.

– No twój komputer.

– Chcesz gumę? – zapytał.

– Nie chcę – powiedziałam krótko, czekając na odpowiedź.

– A może cukierka? – Wyjął z kieszeni jabłkowego dropsa.

– Nie lubię dropsów, szczególnie jabłkowych.

– Ja lubię. – Spojrzał na zielony rulonik i milczał.

Też milczałam. Nie wiedziałam, dlaczego nie chce odpowiedzieć. Pomyślałam, że może nie zna tej nazwy i że wstydzi się do tego przyznać.

– Czy koniecznie trzeba mieć własny komputer, żeby się na nim znać?

– No jasne – potwierdziłam.

– W szkole mamy komputer. Na zajęciach uczymy się go obsługiwać – powiedział z dumą.

– My też mamy w szkole komputery – dodałam – całą salę z komputerami. Tutaj też mam komputer. Przywiozłam go ze sobą, żeby się wieczorami nie nudzić. – Spojrzał na mnie. Oczy zaświeciły mu się jak reflektory. – Jak będziesz chciał, to razem pogramy. Tata kupił mi nowe gry,

mam też stare, pokażę ci któregoś dnia.

Wzruszył ramionami z pogardą i odwrócił się.

– Zobaczą, czy będę miał czas – mruknął. – Muszę zapytać tatę. Nie wiem, czy mi pozwoli do was przyjść.

– Poproszę mamę, to z nim porozmawia – zaproponowałam.

– Nie trzeba – powiedział szybko. – Sam z nim porozmawiam. Zresztą zaraz muszę wracać do domu. Jedziemy na łąkę zbierać siano.

– A co z braćmi? Kto się nimi zajmie?

– Zabierzemy ich ze sobą. Będą się na łące bawić.

– Przyjdiesz tu jeszcze?

– Dzisiaj nie – odpowiedział. – Jutro przyjeżdża kino. Pamiętaj.

– Nie bój się, nie zapomnę. Przyjdę o dwunastej, a ty?

– Nie wiem dokładnie. Może wcześniej, a może później. To zależy.

– Od czego?

– Od chłopaków. Nie wiem, o której uda mi się ich uśpić.

* * *

Obiecałam mamie, że wrócę do domu przed szóstą. Jasio tego dnia był bardzo marudny i mama gniewała się, że nie chce zjeść jarzynowej zupki. Mówiąc szczerze, wcale się nie dziwiłam. Zupka wyglądała paskudnie, a zapach, lepiej nie mówić. Jasio dzielnie stawiał opory, plując zupką na kilometr. Cała ściana nad stołem i nowe meble pokryły się dziwnymi cętkami w kolorze brązowym. Powiem otwarcie, wyglądały okropnie. Mama zajęta usuwaniem szkód nie miała dla mnie czasu. Ubrałam się sama i sama związałam włosy. Były już długie, ale i tak ciągle wysuwały się z gumki i fruwały na wietrze. Tylko mama potrafiła je ujarzmić. Mimo to nie chciałam przeszkadzać jej w napełnianiu Jasia burą papką i tylko dałam im buziaka na pożegnanie i w drogę, kierunek świetlica.

Z radości, że wreszcie zobaczę koleżanki, zapomniałam o swoich smutkach i bez wahania wpakowałam się w sam środek dziecięcego tłumu. Część dzieci przyszła z sąsiedniej wioski, a inni tak się zmienili, że trudno było ich poznać. Pokonałam skrępowanie bez problemu. Zanim rozpoczął się seans, zdążyłam odnowić stare kontakty i czułam się znowu jak Joaśka z dawnych lat. Ewka i Kaśka też wyrosły, były w końcu ode mnie starsze, brat Kaśki całkiem się zmienił, a siostra Ewy wyrosła z pieluch i kręciła się

pod nogami, przeszkadzając nam w rozmowie. Sławek, który uczył mnie kiedyś wyplatać koszyki, przyszedł ze swoją dziewczyną, a Ola, ta z domu koło kościoła, zapuściła włosy i włożyła buty na obcasie. Wszyscy wypytywali mnie o różne sprawy, na przykład, czy dobrze żyje się w Warszawie, jak wygląda moja szkoła, czy dużo muszę się uczyć i czy kiedyś wrócę do Bielinka na zawsze.

Odpowiadałam cierpliwie na wszystkie pytania, aż płonęły mi policzki z emocji. Nawet nie pamiętam, jaki wyświetlali film. Panował ogólny szum i nikt tak naprawdę nie śledził akcji. Starsi tylko raz po raz wybuchali śmiechem, dlatego wiem, że to była komedia.

– A Filip nie przyjdzie? – zapytałam Kaśkę. – Mówił, że się tutaj spotkamy.

– Chyba nie przyjdzie. Widziałam, jak jechał z ojcem do miasta odwiedzić cielaki na skup.

– A jego młodszy bracia? – szeptałam, żeby nie przeszkadzać.

– Zabrała ich do siebie Fabisiowa i położyła spać.

– Szkoda mi Filipa – stwierdziłam ze smutkiem.

– Mnie też.

Wszyscy dobrze się bawili, ale mnie nie było do śmiechu. To przez Filipa. Żałowałam, że nie przyszedł, było mi przykro, że gdy ja tu siedzę, on musi ciężko pracować.

– Co się stało z Filipa mamą? – Ciekawość nie dawała mi spokoju.

– Wyjechała do Niemiec. Dostała tam dobrą pracę.

– A kiedy wróci?

– Nie wróci – odpowiedziała Kaśka.

– Jak to?

– Napisała list, że nigdy już nie wróci do tej biedy. Przysłała im dużo pieniędzy i koniec. Podobno zadzwoniła przed Wielkanocą, żeby zapytać, jak sobie radzą, ale wracać nie chciała. Powiedziała, że spełniła swoje marzenia i nie zrezygnuje z nich za żadną cenę.

– I zostawiła dzieci? – Byłam zszokowana.

– No widzisz, zostawiła i nawet nie zapytała, czy są zdrowe.

– To okropne.

– Pewnie, że okropne.

Film trwał, ale ja myślałam tylko o Filipie. Jutro, gdy tylko wstanę, pójdę pomóc mu pilnować braci.

FILIP MICHALAK

Rozmawiamy z nim w kawiarnianym ogródku. Kelnerka przynosi lody i kawę.

Przygrywa kapela, gapie wchodzą w kadr. Filip trochę się peszy. Robimy osłonę.

Lato tego roku pamiętam bardzo dokładnie. To wtedy zaczęła się moja znajomość z Joasią i wszystko, co nastąpiło później, miało swój początek właśnie tego dnia.

Były wakacje, mówiąc ściślej, dopiero się zaczynały. Siedziałem nad stawem i udawałem, że łowię ryby. Ciekawili mnie ludzie, którzy mieszkali od kilku dni w domu nad potokiem. Cała wieś huczała o ich przyjeździe, a właściwie powrocie. Kowalski spod lasu znał ich najlepiej. Pracował u nich w poprzednie lata. Dowoził drzewo na opał, kopał ogródek, czasami zimą odgarniał śnieg sprzed domu i na drodze. Ale wtedy wszyscy traktowali ich jak swoich. Byli spokojnymi ludźmi, żyli jak trzeba. Dopiero gdy rozeszła się wiadomość, że wyjeżdżają do miasta, bo wieś już im nie smakuje, zawrzało.

– Wiedziałam, że tak będzie – gderała Fabisiowa. – Toż starzy Zalewscy też byli z miasta. Na wakacje tylko przyjeżdżali. Pomieszkali w lato, a potem wracali do siebie. Ci teraz zrobią to samo. Ale wrócą, wrócą na kolanach. Wspomnicie moje słowa. Zanim rok minie, pojawią się w Bielinku jak na zamówienie.

– I tak długo tu wytrzymali – odpowiedziała młodsza Małecka, która pracowała w mieście w dużym zakładzie i знаła walory miastowego życia. – Co im po tej wsi? Ani porządnej szkoły, ani sklepu, ani roboty dla ludzi. Mała Joasia już kończy siedem lat.

– Nasze dzieciaki mogą się uczyć w tutejszej szkole, a nie są od niej głupsze, to ona nie może?

– E tam, gadacie, Fabisiowa – wtrąciła sklepowa. – Nasze dzieci na lekarzy ani na adwokatów nie wyrosną. Starczy im miejscowa szkoła.

– Mów za siebie, Mietka. Na co pójdą moje dzieci, nie twój interes. A może i na adwokatów albo ministrów. Jak kto chce, dojdzie do wszystkiego.

– Ja bym ani dnia nie siedziała w tym twoim Bielinku. Już się na tę miedzę napatrzyłam. Teraz chcę zobaczyć świat, na prawo i na lewo, i jak najdalej się da.

– Twoja matka też latawica była. Dlatego zesłała na psy. Rób tak jak ona, to daleko zajdziesz.

– Wy nic nie wiecie. – Młoda Małecka spojrzała wrogo na teściową, machnęła ręką i poszła do domu.

– Kobiety, dajcie spokój. Niech każdy robi po swojemu. Co wam do tego. – Uspokajał listonosz, który właśnie zajechał pod sklep. Trzasnął głośno drzwiami nowego samochodu, który kupił niedawno za pieniądze od syna pracującego za granicą.

Przysłuchiwałem się tej rozmowie z obojętnością. Nie obchodziły mnie te sprawy. Patrzyłem z zazdrością na Radka – wnuka listonosza, wysiadającego właśnie z nowego poloneza. „Ten ma dobrze” – pomyślałem. Posiadanie bogatego wujka to musiało być prawdziwe szczęście. Ale przypomniałem sobie to dopiero tego dnia, gdy pod dom nad potokiem podjechał lśniący, granatowy samochód.

We wsi pod sklepem znowu powstało zbiegowisko. Omawiano najświeższe wiadomości.

Na spytki wzięto Kowalskiego, bo to on pomagał przybyszom zadomowić się na starych śmieciach. Stara Małecka i gospodyni proboszcza sprzątały dom, a listonosz dowoził z poczty paczki z książkami.

– Przyjechali na całe wakacje. Pan Zalewski – gospodyni proboszcza mówiła z szacunkiem o ojcu Joasi – trzy razy obracał samochodem, żeby wszystko przywieźć. Mały Jasio ma już dwa lata, a Joasia dziewięć. Wyrosła z niej ładna dziewczynka.

– Widać wzbogacili się w tym mieście. Samochód nowy, w kuchni nowe meble i podłoga.

– On jest podobno jakąś szychą w banku.

– Wiadomo, urzędnik państwowy – dorzucił Kowalski.

– Jaki tam państwowy – poprawił go listonosz. – Bank jest prywatny i do tego zagraniczny. Wszystkie pisma, co do niego przychodzą, są po angielsku.

– Czytałeś jego listy? – wtrąciła Małecka.

– Wystarczą mi pieczętki na kopertach.

– Bogaci są i tyle. – Fabisiowa pokiwała głową. – Będą zadzierać nosa.

– Co wy, Fabisiowa, Zalewskich nie znacie? Już by zadzierali nosa wcześniej. On był w banku już dwa lata temu, a jak wam odcięli zimą prąd, bo nie płaciliście rachunków, to kto załatwił spłatę długu? A jak Maciek od waszej córki zachorował, to Zalewski w środku nocy jechał z nim do szpitala. Krótką macie, Fabisiowa, pamięć.

– Krótką czy długą, ja mu za to będę wdzięczna do śmierci, ale swoje wiem.

Przysłuchiwałem się tym rozmowom, wiedząc o życiu trochę więcej niż dwa lata temu. Pamiętałem, że czasami płata ono takie figle, że nie pomogą najlepsze szkoły, by je zrozumieć. Od kilku miesięcy byliśmy bez mamy i żadna z mądrych mieszkanek Bielinka nie potrafiła wykorzystać swojej drogocennej wiedzy, żeby to wytłumaczyć. Dlatego w ten dzień, gdy cała wieś mówiła o Zalewskich, pomyślałem, że i tak nie wiedzą o nich niczego. Byłem ciekaw, czy chociaż jedno usłyszane słowo było bliskie prawdy.

Gdy siedziałem na pomoście, udając, że łowię ryby, głęboko przemyślałem tę sprawę. Od samego rana podglądałem ukryty w trzcinach, co dzieje się u naszych sąsiadów. Czekałam, aż w drzwiach pojawi się sylwetka tej dziewczyny, którą pamiętałem zaledwie jak przez mgłę.

Od ich wyjazdu z Bielinka minęły dwa lata. Myślałem, że już nigdy tu nie wrócą. Szczerze mówiąc, miałem sporo na sumieniu. Pocieszał mnie fakt, że porządki przeprowadzone kilka dni wcześniej zatarły ślady mojej bytności. Coś ciągnęło mnie do tego domu nad strumieniem. Chodziłem pod jego oknami, zaglądałem do środka zdziwiony, że można było tak opuścić własne gniazdo. Dom widmo, stojący samotnie na łące, całkowicie urządzony, pozostawiony jakby tylko na chwilę, jakby jego właściciele zaraz mieli do niego powrócić, jakby wyszli jedynie na spacer. Fascynowało mnie to nieustannie i spędzało z powiek sen. Nie przestawałem o tym domu myśleć i w końcu się stało. Któregoś dnia znalazłem do niego wejście.

Wszystko było tam inne, inne niż wewnątrz w pozostałych domach naszej wsi. Inne były meble, naczynia, bielizna. Inne były obrazy, książki, nawet i wazon. Każda rzecz miała swoje miejsce i pasowała do koloru ścian, dywanów i krzeseł. Zapach, który tam czułem, nie przypominał mi niczego, co znałem przedtem. Przywarł do mnie, zapadł się w moje ubrania, we włosy, chodził za mną wszędzie. Mama często pytała:

– Gdzie dzisiaj byłeś? Tak jakoś dziwnie pachniesz.

Czasami zimą, gdy nie można się było pobawić na dworze, a w domu

rodzice kłócili się o byle co, uciekałem tam, żeby w ciszy przeglądać stare albumy ze zdjęciami, przerzucać kartki różnych książek, obejrzeć film w małym telewizorze ustawionym na stole w kuchni. To było wspaniałe dla takiego chłopaka, jakim wtedy byłem – mieć miejsce do ukrycia się przed światem. Dlatego teraz paliła mnie ciekawość, co tam się dzieje, jak żyją ludzie z fotografii na telewizorze, z grubych albumów, i kto śpi w moim ulubionym łóżku... Byłem zły, a nawet zazdrosny, jakby ten dom nie należał do nich, tylko do mnie.

Siedząc nad stawem, nasłuchiwałem, czy dziewczynka z rozwianymi włosami już nadchodzi, i myślałem ze strachem, co powiem, gdy nagle przede mną się pojawi. Powtarzałem sobie: „To przecież tylko mała dziewczynka, czego się boisz? Przecież ona się nie domyśla, że oglądałaś jej stare rysunki z szuflady na strychu, że układałaś puzzle leżące jak zawsze w skrzyni pod łóżkiem, że dotykałaś pudełek, wysypywałaś klocki, malowałaś na jej papierze i jej kredkami, że zasypiałaś czasami na jej tapczanie, przykryty grubym kocem pozostawionym na oparciu fotela”.

Kiedy stanęła obok, zapomniałem o strachu, tylko się zdziwiłem, że tak urosła. Zapamiętałem jej rozczochrane włosy, buzię zawsze umazaną owocami, rozbite kolana i dziurawe spodnie. Czasami widziałem jej cienkie nóżki zwisające z gałęzi starej czereśni pod domem albo jej drobne ręce zanurzone w potoku w poszukiwaniu kolorowych kamieni. Teraz stała poważna, trochę smutna, trochę zamyślona, w dżinsowych spodniach i szarej bluzce z bawełny, całkiem miła, dosyć ładna i zupełnie inna, niż myślałem.

Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie i wszystkie inne dni tych wakacji. To były wakacje mojego życia.

Miało przyjechać do nas kino. Ojciec tego dnia był w złym humorze. Padła nasza najlepsza krowa. Całą noc siedział z weterynarzem w oborze, czekając, aż się ocieli. Urodził się piękny cielaczek, ale krowa zdechła nad ranem. Ojciec był bardzo zmartwiony. Chyba kochał tę krowę, bo widziałem, jak obciera oczy, wchodząc rano do kuchni, a potem zamknął się w pokoju i nie kazał wpuszczać tam chłopaków. Nam też było smutno. To była niezwykła krowa. Nazywaliśmy ją Formuła, bo zawsze pierwsza wpadała na pastwisko. Nie pomagały prośby ani groźby. Nikt nie miał siły jej utrzymać. Gdy poczuła zapach trawy, włączała dopalanie i jak wyścigowe ferrari ruszała przed siebie. Potem na łące widać było ślady

hamowania. Tak, to była szalona krowa i miała najlepsze mleko. Jacek i Wacek rośli na nim jak na drożdżach. Bardzo nam jej później brakowało. Ale tego dnia myślałem jeszcze o kinie. Ojciec zamknął się w pokoju i nie wychodził, chłopcy zjedli śniadanie i zaczęli wariować, a czas mijał. Postanowiłem poprosić Fabisiową. W gruncie rzeczy to była dobra kobieta. Mieszkała obok nas i była moją ostatnią deską ratunku.

– Przyrowadź do mnie chłopaków. Dostaną coś do picia i jak będzie trzeba, położę ich spać. Idź na ten film, tylko powiedz ojcu, że wychodzisz. Niech choć o to nie boli go głowa.

Ojciec nie chciał słyszeć o kinie. Nie miał humoru. Żeby się czymś zająć, wymyślił ten wyjazd. Był czwartek, dzień targowy. Postanowił, że sprzeda najstarszego cielaka, żeby zwolnić miejsce dla świeżo narodzonego, który nie miał już swojej mamy. Więc pojechaliśmy. Całą drogę chciało mi się płakać, ale nie dałem ojcu poznać, że coś mnie gnębi. I tak prawie się nie odzywał od tej zgryzoty. Mama już drugi miesiąc nie dawała znaku życia. Nie było wiadomo, co robić, szukać jej czy czekać, aż zadzwoni albo napisze.

JOASIA ZALEWSKA

Wczuwa się bardzo. Widać, że przeżywa wszystko na nowo. Kręcimy, pozwalając jej kierować rozmową.

Otrzymałam list od Marty. Tak się ucieszyłam! Niestety, list był bardzo smutny. Marta tęskniła do rodziców, było jej u ciotki źle i koniecznie chciała wracać do domu.

Martwiłam się o moją koleżankę. Szkoda, że miała takie nieudane wakacje, i szkoda, że nie mogliśmy być razem. W Bielinku nikt nie kazałby jej tak dużo pracować i zawsze mogłaby zadzwonić do mamy.

Po przeczytaniu listu od Marty zrozumiałam, jak mam dobrze. Nie musiałam robić nic, tylko się bawić i leniuchować. Wprawdzie tata przywiózł mi kilka książek i obiecałam mu, że poćwiczę czytanie, lecz tutaj w Bielinku nie było na to czasu. Ciągłe coś się działo i gdzieś trzeba było zdążyć. Oprócz mnie przyjechały na wakacje jeszcze inne dzieci i zebrała się nas niezła gromada. Przewodziły nami Ewka i Kaśka, bo one znały najlepiej okolicę i potrafiły wymyślać najlepsze zabawy. Filip też czasem przychodził, ale na krótko, bo ojciec ciągle potrzebował go w domu. Za to wieczorem, po kolacji spotykaliśmy się nad stawem, żeby porozmawiać o różnych sprawach. Był ode mnie trochę starszy, więc wiedział już dużo więcej. Dlatego, gdy Jasio wylał mi na głowę miskę z sosem malinowym, pomyślałam, że nadchodzą dla mnie ciężkie czasy.

– Wszędzie go pełno – narzekałam. – Od kiedy zaczął chodzić, trzeba wszystko chować. Wczoraj ściągnął na ziemię telefon, a rano podarł tacie gazetę.

– Rozumiem. – Filip spojrział ze współczuciem. – To najgorszy okres w twoim życiu. Musisz wszystko chować. Taki dzieciak potrafi albo coś potłuc, albo podrzeć, a w najgorszym wypadku zjeść. Wacek zjadł kiedyś czekoladę razem z papierkiem i sreberkiem. Do dzisiaj nie przyznałem się tacie do tego. Potem przez tydzień czekałem, kiedy zachoruje, na szczęście nic się nie stało. Zjadł również taty prawo jazdy na traktor, razem ze zdjęciem, i dowód rejestracyjny samochodu. Wtedy była niezła awantura. Oczywiście za wszystko obrywam ja. To się nazywa, że nie dopilnowałem.

Ale jak tu upilnować takiego wiercipiętę, który nawet przez chwilę nie usiedzi w spokoju.

– Całe szczęście, że moja mama zajmuje się Jasiem i nie każe mi przez cały dzień na niego uważać.

– Tak, to naprawdę szczęście. – Filip ze smutkiem opuścił wzrok.

Zrobiło mi się głupio. Nie chciałam tego powiedzieć. Jakoś samo tak wyszło. Byłam zła na siebie za tę niepotrzebną uwagę. Żeby zatrzeć niemile zdarzenie, wspomniałam szybko o liście.

– Tata przywiózł mi dzisiaj list od Marty – wyznałam tajemniczo. – Ona jest teraz na wakacjach u swojej cioci i też nie ma łatwo. Ta ciocia okazała się bardzo dziwną osobą, powiedziałabym, że dziwaczną! Marta cały dzień siedzi w domu, morza nie ogląda, nigdzie nie wychodzi, bo ciotka jest stara i wszystkiego się boi. Nie pozwala jej nawet bawić się na podwórku.

– Odpisz tej Marcie, żeby wracała do domu – powiedział Filip. – Przynajmniej wyjdzie na dwór.

– Marta pisze, że nie może wrócić do domu, bo jej rodzice pracują.

– No to co? Sama sobie nie poradzi?

– Ale oni pracują za granicą. Są dziennikarzami i ciągle podróżują. Marta wtedy mieszka z babcią. Teraz babcia gdzieś wyjechała, więc trafiła pod opiekę strasznej ciotuni.

– Szkoda, będzie miała zmarnowane wakacje.

– A tak się cieszyła na ten wyjazd. Chciałam zabrać ją do Bielinka, ale wolała jechać do ciotki.

– Z tego wynika, że z nas trojga tylko ty masz prawdziwe wakacje.

– No właśnie – potwierdziłam. – Ale przecież ty jedziesz na obóz – przypomniałam sobie po chwili.

– Tak, ale to tylko kilkanaście kilometrów stąd.

– Ale nie będzie przy tobie dzieciaków – pocieszyłam go.

Filip się zamyślił.

– Nie wiem dlaczego, ale już tak nie czekam na ten obóz jak na początku wakacji. Przyzwyczailem się do tego, że nie ma mamy, chociaż mi jej brakuje. Chłopcy są coraz grzeczniejsi i nawet trochę mnie słuchają.

– Zobaczysz – pocieszałam – będzie fajnie.

– Tylko obóz kończy się trzydziestego sierpnia – powiedział nieśmiało.

– To co? – Nie rozumiałam.

– Gdy wrócę do domu, ciebie już tutaj nie będzie.

* * *

Długo nie mogłam zasnąć. Serce podpowiadało mi, że życie nie jest takie proste. Myślałam o sobie, o Marcie i Filipie, zastanawiałam się, dlaczego moja mama czasami chodzi smutna, dlaczego mama Filipa odeszła z domu nie wiadomo dokąd albo dlaczego mama Marty ciągle przebywa w podróży, zamiast zajmować się swoją córką. Czy tak już będzie zawsze, czy tak dzieje się u wszystkich, czy tylko u nas? A my, dzieci, do kogo w końcu należymy, czy oni martwią się nami, czy tylko gnębią ich własne problemy? Jak to jest? Mój tata zawsze miał dobry humor. Był wciąż uśmiechnięty i wesoły. Kiedy podrzucał do góry Jasia, obaj tak głośno i serdecznie się śmiali, że nawet mamie udzielała się ich wesołość. A gdy szliśmy razem do lasu wyplatać pokraczne koszyki z wikliny, to śpiewał jakieś okropne piosenki, których nie rozumiałam, i uczył mnie, jak nie zabłądzić w lesie, a w razie czego, jak przetrwać w nim całą noc. Zawsze gdy wracaliśmy do domu, obstukiwał wielkie buty o próg, a mama syczała rozzłoszczona, że robi za dużo hałasu. Wtedy on stroił do mnie prześmieszne miny i na zgodę całował mamę w szyję.

Mamę czasami trudno było udobruchać. Nie wiem dlaczego tak szybko wpadała w złość. Może to mały Jasio wyprowadzał ją z równowagi, może ja swoimi wybrykami sprawiałam przykrość, może tata, bo zapomniał przywieźć jej z domu coś, o co prosiła? Nie wiedziałam dlaczego, choć bardzo chciałam się dowiedzieć, żeby nie patrzeć co dzień na jej smutne oczy.

Znowu zapomniałam o kolacji. Biegaliśmy z nowym psem Fabisiowej po lesie, a Filip uczył go aportować. Potem siedząc na sianie w stodole u Kowalskiego, każdy z nas usiłował znaleźć dla szalonego szczeniaka jakieś pasujące przezwisko. To było trudne zadanie, bo pies Fabisiowej był wyjątkowy, potrafił wszystko wywrócić do góry nogami, pogryźć, zakopać, odkopać i zjeść. Zupełnie jak nasz Jaś. Jasio wczoraj oskubał wszystkie kwiatki z pelargonii i zjadł. Mama myślała, że coś mu się stało, bo całą buzię miał czerwona. Zdenerwowała się i chciała biec do doktora. Całe szczęście zobaczyła, że w rączkach ścisła jeszcze ostatnie płatki, więc skończyło się tylko na strachu.

Wczoraj kolejny raz zapomniałam na czas wrócić do domu. Gdyby nie

Ewa, którą nagle rozboleł brzuch, bo najadła się za dużo zielonych śliwek, siedzielibyśmy jeszcze dłużej. Gdy wpadłam do domu, była za minutę dziesiąta. Mama czekała na mnie przed drzwiami bardzo zdenerwowana.

– To się za często powtarza – powiedziała grobowym głosem. – Nie można na tobie polegać. Myślałam, że pomożesz mi przypilnować Jasia w czasie kąpieli, a ty fruwasz całymi dniami. Myślisz tylko o sobie. Powinnaś mieć również jakieś obowiązki. Wyręczyć mnie czasami.

– Zupełnie zapomniałam – usiłowałam się jakoś wytłumaczyć. – Fabisiowa dostała ślicznego psa – zaczęłam skruszona.

– Nie chcę tego słuchać – przerwała. – Jesteś za bardzo rozpuszczona. Za dwa miesiące skończysz dziewięć lat, a tobie tylko zabawa w głowie.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, że jestem już osobą, która oprócz przyjemności powinna mieć również obowiązki. Dotychczas miałam podobne prawa jak Jasio. Poza nauką i chodzeniem do szkoły niczego nie musiałam. Dopiero tego dnia, w samym środku wakacji, okazało się, że sprawy się skomplikowały. Słowo „obowiązki” z niczym mi się nie kojarzyło. Zawsze myślałam, że życie to same przyjemności. Stałam milcząca pod ścianą, czekając na listę spraw do załatwienia, którą za chwilę wręczy mi mama. Ale ona weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Stałam jeszcze chwilę zdziwiona, a potem na palcach poszłam do kuchni.

Niedojrzałe śliwki dawały o sobie znać w pustym brzuchu. Na stole pod płatkami folii leżały kanapki z sałatą i pomidorem, moje ulubione. Zjadłam je do ostatniego okruszka, a potem sama zrobiłam sobie herbatę, sama po raz pierwszy w życiu. W cichej kuchni słychać było, jak muchy rozbijają się o szklany klosz okrągłej lampy wiszącej pod sufitem. W zlewie stały brudne talerze, kilka kubków po mleku i garnek po zupie Jasia. Na stole leżał pokrojony chleb, a cały blat pokryty był okruszkami i rozsypanym cukrem, którym posilała się duża mucha. Ten cukier to była chyba sprawka mojego braciszka. On zawsze coś przy kolacji wylał lub rozsypał. Siedziałam, przyglądając się temu wszystkiemu z obojętnością i jak co dzień czekałam na mamę, żeby przyszła i posprzątała. Wtedy przypomniałam sobie to słowo – „obowiązki”. Czyżby to dotyczyło również sprzątania? Jak to się robi? Jeszcze nigdy nie sprzątałam. Ale to przecież nic trudnego.

Bez pomocy znalazłam wszystko, co potrzeba, i płyn do mycia, i szczotkę do szorowania. Obmywałam brudne naczynia i naśladując ruchy mamy, ustawiłam je równiutko na suszarce. Żeby tylko niczego nie pomylić.

Najpierw szklanki, małe talerzyki, większe, potem te do zupy, a na końcu znalazłam pudełko ze sztuczcami. Wytarłam zlew, szafki koło zlewu i zabrałam się za sprzątanie stołu. Ależ to było łatwe. W ciągu kilku minut zapanował w kuchni idealny porządek. Wpatrywałam się w swoje dzieło zdziwiona, że obowiązki są takimi prostymi czynnościami. Nie rozumiem, o co mamie chodzi.

* * *

Następnego dnia padał deszcz. Po obiedzie odwiedził mnie Filip. Całe popołudnie spędził przy komputerze. Wiedziałam, że przez ten komputer stracę przyjaciela. Filip zupełnie zapomniał o moim istnieniu. Stukał uparcie w klawiaturę, jak dziecko w pień drzewa. Mama ciągle nie odzyskiwała dobrego humoru, więc żeby jej nie denerwować, przykładam się sumiennie do swoich obowiązków. Musiałam zachowywać się poprawnie, bo następnego dnia czekała mnie i inne dzieci z Bielinka wyprawa na plantację malin. Ojciec Kasi jechał do swojego brata pomagać przy zbiorach. Obiecał, że zabierze nas mikrobusem, którym wozi jarzyny. Mogliśmy wziąć jakieś naczynie i każdemu pozwolił narwać dla siebie trochę owoców. Bardzo lubiłam maliny, a to były takie specjalne, ogromne i bez robaków.

Kiedy mama położyła Jasia do łóżka, a nam przyniosła do pokoju budyń z jagodami, postanowiliśmy wyłączyć komputer i zagrać w „Małego architekta”. Gra była bezmyślna. Wystarczyło tak układać klocki, żeby budowana wieża była jak najwyższa. Przegrywał ten, którego klocek spowodował zawalenie się konstrukcji. W trakcie gry rozmawialiśmy o różnych sprawach. W końcu Filip zaczął się zwierzać ze swoich rodzinnych kłopotów.

– Nie wiem, jak długo wytrzymamy bez mamy – mówił zmartwiony. – Ojciec nawet o niej nie wspomina, a gdy chłopcy pytają, kiedy mama wróci, zawsze im mówi, że wróci jutro. Chciałem z nim o tym porozmawiać, ale powiedział, że to są jego sprawy. Boję się, co będzie dalej.

– Może wasza mama jednak przyjedzie z tej zagranicy. – Chciałam go pocieszyć.

– Nie wiem, czy ojciec się zgodzi.

– Na co się zgodzi? – Nie rozumiałam.

– Żeby wróciła, oczywiście.

– No coś ty! – Byłam zdziwiona. – Przecież jej potrzebuje, sam mówiłeś.

– Ale uniósł się honorem. Słyszałem, jak mówił do Fabisiowej, że nie wpuści jej na próg, że ma swój honor, że nigdy nie zapomni tego, co zrobiła.

– Że wyjechała i nie wraca?

– I że się nie odzywa.

– Może był wtedy zły, dlatego tak powiedział.

– On ciągle jest zły. Wcale się nie uśmiecha, tylko na wszystkich krzyczy. Fabisiowa powiedziała mamie Ewki, że moja mama nie nadawała się na wieś. Od początku chciała mieszkać w mieście i ojciec jej to obiecał przed ślubem, a potem nie dotrzymał obietnicy.

– I dlatego wyjechała?

– Nie wiem, może dlatego.

– A ty? A chłopcy? Nie tęskni za nimi?

– Sam nie wiem, co o tym myśleć. – Machnął ręką. – Lepiej grajmy.

– Oni oboje mają w sobie jakieś rany – powiedziałam jak prawdziwy znawca.

– Jakie rany? – Filip nie rozumiał, co miałam na myśli. – Chcesz powiedzieć, że moi rodzice są ranni?

– To nie o takie rany chodzi, nie takie prawdziwe, skaleczone.

– A o jakie?

– Byłam niedawno z rodzicami w kościele i ksiądz opowiadał taką historię. Zapamiętałam ją, bo mi się spodobała. Jeśli chcesz, mogę ją powtórzyć.

– No dobra. – Filip nie był zachwycony, ale się zgodził.

– To historia o ojcu i synu – zaczęłam z zapałem. – Był sobie ojciec, który miał niedobrego syna. Ten syn nic mu nie pomagał, wciąż sprawiał tylko kłopoty i ranił jego serce złymi uczynkami. Tych złych uczynków było już tyle, że ojciec stracił rachubę. Pewnego dnia przyniósł do domu worek dużych i małych gwoździ oraz młotek. Kiedy syn sprawił mu wielką przykrość, wbijał w deskę nad łóżkiem duży gwóźdź, kiedy mniejszą, wbijał mniejszy. Gdy już tych gwoździ było bardzo dużo, syn zapytał zdziwiony: „Ojcie, dlaczego wbijas gwoździe w ścianę nad swoim łóżkiem? Czy one coś znaczą?”. Wtedy ojciec mu odpowiedział: „Te gwoździe oznaczają rany, które zadajesz mi każdego dnia. Policz, ile ich jest”. Syn policzył i przestraszył się. Postanowił w końcu się zmienić. Codziennie robił więc ojcu jakąś przyjemność, żeby odkupić swoje winy. Ojciec za każdym razem, gdy

syn dobrze się sprawował, wyciągał ze ściany jeden gwóźdź. Pewnego dnia w ścianie nie było już ani jednego gwoździa. Wtedy ojciec zawołał syna i powiedział: „Zobacz, synu, w ścianie już nie ma gwoździ. Ciesz się, że tak się poprawiłeś”. A syn zapytał: „Czy wybaczysz mi moje złe uczynki?”. Ojciec odpowiedział: „Wybaczę ci twoje zachowanie, ale spójrz na te dziury w drewnie, to rany, które mi zadałeś. Te mniejsze może z czasem się zasklepią, ale te głębokie już na zawsze pozostaną”.

Filip siedział zasłuchany. Chyba podobała mu się ta historia.

– Myślisz, że z moimi rodzicami było tak samo? Że zadawali sobie rany?

– Nie wiem, tak tylko pomyślałam. Może byli dla siebie po prostu źli.

– No właśnie. – Filip się zastanowił. – Tylko kiedy tak myślę, to nie wiem, kto bardziej. Czy ojciec był zły dla mamy i dlatego odeszła, czy mama była zła i dlatego nas zostawiła?

– Moja mama chyba by tego nie zrobiła. Nie zostawiłaby nam Jasia. Jest jeszcze za mały. Ale chyba też nie lubi wsi, bo ciągle chodzi bez humoru. Powiedziała w zeszłym tygodniu, że zacznie chyba malować obrazy. Prosiła tatę o różne przybory do malowania i chce spróbować.

– Potrafi ładnie malować? – Filip z ulgą zmienił temat.

– Nie wiem, nigdy nie widziałam jej rysunków, ale mówiła, że lubi, więc da sobie radę. Że jak się coś będzie cierpliwie robiło, można zostać mistrzem.

– Tak jak sportowcy – potwierdził Filip. – Na początku są słabi, a później dużo trenują i wygrywają olimpiadę.

– Ale ona przecież nie chce zostać mistrzem – tłumaczyłam – chce malować tylko tak, dla przyjemności.

– Albo z nudów. – Filip podsumował. – To chyba dobrze, że będzie miała zajęcie.

– Dlaczego?

– Mój ojciec mówi, że jak kobiety mają zajęcie, to im głupoty nie chodzą po głowie.

Nie podobało mi się to, co powiedział Filip. Było niemądre. Przecież mojej mamie nigdy głupoty nie chodziły po głowie. Odechciało mi się grać. Specjalnie potraçałam klocek, żeby wieża wreszcie się zawaliła. Chciałam zostać sama, by przemyśleć spokojnie różne sprawy.

– Szkoda! – zawołał Filip, kiedy drewniane klocki runęły z łoskotem na podłogę.

Zrobił się okropny hałas i do pokoju wpadła zdenerwowana mama.

– Czy wyście oszaleli? – syczała. – Obudzicie dziecko. Zasnął dopiero przed chwilą.

Spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo.

– To ja chyba pójdę już do domu. – Filip przestraszony poderwał się z kolan. – Obiecałem tacie, że wrócę przed dziewiątą – tłumaczył.

– Myślę, że starczy na dzisiaj. – Spojrzenie mamy było nieubłagane. – Posprzątajcie klocki, tylko bez hałasu.

MARTA MORAŃSKA

koleżanka z tego samego bloku. Rozmowa przeprowadzona wieczorem w mieszkaniu. Marta uśmiecha się, jest rozluźniona, bez skrępowania opowiada o tym, w jakich okolicznościach poznała Joasię Zalewską.

Kiedy poznałam Joasię, była wiosna. Joasia nie chciała wychodzić na dwór i jej tata pewnego dnia zaczepił mnie i poprosił, żebym z nią porozmawiała.

– Ona jest trochę onieśmielona nowym miejscem. Dotychczas mieszkała na wsi, gdzie każdy ją znał, a tutaj jest wszystko nowe, inne, i ona czuje się obco. Bawi się sama na balkonie i spogląda zazdrośnie na inne dzieci. Nasze namowy nie skutkują, może gdybyś to ty ją zaprosiła, miałyby większą odwagę. Tylko nie mów jej o naszej rozmowie, dobrze? To byłoby niezręczne.

Pamiętam ten dzień bardzo wyraźnie. Tata Joasi był uśmiechnięty i miły, inny niż mój, który zawsze jest nerwowy i zmęczony. Zazdrościłam Joasi. Moich rodziców nigdy nie było. Wymieniali się tylko dyżurami w domu. Albo mama, albo tata na zmianę. Tata był dziennikarzem znanej gazety, ciągle gonił za sensacjami, czasami ryzykował życie. Mama pracowała w telewizji. Wprawdzie mogłam ją często oglądać na ekranie, ale za to w domu bywała gościem. Gdy wreszcie pojawiła się w zasięgu mojego dotyku, obok niej wyrastały stosy papierów. Przygotowywała nowy program albo przerabiała stary, albo poprawiała nowy, który nie został przyjęty do realizacji. Czasami znad papierów spoglądała na mnie zmęczona i mówiła błagalnym głosem: „Marta, zrób mi herbatę albo kawę, lepiej kawę, taką mocną!”. Rodzice prawie nigdy nie byli ze sobą razem. Tylko mijali się w drzwiach, wymieniając informacje, co zostało załatwione, a co jeszcze nie i kto kiedy wróci, a kiedy wyjedzie. A gdy udało się im wreszcie spotkać, mieli tyle spraw do omówienia, że czasem zapominali, że w ogóle mnie mają.

Dlatego zazdrościłam Joasi rodziców, choć moich kochałam mimo wszystko (w końcu kocha się ludzi za to, że są, a nie za to, że mają więcej albo mniej czasu). Jedyne, czego nie mogłam im wybaczyć, to braku

rodzeństwa, bo bardzo chciałam mieć brata. Niestety, rodzice nie mogli sobie na drugie dziecko pozwolić. Tak mówiła mama do swoich koleżanek przez telefon, prosząc je kolejny raz o dyżur przy córce, czyli przy mnie.

Kiedy to wszystko się wydarzyło, gdy zawalił się Joasi świat, myślałam, że ona nie da rady. Żyła jak pączek w maśle, o nic się nie martwiła, nic nie musiała robić, o niczym pamiętać. Mama i tata usuwali z jej drogi wszystkie przeszkody, nie nauczyli jej samodzielności. Gdyby mnie to spotkało, byłoby zupełnie inaczej. Przyzwyczyłam się do dbania o własne sprawy, potrafiłam też zadbać o innych. To normalne, że czasami tak jest, i nie ma co się użalać.

Tego lata wakacje nie zapowiadały się dobrze. Babcia Krysia wyjechała do syna do Australii. To był brat mojej mamy. Urodziły się im bliźniaki, więc potrzebowali pomocy. Została mi jedynie ciotka Dorota ze Świnoujścia, czyli młodsza siostra babci Krysi.

Ciotka mieszkała w starym domu, bardzo blisko morza. Miała ładny ogród i była sama. Cieszyłam się na ten wyjazd. Nigdy jeszcze nie byłam nad morzem. Rodzice zabierali mnie tylko w góry. Uważali, że nad morze wyjeżdżają jedynie leniuchy i żarłoki. Dostałam błękitny kostium kąpielowy, mały ponton w różowe motylki, koło ratunkowe, przezroczyste klapki do chodzenia po plaży, i wyruszyłam w daleką podróż. Morze zobaczyłam tylko raz – tego dnia, gdy przyjechaliśmy do Świnoujścia. Prosto z trasy tata zajechał na parking przed plażą i poszliśmy obejrzeć zachód słońca. Był już wieczór, słońce zachodziło za horyzont. Widok był precudny.

– Zobaczysz, jak tu jest pięknie o wschodzie. A w słoneczne dni na plaży jest tyle ludzi, że brakuje miejsca na koc, a morze tak przyjemnie szumi i łaskocze w nogi. Na plaży można znaleźć muszelki, kolorowe kamyczki, czasami trafi się malutki bursztyn, zobaczysz! – Obiecywali rodzice, kiedy się rozstawaliśmy.

A ja nie zobaczyłam już nic więcej poza tym zachodem słońca. Ciotka, dawna nauczycielka, na pierwszy rzut oka zupełnie normalna, okazała się fanatyczką zawodu i gdy tylko rodzice zniknęli z pola widzenia, przypomniała sobie dawne czasy i zajęła się moim wychowaniem.

– Jesteś bardzo zaniedbanym dzieckiem – zauważyła. – Brakuje ci dobrych manier i podstawowych umiejętności – powiedziała na wstępie. Potem przepytowała mnie z matematyki, kazała przeczytać kilka linijek tekstu i

stwierdziła: – Ty nic nie umiesz!

– Ale ja mam tylko dziewięć lat – tłumaczyłam. – Skończyłam drugą klasę i dopiero zaczynam się uczyć. – Próbowałam protestować. W końcu w szkole nie byłam osłem.

– A ja jestem wieloletnim pedagogiem – powiedziała z wysoko podniesioną głową. – Wiem, co powinna umieć dziewczynka w twoim wieku. Dlatego ogłaszam dzisiaj i podaję do twojej wiadomości, że przez resztę miesiąca będziemy nadrabiały zaległości. Udowodnimy rodzicom, co powinnaś wiedzieć, bo słabo się, jak widać, starają – oświadczyła podniesionym głosem.

Tym sposobem zamiast spacerować po plaży, pluskać się w morskich falach i pływać na nowiutkim pontonie w różowe motylki, siedziałam w ogromnym mieszkaniu, do którego nie docierał nawet promyczek słońka, bo stare drzewa przykrywały konarami cały dom. Rano schodziłam do małego sklepiku, żeby zrobić zakupy, i natychmiast musiałam wracać do domu, potem uczyłam się gry na fortepianie, potem głośnego czytania. Ciotka na obiad gotowała codziennie to samo (rosół z kury, ziemniaki z mięsem i kalafior), a po obiedzie ja sprzątałam, myłam naczynia i ustawiałam na swoje miejsce, prałam własne rzeczy, uczyłam się prasować, składać ubrania, układać sztuce na stole, wyszywać kwiatki na płótnie, piec ciasteczka z płatków owsianych, zjadane potem tylko przez ciotkę, obierać ziemniaki, cerować, przyszywać guziki i jeszcze wiele rzeczy, których już nawet nie pamiętam. Przeszłam przyspieszony kurs gospodyni domowej i kujona.

Z okien mojego pokoju na piętrze dojrzałam wśród gęstych gałęzi kawałeczek błękitnego nieba. Wmówiłam sobie, że to jest morze. Wpatrywałam się godzinami w ten błękit, marząc o wyjściu do ogrodu. W końcu ciotka się zgodziła, pod warunkiem że nie wyjdę poza ogrodzenie i będę przebywała jedynie koło domu.

– W mieście jest niebezpiecznie – tłumaczyła z ponurą miną. – Wszędzie tłumy ludzi, nie wiadomo, co się może zdarzyć. Pamiętaj, nie wychodź na ulicę. Ja nie wychyłam od lat nosa z domu. Zakupy robię tylko naprzeciwko i natychmiast wracam. Tobie też to radzę.

Musiałam posłuchać. Zresztą nawet gdybym chciała, to furka i tak była zamknięta, a płot wysoki i żadnej dziury w siatce.

Dom ciotki stał w pobliżu innych domów, ale w żadnym z nich nie było

dzieci. Widziałam tylko dorosłych, jak wyjeżdżali samochodami, a potem wracali, sami albo ze znajomymi. Śmiali się, żartowali, było im wesoło. Nawet nie przeczuwali, że obok za płotem smuci się w samotności mała dziewczynka. Bo u ciotki nie było ani zabawek, ani gier, ani książek dla dzieci. Nie wolno mi było zabrać do piasku nawet starej łyżki. Dopiero później, gdy odkryłam resztki rozpadającej się altanki, wszystko się odmieniło. Altanka kiedyś musiała być piękna. Zrobiona była z drewna wyciętego w różne wzory, miała okienka i dwie wąskie ławeczki. Teraz porastał ją gęsty bluszcz, a dzikie róże dzielnie strzegły wejścia. Ale dla mnie nie było przeszkód. W środku znalazłam zardzewiałe narzędzia, skrzynki, butelki, słoiki i inne nieprzydatne do niczego śmieci. Wykorzystałam jedynie łopatkę i dwa małe słoiki. Tuż obok altanki odkopałam trochę mięciutkiej gliny. Gdy dodało się do niej wody, można było wyrabiać prawdziwe naczynia – miseczki, wazoniki, talerze, a nawet kubeczki z uszkami. Zrobiłam prawie całą zastawę stołową. Wszystko ustawiłam na desce wyjętej ze środka altanki, a będącej z pewnością jej częścią, i umieszczałam tam, gdzie najmocniej świeciło słońce. Po kilku dniach naczynia pięknie wysychały i mogłam się bawić sama ze sobą w dom. Przynosiłam z kuchni papierowe serwetki i nakrywałam do stołu. W słoikach gotowałam obiad z kwiatków, podartych drobno listków, różnych roślinek i z piasku. Gotowałam go na wymyślonej kuchence z kamieni. Zapraszałam na obiad wymyślonych przyjaciół i serdecznie z nimi rozmawiałam. Tak spędzałam godziny wolne od pracy i nauki.

Pewnej nocy obudził mnie deszcz. Walił z całej siły w szyby. Potem zaczęła się burza. Ze strachu nie mogłam spać. Przykryłam się aż po czubek głowy i płakałam. Deszczowa pogoda utrzymywała się przez tydzień. Ciotka ani razu nie pozwoliła mi wyjść do ogrodu. Nawet sama chodziła po zakupy, żebym czasami nie zmarzła.

– W ogrodzie jest mokro, zamoczysz nogi i będziesz chora. Skąd ja ci zaraz wezmę doktora. | – Przyniosła mi od sąsiadów trochę książek dla dzieci. – Poczytaj sobie i nigdzie nie wychodź.

Dopiero po dziesięciu dniach mogłam wyjść na zewnątrz. Od dwóch dni świeciło słońce i ciotka uznała, że nic mi już nie grozi. Natychmiast pobiegłam do mojego altankowego domu. Miałam ze sobą śliczną serwetkę w różowe tulipany i wazonik na kwiatki. Kiedy weszłam do środka, ujrzałam tylko marne resztki mojej zastawy stołowej. Deszcz zamienił

wszystko w błoto. Nie mogłam się nimi bawić. Została tylko mała bryłka gliny pomieszanej z piaskiem. Gdy jej dotknęłam, rozsypała się w pył. Było mi bardzo żal. Nadaremnie szukałam w ogrodzie drugiej glinianej żyły, żeby zacząć wszystko od początku. Wszędzie był tylko piasek i piasek.

Z każdym dniem było gorzej. Rozżalenie i tęsknota sprawiły, że nocami nie przestawałam płakać. Przez to każdego dnia rano wyglądałam jak chodzące nieszczęście. Ciotka załamywała nade mną ręce, parząc mi kolejną uzdrawiającą herbatkę.

W końcu postanowiłam się zbuntować i zażądałam telefonu do rodziców.

– Przecież dzwonią do ciebie co tydzień. – Ciotka oponowała.

– Ale z nimi nie rozmawiam.

– Nie musisz. Ja informuję rodziców o twoich postępach.

– Ale ja chcę sama porozmawiać z mamą.

Wtedy ciotka spojrzała z groźną miną.

– Po co mamę denerwować? Jeszcze pomyśli, że ci u mnie czegoś brakuje.

– Nic mi nie brakuje, ale chciałabym wyjść trochę na spacer, pójść nad morze, kupić sobie lody, pobawić się z dziećmi – żaliłam się.

– To nie jest ci potrzebne do prawdziwego wypoczynku. Przecież wszystko możesz mieć, gdy jesteś w domu, lody, podwórko, koleżanki. No, jedynie nie masz morza, ale wierz mi, to naprawdę nic specjalnego. Plaże są zatłoczone, brudne, jest taki upał. Na pewno zjechała tutaj połowa Polski. Możesz się zgubić albo zarazić jakąś chorobą, albo przestraszyć. Co wtedy powiem rodzicom? Jak się przed nimi wytłumaczę? Daj sobie spokój z tym telefonem – radziła – i jeszcze trochę nad sobą popracuj. Pomyśl o przyszłości. Słabym ludziom ciężko jest osiągnąć coś w życiu. – Wstała i chciała wyjść, gdy nagle coś jej przyszło do głowy. – A kim ty chciałabyś kiedyś być? – Spojrzała na mnie z ciekawością.

– Baletnicą – odpowiedziałam jednym słowem, bo miałam zaciśnięte gardło z rozpacz i złamane serce.

– Mój Boże! – krzyknęła tak, że zadzwoniły drobne kryształki w żyrandolu zwisającym nad stołem, a przestraszona mucha siedząca na jej włosach o mało się nie zabiła, wpadając w kredens. – Baletnicą!!! Dziecko, ja chyba źle słyszę! – wołała, trzymając się rękami za głowę.

W ten sposób mój bunt na nic się nie przydał, a przyznając się do swoich grzesznych zainteresowań, wywołałam prawdziwą burzę. Nie miałam

innego wyjścia. Żeby uwolnić się od towarzystwa ciotki na resztę wakacji, musiałam użyć podstępu.

Napisałam list do Joasi, bo tylko jej adres miałam w notatniku. Dała mi go przed naszym rozstaniem, bo myślała, że do niej przyjadę. Nie umiałam jeszcze dobrze pisać, ale poprosiłam, żeby jej mama zadzwoniła do mojej i wszystko opowiedziała. Miałam nadzieję, że tym sposobem odzyskam w końcu upragnioną wolność. O dwunastej w południe czekałam przy furtce na listonosza. Codziennie o tej porze przynosił ciotce świeżą gazetę. Odebrał ode mnie list i wysłał, a po kilku dniach pod dom przy ulicy Pechowej w Świnoujściu podjechał samochód mojego taty.

JOASIA ZALEWSKA

*Spacerujemy po osiedlu. Jest wczesne popołudnie. Przed blokami
bawiące się dzieci.*

Przeszkadzają, wpadając raz po raz na wózek z kamerą.

Robią głupie miny. Joasia nie zwraca na nie uwagi.

Opowiada swoją historię wolno, zastanawiając się nad każdym słowem.

Kręcimy.

Mama wpadła w szał malowania. Każdą wolną chwilę spędzała z pędzlem w ręku.

– Zawsze chciałam malować – tłumaczyła tacie z wypiekami na twarzy.
– To moje marzenie od dziecka. Podobno kiedyś nieźle mi to szło. –
Próbowała go przekonać do swojej pasji.

Tata zerkał na kolorowe plamy, którymi pokrywała kolejne kartki papieru, i tylko się uśmiechał. A mama wciąż pytała:

– Podoba ci się ten rysunek?

– Podoba – odpowiadał.

– Ale który jest lepszy, ten, który malowałam wczoraj, czy dzisiejszy?

– Ten dzisiejszy jest trochę lepszy, jakby wyraźniejszy.

– To znaczy, że co? Ma ładniejsze kolory czy wzory?

– I jedno, i drugie – cierpliwie odpowiadał tato.

– Powiesiłbyś go? – pytała bez końca.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? Oczywiście na ścianie.

– Tutaj na ścianie czy w domu?

– Może być tutaj – zgodziła się mama.

– Tutaj bym się zgodził, ale w domu raczej nie.

– Dlaczego? – Wydawała się zawiedziona.

– Musisz jeszcze trochę poćwiczyć. – Tato roześmiał się rozbawiony.

– Ale jesteś. – Udawała obrażoną, ale widać było, że jest szczęśliwa. Nie wiedziałam, czy tę radość powodowało malowanie czy dobry humor taty.

– Obiecuję ci, że pierwszy obraz, który sobie na to zasłuży, zawiśnie na widocznym miejscu w naszym domu.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. A teraz kończ to malowanie, bo na dworze jest piękna pogoda, idziemy na spacer.

– Chciałam jeszcze trochę popracować.

– Ale my chcemy z Jasiem pójść do lasu. Podobno pokazały się kurki w lesie po drugiej stronie potoku. Zabierzemy ze sobą dzieci i pójdziemy.

Mama nie była zadowolona. Od kiedy zaczęła malować, inne sprawy straciły znaczenie. Byłam na nią zła, bo tata tak rzadko przyjeżdżał do Bielinka i chciał się nacieszyć mną, Jasiem i mamą.

– Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu do Wiednia. – Usłyszałam, jak mówił do mamy.

– Na długo? – spytała obojętnym głosem. Jak ja nie lubiłam tego tonu.

– Na kilka dni, najwyżej na trzy, góra cztery.

– To coś ważnego? Miałeś wziąć sobie kilka dni urlopu. Obiecaliśmy dzieciom wyprawę do Zakopanego.

– To tylko kilka dni. Zostały jeszcze trzy tygodnie wakacji, pojedziemy po piętnastym – obiecywał, podskakując jednocześnie z Jasiem tkwiącym na jego ramionach.

Ja dreptałam obok, trzymając go mocno za rękę. Tak się cieszyłam, że był z nami, bo wtedy czułam się bezpieczna. Mama wydawała mi się osobą, która bez jego opieki zginęłaby z głodu. Dbał o nią i o nas. Zarabiał pieniądze, woził nas wszędzie, często robił zakupy, znosił różne prezenty, przywoził z podróży niespodzianki dla nas i kolorowe chustki dla mamy. Bo mama kolekcjonowała chustki z różnych krajów. Każda chustka symbolizowała dany kraj albo się z nim kojarzyła. Miała ich już kilkanaście. Wszystkie były piękne, każda inna, każda z innego materiału. Tylko kilka kupiła sama. Pozostałe przywiózł jej tata ze swoich rozlicznych podróży. Mama mówiła, że tata ma dobry gust i wyczucie smaku. Nie rozumiałam za bardzo, co to oznacza, ale czułam, że chyba coś dobrego.

Trzy dni z tatą upłynęły nam bardzo wesoło. Robiliśmy razem różne głupoty, trochę tym denerwując mamę. Najpierw budowaliśmy na podwórzu wielki pałac z błota. Pałac był ogromny, miał dwie wieże, mury warowne i fosę. W fosie płynęła woda, doprowadzona wężem z kuchennego kranu. Cały błotny pałac oblepiliśmy posiekaną zieloną trawą, dach płatkami różowej koniczyny, a w fosie na dnie leżały nazbierane w polu bławatki. Powstał zielony pałac z różowym dachem i niebieską wodą w fosie. Jasio

wtykał dokoła suche patyczki, które miały być zasiekami broniącymi zamku przed wrogiem. Tych patyczków było tyle do wetknięcia, że Jasio miał zajęcie na kilka godzin i bardzo mu się ta praca podobała. Aż popiskiwał z przejęcia.

W sobotę wieczorem staliśmy we trójkę na balkonie i robiliśmy ogromne bańki z mydlin. Zamiast słomek tata zrobił mi papierowe rurki, które co prawda szybko rozmakały, ale za to powstawały z nich ogromne mydlane banie. Jasio dostał rurkę od oranżady, a tata dmuchał w ogromną rurę od papieru toaletowego. Jego balony były jak olbrzymie piłki. Mydliny musiały być gęste, a dmuchać trzeba było bardzo powoli. Krzyczeliśmy z emocji, gdy kolejna wielka bańka opadała miękko z balkonu na trawę. Na dole stała mama i łapała. Niektóre bańki spadały wprost na nią.

W niedzielę po obiedzie tata wyjeżdżał. Pijąc kawę, opowiadał nam o swojej podróży do Wiednia i o tym, co nam stamtąd przywiezie. Zabrał do domu część obrazów mamy, bo o to prosiła, i obiecał, że przywiezie nowy zapas farb, a może nawet kupi ładniejsze w Wiedniu. Ale zanim wyjechał, poprosił mnie o przysługę.

– Chciałem cię, Joasiu, o coś prosić – zaczął z tajemniczą miną. – Niedaleko stąd, za domem, a właściwie na wzgórzu koło starej studni posadziłem młode drzewko. To miłorząb, drzewo pamięci. Musisz o niego dbać, obiecaj mi, proszę. Jest jeszcze bardzo słabe, może uschnąć bez wody. Każdego dnia będziesz musiała je podlać, aż się dobrze przyjmie. Dostałem to drzewko od kolegi. Rosło u niego na balkonie. Już się tam nie mieściło. U nas będzie mu lepiej.

– Nic się nie bój, tatusiu – obiecałam. – Na pewno nie zapomnę.

– Wiaderko z wodą nie będzie dla ciebie zbyt ciężkie?

– Będę wlewała połowę. Albo poproszę o pomoc mamę.

– Mamie nic o tym drzewku nie wspominaj. Będzie na mnie zła.

– Dlaczego? – zapytałam zdziwiona.

– Mama jest trochę przesadna. Uważa, że takie drzewko przynosi ludziom pecha.

– Ale nie ma racji, prawda?

– Komu może zaszkodzić takie małe, bezbronne drzewko?

– Chyba nikomu – potwierdziłam.

– No właśnie. Nie możemy pozwolić mu zginąć.

– Nie zginie, nie martw się o nie.

Machałam i machałam. Dopóki samochód nie zniknął na zakręcie drogi, nie spuszczałam oczu z czerwonych światełek migocących w promieniach słońca. Było mi smutno, ale myślami stałam już za domem koło studni. Nie zawiodę taty – obiecywałam sobie. Dopilnuję, żeby drzewko, które powierzył mojej opiece, nie zmarniało.

Następnego dnia zadzwoniła Marta. Była już w domu i chciała podziękować mojej mamie za pomoc. Za sprawą jej interwencji mogła wreszcie uwolnić się od nadgorliwej ciotki. Obiecała, że może odwiedzi nas za tydzień i zostanie na kilka dni, jeżeli tylko jej tata będzie miał czas przywieźć ją do Bielinka. Cieszyłam się z tego.

Filip wyjeżdżał za dwa dni na obóz, Ewka i Kaśka pracowały w polu, a ja, choć dla mnie też było zajęcie przy żniwach, wolałam się bawić w domu. Był upał nie do wytrzymania. Po całym dniu na słońcu rozboleła mnie głowa. Mama przestraszyła się, że to słoneczny udar. Poszłam więc wcześniej do łóżka i dostałam polopirynę. Musiałam wyzdrowieć, bo obiecałam Filipowi, że odprowadzę jego i kilku chłopców o ósmej rano na autobus.

W nocy śniły mi się straszne rzeczy, podobno głośno krzyczałam przez sen, a nad ranem wymiotowałam. Mama orzekła, że jestem naprawdę chora. Przez to Filip odjechał na obóz bez pożegnania. Wprawdzie obiecał mi, że przed moim wyjazdem do domu na pewno się zobaczymy, aleja i tak głośno płakałam, kiedy mama zabroniła mi opuszczać łóżko. Wieczorem czułam się już całkiem dobrze, a po kolacji mama pozwoliła mi pobycć chwilę na dworze. Gdy kładłam się spać, zadzwonił telefon. Przestraszyłam się tego dźwięku. Był inny niż zawsze, bardziej natarczywy, jakby głośniejszy. Mama zatrzymała się obok półki z aparatem i przez chwilę czekała. Chyba coś przeczuwała. Jej szczupła ręka delikatnie uniosła się do góry i powoli opadała. W ostatniej chwili jeszcze spojrzała na mnie i chyba była przerażona. Powiedziała cicho „Joasiu” – jakby szukała u mnie pomocy albo wybaczenia. Telefon wciąż dzwonił jak nieproszony gość, w końcu mama jednak go odebrała. Stała wyprostowana, powtarzając bez końca jak żołnierz na warcie „Tak, tak, tak”, a potem „Rozumiem, rozumiem, rozumiem” i nagle zemdląa.

DOKTOR BIELICKI

Kręcimy w szpitalu na dyżurze.

Co chwila przerywamy rozmowę. Jakies wezwanie na salę. nagranie się przeciąga.

Joasię poznałem, kiedy miała może dwa, a może trzy lata, już dokładnie nie pamiętam, ale chyba trzy, bo tak wynika z moich obliczeń. Jeszcze wtedy pracowałem w tym małym miasteczku niedaleko Karpacza. Miałem właśnie dyżur w pogotowiu, gdy jakiś mężczyzna przywiózł samochodem małą dziewczynkę z nosem zapchanym fiołkami. Jeszcze dziś chce mi się śmiać, kiedy o tym pomyślę. Z czymś takim pierwszy raz się spotkałem. Wprawdzie moja praktyka lekarska dopiero się zaczynała i nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia, jednak przypadek był dość osobliwy. Mówiąc szczerze, nos dosyć dobrze kojarzy się z fiołkami, ale żeby aż tak? Dziewczynka miała otwartą buzię i oddychała ustami. Ojciec zabronił jej oddychać nosem z obawy, że któryś z kwiatków powędruje zbyt głęboko. Z obu dziurek wystawały na zewnątrz fioletowe płatki. Mała spoglądała spokojnie na cienką pincetę i nawet nie pisnęła. Kiedy wyjmowałem z jej nosa majowe kwiecie, siedziała spokojnie i cierpliwie czekała na koniec zabiegu.

– Dlaczego to zrobiła? – zapytałem.

Jej ojciec uśmiechnął się tajemniczo.

– Chciała się nawąchać na zapas – wyjaśnił. – W każdym razie tak mi powiedziała.

Zapamiętałem to zdarzenie na całe życie. Często o nim opowiadam. Zawsze kiedy wiosną kwitną fiołki, przypomina mi się ta dziewczynka, na swój wyjątkowy sposób» kochająca te kwiaty.

Kiedy ujrzałem ją po raz drugi tu, w szpitalu na oddziale, w okolicznościach dużo gorszych niż wtedy, sam się zdziwiłem, że tak mało się zmieniła. Ten sam poważny wzrok, spokój i zrównoważenie.

Dzieciom zazwyczaj oszczędza się takich widoków. Nikt nie pokazuje im umierających rodziców, nikt nie stawia przed nimi tak trudnego zadania jak dotrzymanie towarzystwa ukochanemu ojcu w odchodzeniu ze świata. A

jednak oni stali wszyscy razem, wpatrzeni w twarz mężczyzny leżącego na szpitalnym łóżku, na oddziale intensywnej terapii, i żadna siła nie ruszyłaby ich z tego miejsca. Trójka ludzi, związanych ze sobą najmocniejszymi na świecie więzami... Jedno z nich odchodziło stąd na zawsze.

Ojciec Joasi był po ciężkiej operacji przeprowadzonej ostatniej nocy. O godzinie ósmej wieczorem poprzedniego dnia przywieźli go karetką z wypadku. Był w ciężkim stanie, nieprzytomny i poturbowany. Leżał podłączony do aparatury, uwięziony wśród kabli jak owad w pajęczynie, a my wszyscy czekaliśmy, co będzie dalej. Nie miałem wielkich nadziei, nie ludziłem się, że przeżyje. Operowałem go wraz z innymi lekarzami prawie całą noc, ale wiedzieliśmy, że chyba na próżno. Było mi przykro, że moja wiedza i możliwości nie wystarczyły, żeby go uratować. Czułem się winny, że tak niewiele mogę. Kręciłem się po oddziale, a mój wzrok wciąż biegł w tę samą stronę – w stronę przygarbionej sylwetki kobiety oraz dziewczynki stojących nieruchomo po drugiej stronie szyby. Mogłem ich pocieszyć jedynie uśmiechem, ale nikt ode mnie tego nie oczekiwał. Ja tu się w ogóle nie liczyłem.

Ładna kobieta z włosami upiętymi w gruby kok, mały chłopczyk drzemiący na jej ramieniu i ta dziewczynka jak posąg, patrząca przed siebie szklistym wzrokiem – mamrotała coś o drzewku, o podlewaniu, o korzeniach, o obietnicy. Nic z tego nie rozumiałem.

Duży zegar na ścianie cierpliwie odmierzał czas. Mężczyzna leżał niczego nieświadomy. Jemu było już wszystko jedno, dla kogo chodzi ten zegar. Podeszedłem bliżej i zapytałem:

– Może napije się pani kawy albo herbaty, a córka? Na końcu korytarza jest barek. Przyniosę jakiegoś soku – zaproponowałem.

– Dziękujemy – odmówiła spokojnym głosem. – Ale gdyby można było położyć gdzieś małego. – Pokazała na śpiącego chłopca. – Jest bardzo zmęczony.

– Ależ oczywiście. – Było mi wstyd, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy. – Proszę położyć go w moim gabinecie. Jest tam wygodny tapczan i kozetka. Córka też może się przespać.

– Ja zostanę! – Usłyszałem zdecydowany głos. – Ja zostanę razem z tatą i z mamą – powtórzyła głośno i zmroziła mnie lodowatym spojrzeniem.

Położyliśmy chłopca, pielęgniarka przyniosła koc do przykrycia i poduszkę. Mały nawet nie drgnął.

– A pan? – zapytała kobieta. – Pan nie będzie się kładł?

– Ja nie mogę, mam dzisiaj dyżur – wyjaśniłem.

Kiwnęła tylko głową, a potem jeszcze raz na mnie spojrzała.

– Czy to pan go operował?

– Miedzy innymi – potwierdziłem.

– Co pan myśli, czy wyjdzie z tego? – Jej oczy wypełniły się łzami.

Spojrzała odruchowo na córkę, bojąc się, co usłyszy.

Chwilę milczałem zmieszany i przerażony, cóż miałem jej odpowiedzieć?

– Proszę nie mieć zbyt wielkich nadziei – powiedziałem szczerze, choć zaraz pożałowałem.

Chyba zrozumiała. Nie zadawała już więcej pytań. Ścisnęła mocno rękę córki i tylko na niego patrzyła. Patrzyła całą sobą, nie odrywała od niego oczu ani na chwilę. Chyba chciała się napatrzeć na resztę życia, tak samo jak kiedyś jej córka chciała się na całe życie nawąchać fiołków.

Ojciec Joasi zmarł jeszcze tego samego dnia, właśnie wtedy, gdy one tak stały i patrzyły. Aparatura odmierzająca tętno i ton jego serca w jednej chwili zamilkła. Zegar na ścianie przestał dla niego odliczać czas, słońce przestało dla niego świecić, deszcz padać. Dla niego wszystko się skończyło, mozolna wędrówka po świecie dobiegła kresu. Żona i córka w milczeniu obserwowały, jak kochane serce wykonuje ostatnie uderzenie, jak jego oddech zanika na wieki, ciało nieruchomieje. Już nigdy się nie zobaczą, nie ucieszą swoim widokiem, nie spotkają. Każda na swój sposób pokonywała strach przed tym, co będzie dalej, jak będzie żyła bez niego, bez tego, który pewną ręką prowadził je przez życie i tego życia cierpliwie uczył.

JOASIA ZALEWSKA

Jedziemy samochodem na Powązki.

Pierwszy rok po śmierci taty minął jak zły sen. Tego, co było w szkole, prawie nie pamiętam. Codziennie rano zabierałam śniadanie, plecak z książkami i wychodziłam z domu, jakby we śnie. Myślałam, że dzieci szybciej zapominają. Ale to nieprawda. Może gdybym zmieniła miejsce, dom, albo chociaż pokój, wspomnienia mniej by dokuczały.

Mama ciągle płakała. W dzień coraz mniej, ale po nocach słyszałam, jak smarka w chusteczkę i chodzi po mieszkaniu. Czasami tak bardzo płakała, że nie mogłam zasnąć. To było najgorsze. Ciemna noc, cisza, sen nie przychodzi, a tu zza ściany jej kroki, pociąganie nosem, czasami głośny szloch. I wtedy kłębią się myśli, wspomnienia. Czasami, gdy było nam bardzo źle, kładłyśmy się razem do łóżka, albo gdy mama nie spała, wchodziłam do łóżeczka Jasia i skulona kładłam się obok niego. Tak pięknie pachniał. Sapał przez sen, czasami coś mruczał, a nieraz nawet śpiewał. Miał już trzy i pół roku. Podśluchiwał nasze rozmowy, nieudolnie naśladował telewizyjne reklamy, tworzył własny świat chłopięcych dylematów. Nie zawsze można było zrozumieć, o czym mówi. Niestety, źle wymawiał literkę „eh”, to znaczy mówił ją, ale w złym miejscu. Zamiast „eh” mówił „f”. Wtedy „chuligan” brzmiało „fuligan”, a zamiast „kuchnia”, mówił „kufnia”. Natomiast tam, gdzie powinno być „f”, dla odmiany mówił „eh” i wtedy nie mówił „fiat”, ale „chiat”. Najgorzej wymawiał słowa, w których występowały obydwie litery. Wychodziły z tego komiczne rzeczy. Czasami do łez rozśmieszał nas tymi swoimi przeróbkami.

Kiedyś w czasie zabawy metalowym samochodzikiem rozbił ulubiony wazon mamy. Weszłam do pokoju zaalarmowana hałasem. Na stole leżały kawałki wazonu, a Jaś siedział nadąsany na podłodze.

– Co się stało!?! – krzyknęłam zdenerwowana, bo mama kazała mi pilnować małego, a ja rozmawiałam w tym czasie z Martą przez telefon.

Jaś nie odpowiadał. W końcu popatrzył na mnie spod przymkniętych powiek i powiedział:

– Jestem pefowcem.

- Kim?
- Pefowcem.
- Dlaczego? – Chciało mi się śmiać.
- Mój samofód nie ma famulców.

Rozejrzałam się, szukając winowajcy. Chciałam zarekwirować narzędzie przestępstwa.

- Gdzie jest ten samochód?
- Pojechał do mefanika – odpowiedział z powagą.
- A gdzie ten mechanik?
- Pod chotelem – oświadczył, zerkając ukradkiem, czy widzę, gdzie go schował.

- Daj mi go – poprosiłam. – Naprawię.
- Nie dasz rady. – Spojrzał na mnie podejrzliwie.
- Dlaczego?
- Bo nie jesteś chafowcem.

To były te chwile najprzyjemniejsze.

Oczywiście bywało, że doprowadzał nas do szału, ponieważ ciągle nie odróżniał zabawy od psot. Wprawdzie nie zjadał już przedmiotów, ale za to potrafił rozkręcić wszystko, co wpadło w jego ręce, nawet to, co się rozkręcić i popsuć nie dawało. Kiedyś, gdy oglądałyśmy telewizję, wykorzystał naszą nieuwagę i rozmontował komputer w moim pokoju. Całe szczęście, że był wyłączony z prądu. Innym razem postanowił naśladować mamę i zabrał się za przesadzanie kwiatków w pokoju. Można sobie wyobrazić, jak wyglądało potem mieszkanie. Ale to jeszcze nic. W sobotę mama chciała upiec ciasto i jak zwykle rozmieszała wszystkie składniki w żółtej misce, to znaczy jajka, masło, mleko i mąkę. Wtedy zadzwonił telefon. Mama poszła odebrać, a Jasek otworzył piekarnik i wlał zawartość miski bezpośrednio do środka. Kuchenka długo była nie do użycia.

Mogłabym wymieniać bez końca wyczyny mojego brata. Pomysłów mu nie brakowało. Bawił się i nie zważał na to, że my się smucimy. Myślę, że nie pamiętał już taty, bo ani razu o niego nie zapytał. Słowo „tata” wymazał ze swojej pamięci na zawsze. Być może, już nigdy tego słowa nie użyje. Zazdrościłam mu tej niewiedzy.

Rzadko wspominałyśmy z mamą nasze szczęśliwe lata. Raczej starałyśmy się o nich nie myśleć. Było jeszcze za wcześnie. Przy pierwszych próbach mówienia o tacie zaczynałyśmy płakać. Wystarczyło tylko

powiedzieć: „Pamiętasz, jak tata... ” i natychmiast były łyzy. Dlatego postanowiłyśmy jeszcze nie wspominać, choć wspomnień tak cudnych było wiele. Aż szkoda, że musiałam je na jakiś czas zamknąć na dnie serca. Wtedy wszystko mi go przypominało i nie mogłam pogodzić się z faktem, że jesteśmy tylko we trójkę. Liczba trzy jakoś do nas nie pasowała. Zawsze myślałam o nas jak o czwórce. Kiedy myślałam o naszej rodzinie, pierwszą refleksją była liczba cztery. Gdy stałam przy oknie w czasie deszczu, a kropelki spływały po szybie, widziałam w nich mamę, tatę, Jasia i siebie. Patrzyłam, jak płyną obok siebie, zbliżają się, oddalają, czasami łączą w dwie. Zawsze stawiałam kropelkę Jasia obok kropelki mamy, a taty kropelkę obok mojej. Po jakimś czasie one zlewały się ze sobą. To pomagało mi zrozumieć, że tata też trochę się ze mną złął w jednego mądrzejszego człowieka. Bo to przecież on nauczył mnie najważniejszych rzeczy w życiu i to on pozostał we mnie na zawsze. Gdy uświadomiłam sobie tę jedność, poczułam ulgę. Od tego czasu rozmawiałam z nim, radziłam się, a on odpowiadał w mojej głowie na pytania i dawał rozsądne rady. Gdy znalazłam się w sytuacji bez wyjścia, tata podpowiadał rozwiązanie. Kładłam się spać z kłopotem w głowie, a rano budziłam się z gotową odpowiedzią. To właśnie on powiedział mi któreś nocy w czasie snu, gdy mama chodziła po mieszkaniu i płakała, że muszę jej pomóc. Że nie mogę kapryścić na los, tylko zakasać rękawy i zastąpić jej tatę choćby w małym stopniu, w takim, w jaki może to zrobić dziesięcioletnia dziewczynka. Tak też robiłam. Teraz czułam się lepiej. Z tatą w mojej głowie niczego się już nie bałam. Wiedziałam, że czuwa nade mną i nie pozwoli mi zrobić żadnego głupstwa.

Najgorszy był pierwszy dzień po powrocie ze szpitala. W domu jeszcze pachniało koszulami taty. W pokojach panował pozostawiony przez niego rozgardiasz. W kuchni stała filiżanka z niedopitą kawą, nadgryziona kromka chleba, jego papcie koło łóżka i piżama, i wiele, wiele rzeczy jeszcze ciepłych od jego dotyków. W dużym pokoju na ścianie naprzeciwko drzwi, w złotej ramie, wisiał obraz namalowany w Bieliniku przez mamę. Przedstawiał jej ulubione kwiaty rosnące za domem w ogrodzie. Były mało podobne do prawdziwych kwiatów, ale tacie chyba się podobały, bo tak, jak obiecał, umieścił je w najważniejszym miejscu mieszkania. Mama stanęła pod tym obrazem i pierwszy raz od powrotu ze szpitala zapłakała. Potem zdjęła go ze ściany i schowała do szafy.

– Nie mogę na niego patrzeć – powiedziała.

Następnego dnia policja przywiozła bagaże taty. Mama mi ich nie pokazała. Zamknęła się z nimi w sypialni i bardzo długo stamtąd nie wychodziła.

– Ojciec zostawił jakieś upominki – powiedziała dopiero wieczorem. – Chcesz je?

Pokręciłam przecząco głową. Niczego nie chciałam. Potrzebowałam jedynie taty. Tak mi go brakowało. Nie potrafiłam sobie wcale wyobrazić, że teraz będziemy żyć bez niego. Mama chyba też o tym myślała, bo nagle powiedziała:

– Ja nawet nie umiem prowadzić samochodu.

– Nauczysz się – pocieszałam. – To chyba nic trudnego? – Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że z naszego samochodu zostały jedynie drzazgi.

Pogrzeb taty odbył się w samo południe. Przyszło dużo ludzi, lecz prawie nikogo nie znałam. Mama słabo się czuła. Przed wyjściem z domu ciocia Marysia dała jej coś na uspokojenie, żeby tak mocno nie płakała. Ale to niewiele pomogło. Dopiero wtedy, gdy przyniosłam z szafy zieloną chustkę z jedwabiu – prezent od taty – mama trochę się uspokoiła. Ciocia Marysia przez cały pogrzeb trzymała ją za rękę i szeptała coś do ucha. A ona zamknęła oczy i wtulona w zielony jedwab milczała.

W białej kaplicy stała tylko trumna, a na ziemi leżały kwiaty. Nie mogłam pojąć, że w środku leży on, mój tata, zamknięty na zawsze, i że już nigdy go nie zobaczę, choć przecież jest tak blisko mnie. Tak chciałam się do niego przytulić ostatni raz i zapytać, czy naprawdę leży w tej skrzynce, czy jest już z aniołami, ale nie mogłam. Zła byłam na tę niemoc, na ludzi, którzy zamknęli tam tatę, zamiast oddać mi go jeszcze chociaż na chwilę. Chciałam ze złości tupać nogami i wrzeszczeć na całe gardło, ale się bałam. Czułam, że tata byłby na mnie zły za takie zachowanie. Dlaczego odszedł tak szybko i bez pożegnania? Dlaczego nie obudził się w szpitalu chociaż na jedną chwilę, choć na taką małą sekundkę i nie powiedział „Do widzenia, córuniu, pa, córeczko, cześć, łobuzie” albo „Do zobaczenia, moja księżniczko”, bo tak czasami do mnie mówił? Stojąc w kaplicy, czyniłam mu nieme zarzuty, rozmawiając po raz ostatni jak z kimś żywym. Wtedy ujrzałam, że przez otwarte drzwi wleciał do środka duży biały motyl i usiadł na wieku trumny, dokładnie tam, gdzie mogła być taty głowa. Po chwili przyfrunął na moje ramię, blisko zapłakanego policzka. Wtedy

przypomniałam sobie historię o Dolinie Motyli.

* * *

Jakoś musiałyśmy sobie radzić, choć naprawdę w pierwszych tygodniach było bardzo trudno. Okazało się, że chociaż tata tak późno wracał z pracy, zawsze zdążył załatwić dla nas wiele rzeczy. Nie zauważałam, że to on zazwyczaj robił wszystkie zakupy.

– Niestety, Joasiu, musimy się podzielić obowiązkami – oświadczyła mama.

Tak też się stało. Zanim wyszłam do szkoły, musiałam kupić na śniadanie bułki, masło, mleko. Potem mama wychodziła z Jaśkiem na spacer i po drodze załatwiała resztę zakupów. Teraz mniej miała dla nas czasu. Musiałam się zajmować bratem, żeby ona mogła ugotować obiad czy zrobić kolację, czy poprać i posprzątać. Zajęć miałyśmy dużo i dość wcześnie pojawiły się kolejne komplikacje. Różne sprawy, z których nie zdawałyśmy sobie dotąd sprawy, musiały być załatwione – jakieś opłaty, raty i wypłaty.

Pewnego dnia zastałam mamę nad takimi rachunkami. Czułam, że jest zdenerwowana.

– Joasiu – powiedziała. – Musimy porozmawiać o poważnych sprawach. – Spojrzała tak smutno, że się przeraziłam. – Musisz wiedzieć, jak wygląda nasza sytuacja materialna. Jesteś już dużą dziewczynką, więc zrozumiesz – podkreśliła.

Teraz oczywiście wiem, co oznaczają słowa „sytuacja materialna”, ale wtedy, w czasach, gdy myślałam, że pieniądze rosną na drzewach, a jesienią można je znaleźć po prostu na ulicy jak kasztany albo włoskie orzechy, „sytuacja materialna” znaczyła dla mnie mniej więcej tyle co PIT-y, deklaracje i ubezpieczenia. Byłam dzieckiem tak przyzwyczajonym do beztroski w sprawach pieniędzy, że ten zwrot mógł oznaczać dla mnie cokolwiek. Mama chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo zaraz pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Niestety, będziemy musiały się nauczyć oszczędzać. Dotychczas tylko tata w naszej rodzinie zarabiał pieniądze. Teraz taty nie ma, więc to, co zostawił, musi wystarczyć nam na bardzo długo. Dlatego już nie będziemy mogły kupować drogich rzeczy. – Przelknęła ślinę i mówiła dalej: – Dopóki Jasio nie urośnie i nie będzie go można posłać do przedszkola. Później

spróbuję poszukać jakiejś pracy.

Wysłuchałam tego jednym uchem, bo spieszyło mi się na podwórko. Jaś spał, mogłam na chwilę spotkać się z Martą. Już od godziny czekała na mnie przed domem. Szybko przytaknęłam, nie myśląc o konsekwencjach. Przecież niczego mi nie brakowało. Więc o co chodzi? Nie rozumiałam.

Kilka miesięcy od tego dnia pojawiły się kolejne problemy, wtedy wspomniałam jej słowa.

FILIP MICHALAK

*Kręcimy w tym samym miejscu.
Zmieniamy tylko stoliki, żeby poprawić oświetlenie.
Filip spogląda nerwowo na zegarek.*

O śmierci pana Zalewskiego dowiedzieliśmy się dopiero kilka miesięcy później. Zagadkowe zniknięcie Joasi i jej mamy wszystkich zaniepokoiło, ale nikt nie miał odwagi dociekać, co się stało. Fabisiowa widziała tej nocy taksówkę, jak podjechała pod dom Zalewskich, a po chwili ujrzała wsiadającą do niej Joasię i jej mamę, razem z małym Jasiem. Jaś chyba spał, bo zawinięty był w niebieski kocyk, a Joasia głośno płakała. Fabisiowa była za daleko, żeby podbiec i zapytać. Potem jeszcze przez wiele dni to sobie wyrzucała.

Ja w tym czasie byłem na obozie. Po powrocie okazało się, że Joasi już nie ma. Ani Ewka, ani Kaśka też nie wiedziały, co się stało. Byłem pewien, że musiało się wydarzyć coś strasznego, ponieważ znałem dokładnie wakacyjne plany Joasi, a według nich miała pojechać z rodzicami na kilka dni do Zakopanego, a potem wrócić i zostać w Bielinku do końca sierpnia. Widocznie jednak coś się w ich planach zmieniło. Tylko dlaczego wyjechali bez jednego słowa, dlaczego zostawili dom w takim stanie, jakby za chwilę zamierzali wrócić?

Odczekałem kilka dni. Miałem ochotę sprawdzić, czy mój wytrych pasuje jeszcze do drzwi od ogrodu. Chciałem tam wejść i przekonać się na własne oczy, jak wygląda mieszkanie po ich wyjeździe. Jednak zabrakło mi odwagi. Co innego wtedy, gdy ich jeszcze nie znałem. Wtedy było jakby niczyje, a nawet bardziej moje niż ich. Teraz, kiedy każdy kąt przepełniony był ich obecnością, wchodzenie bez pozwolenia wydawało mi się prawdziwym przestępstwem. Jednak ciekawość zwyciężyła.

Któregoś jesiennego dnia spadł deszcz i zrobiło się bardzo zimno. Postanowiłem zaryzykować. Nie mieliśmy ostatniej lekcji i wcześniej wróciłem ze szkoły. Ojca nie było w domu, a chłopcy od tygodnia chodzili do miejscowego przedszkola. Liczyłem na to, że w taką ulewę nikt nie zauważy, jak przekradam się wśród krzaków w kierunku domu nad

potokiem.

Wytrych pasował idealnie. Wystarczył jeden ruch i byłem wewnątrz domu. Stałem onieśmielony. Czułem się głupio, chociaż nie miałem przecież żadnych złych zamiarów. Chciałem jedynie popatrzeć, przyjrzeć się znajomym kątom, powspominać... Szybko przebiegłem przez wszystkie pokoje, jakbym czuł za plecami czyjś wzrok. Wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. Spoglądałem za siebie przekonany, że z któregoś kąta patrzą na mnie oczy właściciela. Zobaczyłem, że w pokojach panuje okropny bałagan. Pootwierane szafy i szuflady, niepościelone łóżka, w kuchni brudne naczynia i co najdziwniejsze, w pokoju Joasi zobaczyłem włączony komputer. Ekran świecił zielonym blaskiem. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Podbiegłem i jednym ruchem wyrwałem kabel z gniazdka. Niech się dzieje, co chce, chyba mu to nie zaszkodzi. Po kilku sekundach zamykałem za sobą drzwi. Jeszcze drżały mi ręce ze strachu i cały się spociłem.

Dopiero po kilku dniach minął mi strach i zacząłem logicznie myśleć. Najrozsądniej będzie porozmawiać z ojcem. Chciałem, żeby pomógł mi wyjaśnić tę dziwną sprawę.

– Tato, czy nie trzeba by zadzwonić do pana Zalewskiego? Chodziłem wczoraj wokoło ich domu. Widziałem przez szybę zwiędnięte kwiaty, jedna okiennica się oderwała i uderza w ścianę, ktoś wybił małą szybkę w oknie od strony ogrodu. Wyjechali tak nagle.

– Nie możemy się wtrącać do cudzych spraw. I nie kręć się koło obcego domu. Jeszcze coś zginie i pomyślą, że to ty.

– Kto ma tak o mnie pomyśleć? – zapytałem zdziwiony. – Przecież w Bielinku każdy mnie zna. Wszyscy wiedzą, że nie jestem złodziejem. – Byłem wzburzony.

– W życiu różnie bywa – odpowiedział i szedł już do kotłowni, by napalić w piecu. – Ale zadzwonić możemy, jeżeli to nie daje ci spokoju – zaproponował. – Tylko czy ktoś we wsi ma do nich numer telefonu?

– Ja mam – powiedziałem. – Dostałem od Joasi, na wszelki wypadek. Chciała, żebyśmy przyjechał do niej do Warszawy.

– Ty do Warszawy? – Ojciec uśmiechnął się zdziwiony.

– Powiedziała, że zaprosi mnie na kilka dni.

– I jeszcze nie zaprosiła?

– Jeszcze nie.

– Więc może nie wypada się narzucać?

– Nie o to chodzi – zaprotestowałem. – I tak teraz bym nie pojechał, bo w szkole są rozgrywki i mam na cały miesiąc zaplanowane treningi, ale martwię się ich domem. Zresztą czuję, że coś się u nich stało.

– A co się mogło stać? – Ojciec nie był do końca przekonany. – Wyjechali i tyle, widać znudził ich Bielinek. Zostawili bałagan, powiadasz. Może mają to w zwyczaju.

– Nie mają – zaprzeczyłem zdenerwowany. – U nich zawsze był idealny porządek.

Ojciec spojrział podejrzliwie i zapytał:

– A skąd ty o tym wiesz, mój bratku? – Jego wzrok przewiercał mnie na wylot.

Nie miałem innego wyjścia. Musiałem się przyznać do wszystkiego. Powiedziałem również o włączonym komputerze, bo ten komputer najbardziej mnie zdziwił i niepokoił.

Jeszcze tego dnia tata zadzwonił do Warszawy.

Wiadomość o śmierci pana Zalewskiego spadła na wieś jak grom z jasnego nieba. Byliśmy wstrząśnięci. Każdy, kto znał ojca Joasi, wiedział, jakim był dobrym człowiekiem.

– Jak te biedulki poradzą sobie bez chłopa? – Fabisiowa rozpacziała. – A ten malutki. Jeszcze nie zdążył dobrze poznać ojca, a już go stracił.

– Cóż, Fabisiowa – Grzelakowa próbowała tłumaczyć – tak w życiu bywa, raz z górki, raz pod górkę. Każdemu jakiś krzyż się przydarzyć może. Ty też, Fabisiowa, szybko bez chłopa zostałaś. A pamiętasz swojego syna? Tyle samo miał lat co ten Jasio. Miałaś na głowie całą gospodarkę, kiedy wasz umarł.

– To co innego – powiedziała Fabisiowa. – Cała wieś była wtedy ze mną. A one tam same, zupełnie same.

– E, chyba mają jakąś rodzinę?

– Co to za rodzina. Tylko niezamężna siostra. Co to jest...

– To niewiele – potwierdziła Grzelakowa. – Na siostrze to polegać nie mogą – dodała. – Siostra widać beztroska jakaś, że za męża nie wychodzi.

– Dzisiaj dziewczyny nie takie chętne do zeniaczki jak kiedyś. Dzisiaj wszystkie karierę robią, do pracy chodzą, dzieci nie chcą mieć, tylko podróżować, podróżować bez końca. Świat im się cały kłania, chcą go zobaczyć.

– Nie to co my, Fabisiowa. Nam tylko robota i ten jeden skrawek ziemi, znajomy aż do bólu.

– Oj tak, oj tak. Znałyśmy dobrze swoje miejsce. Teraz jest inaczej – podkreśliła – nowocześniej. Tylko co z tej nowoczesności wyniknie na koniec? – Fabisiowa kiwała głową. – Jedynie same kłopoty.

– Kiedyś wiadomo było, co ważne, a co nie. Dzisiaj mieszają młodym w głowach, że niby trzeba różnego zasmakować, żeby być szczęśliwym. Tylko patrzeć, a nasze dzieci zaczną z domu uciekać, ze wsi w szeroki świat.

– A daleko to szukać? – Fabisiowa wyszeptała, spoglądając ukradkiem w moją stronę. – Wystarczy o tu, po sąsiedzku – dodała.

– Dokąd ten świat zdąży? – powiedziała na koniec Grzelakowa i ruszyła powoli przed siebie.

Nie przejąłem się treścią ich rozmowy. Sprawa mojej mamy wielokrotnie była tematem miejscowych plotek i dyskusji. Przywykłem do tego, że przy każdej okazji wytykano nam jej niegodziwość. Na przekór tego, co o niej słyszałem, a może ze względu na rodzinną solidarność nie pozwoliłem się sprowokować. Zresztą nie w głowie mi były wtedy własne problemy. Cały czas myślałem o Joasi. Ja byłem już pogodzony ze swoją stratą, ona teraz przeżywała najgorsze.

* * *

Na dworze padał gęsty śnieg. Siedziałem z chłopakami w domu i oglądałem telewizję. Lubilem ten świąteczny nastrój. Jacek i Wacek zrobili się całkiem grzeczni. Pomogło im przedszkole, spoważnieli i wydorosleli. Teraz można było z nimi wytrzymać. Obiecali nawet pokroić warzywa na sałatkę i upiec małe ciasteczka do powieszenia na choince. Oczywiście nie sami. Fabisiowa obiecała wyrobić ciasto i wywałkować. My mieliśmy sami kroić i piec.

Po godzinie dziewiętnastej przełączyłem im telewizor na Wieczorynkę i postanowiłem przygotować kolację. Jak ojciec wróci, będzie gotowa. Włączyłem czajnik z wodą na herbatę i pokroiłem chleb. W garnku była jeszcze pomidorowa z obiadu. Będzie w sam raz dla każdego po trochu. W tej samej chwili usłyszałem w korytarzu czyjeś kroki. To nie był tata. On wchodził zupełnie inaczej. Głośno otrzepywał buty na progu i zawsze trzaskał drzwiami. Tym razem drzwi otworzyły się cicho, a kroki były

drobne i nieśmiałe. Wyrzalem z kuchni i osłupiałem. W korytarzu pod drzwiami stała mama. Z podniesionym kołnierzem, z dużą torbą w jednej ręce i walizką w drugiej. Przydeptywała z nogi na nogę jak mała dziewczynka, bojąc się wejść dalej. Stałem, nie wierząc własnym oczom, i nawet myślałem, że to mi się tylko wydaje.

Jednak to nie była moja wyobraźnia. W wyjaśnieniu zagadki pomogli mi bracia. Jeden z nich też usłyszał, że ktoś wchodzi. Wpadł z rozpędem na korytarz, myśląc, że to Fabisiowa z ciastem. Kiedy zobaczył mamę, bez wahania wydarł się na całe gardło:

– Mama! – i rzucił się na nią. – Mama przyjechała!

Zaraz za mamą wszedł ojciec. Stał z boku, tylko się przyglądając. Nie widziałem jego twarzy. Nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy, ze strachu, co w nich zobaczę. Czyżby to on ją przywiózł? Och rzeczywiście, przecież zanim wyszedł, zadzwonił telefon. Odebrał go, coś odpowiedział, a potem jak torpeda wybiegł bez słowa.

Przywitaliśmy się chłodno. Kiedy się do niej przytulałem, zobaczyłem w jej oczach strach. Baliśmy się siebie oboje. Za to Jacek i Wacek na okrągło paplali. Stałem z boku, nieco oszołomiony, bo to, co się działo, jeszcze ciągle było jak jakaś baśń.

Rodzice całą noc nie spali. Ja również nie mogłem zmrużyć oczu. Słyszałem ich głosy za ścianą, całkiem spokojne, dość miłe. Na szczęście. Bo gdyby teraz się pokłócili, nie wytrzymałbym chyba. Przecież wróciła – próbowałem bronić jej w swoich myślach, gotowy jej wszystko wybaczyć. Widocznie kocha nas trochę, widocznie zatęskniła. Gdyby było inaczej, może by wcale nie wróciła. Do rana o tym rozmyślałem. Rodzice kręcili się po pokoju, coś układali, otwierali szafy. Miałem nadzieję, że to były bagaże mamy, że zostaje i musi się rozpakować.

Mama została. Od tamtej nocy rozgościła się na dobre. Rano, zanim wszyscy wstali, zrobiła pyszne śniadanie i jak zawsze gorące kakao. A jednak niczego nie zapomniała. W sobotę rano zawsze na śniadanie było kakao. Chłopcy niepytani opowiadali jeden przez drugiego swoje historyjki. Mama się tylko uśmiechała.

– A przywiozłaś dla nas jakieś prezenty? – zapytał starszy. – Jutro są moje urodziny – przypomniał. – Już skończę sześć lat.

– Oczywiście, że przywiozłam – odpowiedziała.

– Kiedy mi dasz?

– Dam ci jutro, dokładnie w dzień urodzin.

– A Wackowi też coś dasz?

– Wackowi też.

– Ale on nie ma teraz urodzin.

– Ale miał niedawno – powiedziała i spojrzała na mnie. – Dla Filipa też coś przywiozłam.

Nie chciałem żadnego prezentu. Kiedy wypowiedziała te słowa, wstałem i wyszedłem na dwór. Moje serce się zbuntowało. Pomyślałem, że to nie fair. Znikać z domu, a potem po prostu przywieźć prezenty i cześć. Nie dam się kupić za jakieś głupstwo. Wolałbym przez ten czas przymierać głodem, niż wstydzić się przed wszystkimi, że moja mama tak kochała mnie i braci, że uciekła za granicę. Nic mi po jej prezentach. Nie chcę, nie potrzebuję.

Mama nie wyszła za mną. Zostałem sam. Powoli gniew mijał, rodziło się zwątpienie. Co ja o niej wiem? A może osądzam niesprawiedliwie? Czy mam prawo obrażać się za to, czego mi jeszcze nie powiedziała? Postąłem jeszcze chwilę, a potem wszedłem z powrotem do mieszkania. Napotkałem jej spłoszony wzrok. Czekala na mnie. Zostaliśmy tylko my, oboje. Ona i ja. Przytuliłem się mocno i rozplakałem. Po chwili płakaliśmy oboje. Ja ze szczęścia, a ona?

– Przepraszam. – Usłyszałem. – Przepraszam cię – powtórzyła – i dziękuję.

* * *

Prezent od mamy dotarł do mnie dopiero na Gwiazdkę. W wigilijny wieczór pod choinką czekał nowiutki komputer. Jednak dałem się przekupić. Czuję do siebie żal, lecz w końcu mieliśmy ją znowu dla siebie. Mój bunt tylko pogorszyłby sprawę i utrudnił nam wspólne przebywanie. Chłopcy wcale się nie buntowali, lecz to było do przewidzenia. Dostali kolorowe gry podłączane do telewizora, a tata radio z odtwarzaczem CD. Dla mamy nie mieliśmy żadnego prezentu. Ale ona się nie gniewała. Powiedziała, że my jesteśmy jej prezentami i tata też.

MARTA MORAŃSKA

*Spacerujemy nad Wisłą.
Kręcimy różne ujęcia zbyt długo. Marta lekko utyka.
Uprzedzała nas, że nie jest w dobrej kondycji.
Szukamy ławki, ale wszystkie zajęte.*

Mama Joasi chodziła teraz na kurs prawa jazdy. Dzieci zostawiała same. Nie miała innego wyjścia. Moja mama powiedziała, że pani Zalewska musi pójść do pracy. Słyszałam, jak rodzice pewnego dnia o tym rozmawiali, a ja podsłuchiwałam. Bardzo chciałam pomóc koleżance.

– Dopóki Małgorzata nie znajdzie sobie jakiejś pracy, nigdy nie stanie na nogi. – Właśnie tak powiedziała moja mama. – Praca jest najważniejsza, pozwoli jej pogodzić się z tym, co się stało, i jej życie znowu nabierze sensu.

– Bez pracy nie utrzyma rodziny – potwierdził ojciec. – Na malowanie obrazków można sobie pozwolić, kiedy nie ma się innych problemów, na przykład finansowych.

– Doszły mnie słuchy – mama dodała – że Joasia nie jedzie na wycieczkę klasową. Podobno nie mają pieniędzy.

– No widzisz, właśnie o tym mówię.

– Może porozmawiam z nią, w końcu stać nas, żeby im pomóc.

– Nie wtrącajmy się – ojciec zaprotestował. – Może nie życzy sobie naszej pomocy. Ludzie nie lubią, gdy urządza się im życie. To zbyt delikatna sprawa. Małgorzata może czuć się urażona. Daj spokój – odradzał.

– Trochę ją znam i czuję, że sama sobie nie poradzi. Muszę z nią porozmawiać – powtórzyła. – Nawet mam pewien pomysł – powiedziała, stawiając przed ojcem szklankę z gorącą herbatą. – Niedługo zwalnia się u nas etat sekretarki. Zaproponuję jej tę pracę, może się zdecyduje.

– To niezła myśl – przytaknął ojciec – i dobra okazja, żeby spróbowała swoich sił. Powinna sobie z tym poradzić. Przecież pomożesz jej wciągnąć się do tej pracy, czegoś ją nauczysz, coś pokażesz.

– Jasne, że pomogę. Żeby tylko zechciała się zgodzić. Praca w telewizji nie wszystkim odpowiada – mama martwiła się na zapas.

– Najpierw porozmawiaj.

Niestety, pani Zalewska nie przyjęła propozycji. Rodzice nie rozumieli dlaczego.

– Boi się, że sobie nie poradzi – tłumaczyła mama.

– Przecież nie od razu Rzym zbudowano. To zupełnie normalne. – Mój ojciec próbował zrozumieć. – Przecież każdy z nas kiedyś zaczynał.

– No właśnie, tak jej tłumaczyłam. Obiecałam, że może liczyć na pomoc z mojej strony.

– Co ona na to?

– Upiera się, że sama musi do czegoś dojść.

– Jak to sama? Ale najpierw musi gdzieś pracować, czegoś się nauczyć.

– Tata podrapał się w lekko łysiejącą czuprynę. – Może trzeba dać jej trochę czasu – zaproponował. – Podjęcie takiej decyzji wymaga czasu.

– Ale posada nie będzie czekała. Za dwa tygodnie muszę dać odpowiedź.

– No tak, o tym nie pomyślałem.

Słuchałam przestraszona. Nie wszystko było dla mnie jasne, ale jedno na pewno rozumiałam. Życie dorosłych wcale nie jest łatwe, a my, dzieci, tak im tej dorosłości zazdrościmy.

Następnego dnia w szkole próbowałam porozmawiać z Joasią. Myślałam, że wie o wszystkim. Zdziwiła się.

– Mama rzadko rozmawia ze mną o swoich kłopotach. Nie wiedziałam, że nie mamy pieniędzy.

– Nawet nie jedziesz z nami na wycieczkę do Krakowa.

– Wiem, że nie jadę – przyznała. – Mama nie chciała zostać sama, dlatego nie jadę.

– Wcale nie – zaprzeczyłam. – Nie jedziesz, bo wycieczka dla was jest za droga.

– To za tę wycieczkę trzeba płacić? – zapytała.

– Joaśka! – krzyknęłam. – Na jakim świecie ty żyjesz?

Ale ona tylko wzruszyła ramionami.

– Po prostu nie wiedziałam.

– Twoja mama musi się zabrać do jakiejś pracy.

– Ona przecież cały czas pracuje.

– To nie chodzi o pracę w domu. Za taką pracę nikt jej nie płaci! Musi pójść do normalnej pracy – nieudolnie tłumaczyłam. – Musi wyjść z domu i pracować na przykład jako kucharka albo lekarz, albo na poczcie, albo w

jakimś innym zakładzie.

– A co wtedy będzie z nami? Kto zajmie się Jasiem i mną?

– Coś ty, nie bądź taką niezgułą – przestrzegałam.

– No to co ja mam zrobić?

– Ty po lekcjach zostaniesz w świetlicy, a Jasio pójdzie do przedszkola.

– Zdziwiająco łatwo ułożyłam jej życie. Ale ona zamiast okazać wdzięczność, obdarzyła mnie łzami. Przez połowę przerwy ryczała jak bóbr.

– To będzie straszne – mamrotała.

– Przesadzasz. Ja czasami też dłużej zostaję w szkole. Jest całkiem przyjemnie. Przyzwyczaisz się.

– Ale mój brat. On się nie przyzwyczai.

– Jeszcze ci kiedyś podziękuje. Wcześniej nauczy się samodzielności. Pamiętaj, przedszkole to prawdziwa szkoła życia, wiem coś o tym – podkreśliłam jak stary znawca.

Joasia na chwilę przestała płakać.

– A co będzie z malowaniem? – zapytała.

– Z jakim malowaniem?

– Mama chciała się uczyć malować.

– Uczyć się może, tylko najpierw musi pójść do pracy. Tak uważa mój tata i moja mama.

– Ale na to potrzeba dużo czasu.

– Malowanie nie jest teraz najważniejsze.

– Dla mojej mamy jest. Ona powiedziała, że szybko nauczy się malować, a potem zacznie sprzedawać swoje obrazy.

To mnie trochę zaskoczyło. W tej materii nie miałam żadnego doświadczenia. Wszystko, co wtedy wiedziałam o świecie, przekładało się przez doświadczenia moje i moich rodziców. A, niestety, ani oni, ani ja nigdy nie mieliśmy do czynienia z malarzami.

– No nie jestem pewna – zastanowiłam się. – Chyba niełatwo namalować ładny obraz. Taki, który można by sprzedać w sklepie.

– Mama pokazała swój obraz jednemu panu i on powiedział, że jest świetny.

– Kupił go od twojej mamy? – zapytałam z ciekawością.

– Nie kupił.

– Szkoda. Mogłabyś zobaczyć, ile taki obraz kosztuje i czy da się z tego żyć – wygłosiłam ze złością.

– Mama nie sprzeda tego obrazu nikomu. To obraz, który podobał się tacie. Ona trzyma go w szafie. Tylko czasami stawia w pokoju na stole. Patrzy na niego trochę i znowu chowa.

– Wspomina – stwierdziłam.

– Chyba tak.

Kończyła się przerwa. Wchodziliśmy do klasy. W środku czekała już na nas pani od matematyki.

– Nie zrobiłam trzeciego zadania. – Przypomniałam sobie w ostatniej chwili.

– Odpisz ode mnie. Mam chyba dobrze. Sprawdzałam wynik na ostatniej stronie.

Schowana za plecami Joasi przepisywałam w pośpiechu zadanie. Skończyłam w czas.

– Zbieram zeszyty z zadaniami domowymi. – Głos nauczycielki dotarł do mnie w momencie, gdy kładłam zeszyt na ławce.

– Uf – sapnęłam z ulgą. – Ale miałam szczęście – powiedziałam do Joasi.

– Tata zawsze mi tłumaczył, że odpisywanie i podpowiadanie to są normalne oszustwa – szepnęła w moją stronę. – Zawsze powtarzał, żeby tego nie robić. Mówił mi, że kto nauczy się w szkole nieuczciwości, tego przez całe życie będzie kusiło.

– Też tak uważam – przyznałam ze wstydem – ale tak trudno się powstrzymać.

– No właśnie – Joasia potwierdziła. – W poniedziałek Kamil zrobił mi rysunek na plastykę. Dostałam za niego piątkę. Kiedy pani wpisywała ocenę do dziennika, przypomniałam sobie słowa taty. Ale nie miałam odwagi się przyznać. Gdyby żył, powiedziałby, że jestem oszustką. Czy tak jest naprawdę? Jestem oszustką? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – próbowałam odpowiedzieć. Ja często odpisuję zadania, kiedy sama nie potrafię ich zrobić albo mi się nie chce. Wtedy to jest chyba większe oszustwo. Ale jak się czegoś nie potrafi? Co wtedy?

– Ja nie umiem malować. Wychodzą mi jakieś bazgroły. Co mam zrobić?

– Twoja mama potrafi, a ty nie?

– Nic a nic. Malowanie dla mamy to jest pasja, ona tak twierdzi.

– Moją pasją jest balet, mimo że tańczyć jeszcze nie potrafię.

Wracaliśmy ze szkoły roześmiane. Na ostatniej lekcji odbyło się spotkanie z prawdziwym aktorem z teatru. Opowiadał o swojej pracy, o pracy innych aktorów, o tym, po co jest teatr i dla kogo. Na koniec lekcji zagrał dla nas małe przedstawienie, bardzo śmieszne.

– Zapomniałam ci o czymś powiedzieć – wyznałam tajemniczo. – Mama zapisała mnie w końcu na balet.

– Super! – krzyknęła Joaśka. – Kiedy zaczynają się lekcje?

– Jutro. Będę jeździła do ogniska, ale w prawdziwej szkole baletowej, dwa razy w tygodniu.

– Sama!?

– Sama nie mogę – zaprzeczyłam. – To za daleko. Ktoś musi mnie tam zawozić. Rodzice obiecali, że jakoś to załatwią.

– Będziemy się rzadziej spotykać.

– Niestety – stwierdziłam ze smutkiem.

– Ale za to będziesz mogła spełnić swoje marzenia – powiedziała Joasia.

– Całkiem jak moja mama – dodała ciszej.

W mieszkaniu zastałam mamę. Biegała po pokojach nieuczesana. Wszędzie leżały jej rzeczy.

– Wyjeżdżam do Gdańska. Robimy tam kolejny reportaż – wyjaśniła. – Podgrzałam ci obiad. Zjedz, póki ciepły – rzuciła mimochodem. – Za godzinę wróci tata. Zamówcie sobie pizzę na kolację, bo zapomniałam kupić chleb. Pamiętaj, odrób lekcje. Ojciec miał ci pomóc w matematyce. Podobno czegoś nie rozumiałaś. Zadzwoń do pani Zalewskiej i zapytaj, czy się zdecydowała wziąć tę pracę, a potem zadzwoń do mnie na komórkę, żebym wiedziała. Do jutra mam dać im odpowiedź. Jutro do wieczora będziesz sama. Tata wróci dopiero o ósmej. Zamknij się w mieszkaniu i nikogo nie wpuszczaj. Zadzwonię do ciebie z Gdańska zapytać, czy wszystko w porządku. Wracam pojutrze, w domu będę koło szesnastej. O obiad się nie martw, kupię coś po drodze. Ubierz się ciepło do szkoły, bo rano jest już bardzo zimno. Przypomnij tacie, żeby zapłacił rachunki, bo odetną nam prąd, i niech odbierze jutro marynarkę z pralni, bo będzie mu potrzebna w sobotę, i niech wypierze swoją szarą koszulę, bo zapomniałam. – Spojrzała poważnie i na koniec zapytała: – Nie zapomnisz o niczym?

– Ja nie zapomnę – odpowiedziałam – ale ty zapomniałaś.

– Co mianowicie? – Wyprostowała się, chwytając ręką za czoło. – Marta, tylko mnie nie strasz. O czym zapomniałam?

– O moich lekcjach.

– Lekcjach, lekcjach... – Szukała przez chwilę w pamięci.

– Jutro mam pierwsze zajęcia w szkole baletowej.

– Jasny gwint – zaklęła. – Na śmierć zapomniałam. Co ja mam teraz zrobić? – Usiadła zdruzgotana na fotelu. – Może poproszę Jankę albo Agatę. Nie, Agata jutro ma dyżur. – Spojrzała na zegarek. – Ależ późno, nie zdążę na pociąg.

– Daj spokój, mamó. Najwyżej nie pójdę. – Uspokajałam, choć łzy cisnęły mi się do oczu. – W końcu to tylko pierwsza lekcja. – Wciąż próbowałam przewyciężyć płacz.

Mama wzięła mnie za rękę i spojrzała głęboko w oczy.

– Przepraszam, córeńko – powiedziała skruszona. – Obiecuję, że to ostatni raz. Jak wrócę, to wszystko naprawimy – dodała. A potem chwyciła walizkę, dużą torbę przerzuciła przez ramię, złapała w ostatniej chwili telefon komórkowy i okulary, machnęła mi ręką na pożegnanie i wysłała w powietrze całusa.

– Pa, pa! – krzyknęła i poszybowała schodami w dół.

DOKTOR BIELICKI

Ta sama rozmowa.

*Pijemy kawę w gabinecie. Jest przerwa obiadowa.
Słysząc hałas z korytarza – terkoczą wózki z obiadem.
Bielicki otwiera okno. Do środka wpada szum ulicy.
Kręcimy.*

Trzeci raz zobaczyłem Joasię trzy lata później. Była wiosna. Pamiętam, bo zauważyłem, jak zrywa stokrotki na trawniku w parku. Obok niej biegał mały chłopiec. Domyśliłem się, że to jej brat, ten sam, który przespał się na mojej kozetce w gabinecie. Poszukałem wzrokiem ich mamy. Chyba byli sami. Oczywiście nie poznała mnie, zajęta podziwianiem przyrody i obserwowaniem brata. Mały biegał jak źrebak, robiąc mnóstwo hałasu. Usiadłem na ławce obok. Pomyślałem, że dzieci wyglądają na szczęśliwe, mimo wszystko. Zapomniały już pewnie o smutkach i jak to dzieci cieszą się każdą drobnostką. Powróciły w mojej pamięci tamte zdarzenia i jak żywe dwie sylwetki wpatrzone w mężczyznę za szybą. Odszedł od nich tamtej nocy na zawsze, i nic nie wie o córce, o żonie, nie wie, jak szybko rośnie jego syn. „Dziwnie płacze się ten ludzki los – pomyślałem. – Szykuje takie niespodzianki”.

Wciąż byłem człowiekiem samotnym. Nie miałem jeszcze własnej rodziny, choć bardzo chciałem ją mieć. Ale świadomość, że trzeba będzie przeżywać takie rozstania, upewniła mnie, że jednak wolę być sam. Tak sobie myślałem, patrząc na bawiące się dzieci, i zachciało mi się z nimi pogadać. Nadarzyła się dobra okazja, bo chłopiec właśnie przebiegł przede mną, udając samolot, i niechcący przewrócił stojący obok ławki kosz na śmieci. Natychmiast zjawiała się dziewczynka.

– Nic ci się nie stało? – zapytała przestraszona, otrzepując mu spodnie z piachu.

– Nic – odpowiedział. – Tylko popfnąłem kosz – zauważył.

Kosz leżał obok na ziemi. Wstałem, żeby postawić go na miejsce. Dziewczynka zauważyła mój gest i szybko przeprosiła.

– Przepraszam za brata – powiedziała. – Rozpiera go energia. Zawsze

musi coś zmajstrować. Sam pan widział. Wystarczy spuścić go z oka, a raz dwa coś się zbije albo przewróci.

– Nie szkodzi – odpowiedziałem. – Widać, że ma temperament. Taki temperament świadczy o zdrowiu.

– O tak – potwierdziła dziewczynka. – Jasiak jest zdrowy jak ryba. Tylko ja jestem już wykończona – skarżyła się. – Nawet pan nie wie, jakie to męczące.

– Co jest męczące? – Nie zrozumiałem.

– Pilnowanie takiego zdrowego brata.

– Jesteście tu sami?

– Teraz sami, ale czekamy na mamę. Poszła do tamtego sklepu. – Pokazała palcem na sklep z obrazami.

– Kupuje coś? – zapytałem.

– Nie – dziewczynka żywo zaprzeczyła. – Chce pokazać swoje obrazy, te, które namalowała.

– Wasza mama jest malarką?

– Jeszcze nie, ale bardzo by chciała. Musi przecież gdzieś pracować – wyjaśniła ze szczerością, a potem dodała zakłopotana: – Czasami brakuje nam pieniędzy.

Zrobiło mi się głupio. To nie jest w porządku tak wypytywać dzieci. Nie chciałem, by pomyślała, że jestem ciekawski. Postanowiłem natychmiast wyjaśnić swoje intencje.

– A tak w ogóle, to my się znamy – powiedziałem.

Dziewczynka spojrzała nieufnie.

– Ja pana nie znam – zaprzeczyła.

– Znasz mnie, tylko nie pamiętasz. Przypomnij sobie – zajrzałem jej w oczy – jestem lekarzem.

– Nie znam żadnego lekarza. – Jeszcze bardziej się napuszyła.

– Operowałem twojego tatę – powiedziałem wprost. Czułem, że niepotrzebnie przypominam jej tamte chwile, ale ona przyjęła to całkiem spokojnie.

– Rzeczywiście, chyba poznaję, ale nie po twarzy. Poznaję pana po głosie.

– Dobrze i to – zażartowałem.

– Ale nie lubię myśleć o tym wypadku i o tacie.

– Wiem, to nie jest łatwe dla nikogo. Ale powiedz mi, jak sobie radzicie?

– Chyba dobrze. – Uśmiechnęła się. – Tylko tęsknimy za tatą.
– A mama? Jak ona teraz się czuje?
– Niestety, płacze.
– To smutne.
– Ona chyba bardziej tęskni niż ja.
– Brat chodzi do przedszkola? – zapytałem o małego, który właśnie w tym momencie skakał po ławce, na której siedziałem.
– Jeszcze nie. Mama najpierw musi znaleźć pracę. Powiedziała, że zostanie malarką. Namalowała już wiele obrazów, ale nikt nie chce ich kupić.
– Pewnie się nie znają. – Próbowałem wybrnąć z sytuacji.
– Nie wiem. – Zamyśliła się. – One są takie, takie jakieś... – Nie potrafiła znaleźć właściwego słowa.
– Są pewnie dziwne. – Pomagałem.
– No właśnie – szybko podchwyciła. – Te obrazy są dziwne, nawet bardzo dziwne.
– A co jest na nich?
– Mama mówi, że kwiaty. – Zamyśliła się. – Może i kwiaty, ale ja tych kwiatów jakoś nie widzę.
– Tylko co widzisz?
– Widzę plamy. Widzę tylko same plamy – powtórzyła. – Mają brzydkie kolory i nie są kwiatami, tylko zwykłymi plamami.
– I myślisz, że dlatego tych kwiatów nikt nie kupuje?
– No jasne – prawie krzyknęła – bo się nikomu nie podobają. Pan też by nie kupił takich kwiatów.
– Skąd wiesz?
– Wiem – powiedziała zasmucona. – Pokazałam obraz Marcie, mojej przyjaciółce, i jej tacie. Marta zrobiła zdziwioną minę, a jej tata spojrzał tylko jeden raz i powiedział: „Rany, co za kicz! Skąd wyście to wzięły?”
– Nie wiedział, że to obraz twojej mamy?
– Nie powiedziałam mu. Zresztą nawet nie pytał. Marta stwierdziła, że jej tata nie zna się na obrazach, ale i tak było mi przykro. Dzisiaj z tego sprzedawania obrazów też nic nie wyjdzie. Aż się boję powrotu mamy. Zawsze wtedy wpada w złość.
– Może poczekamy na nią razem? – zaproponowałem.
– Jak pan chce, ale nie ręczę za nią. Może być trochę niemila.

Rzeczywiście mama Joasi pojawiła się za chwilę z chmurnym obliczem. Obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem i burknęła do dzieci.

– Wracamy do domu. Jasiek, zabierz wiaderko z piaskownicy, a ty – zwróciła się do dziewczynki – przynieś jego kurtkę, leży na ławce. Mówiłam, żebyś go nie rozbierała, znowu się przezięb. – Kiedy skończyła, spojrzała na mnie lodowato. – Czy my się znamy? – zapytała.

– Jestem lekarzem, który operował pani męża – wyznałem bez ogródek. – Zobaczyłem córkę, chciałem porozmawiać.

– Ach tak – ściszyła nagle głos. – Przepraszam pana, ale nie poznałam.

– Nic dziwnego. Trudno było wtedy widzieć cokolwiek.

– No tak, byłam całkiem nieprzytomna. To był okropny dzień. Staram się o tym nie myśleć.

– Przykro mi, że wtedy nie pomogłem.

– Gdyby nie okoliczności...

– Więc nie wracajmy do nich – powiedziałem zmieszany. Sytuacja była kłopotliwa. Powinienem odejść i nie zawracać im głowy, ale jakoś było mi niezręcznie, tak ni z tego, ni z owego ruszyć przed siebie. – Słyszałem, że zaczęła pani malować obrazy.

– Tak się tylko bawię. Muszę czymś wypełnić czas. Nie są zbyt dobre. – Pochyliła głowę i odruchowo spojrzała na ramki powiązane zielonym sznurkiem. Uśmiechnęła się.

– Chciała pani je sprzedać? Może ja któryś kupię? – zaproponowałem.

– Nie będą się panu podobały – wyznała. – Są brzydkie, chyba zbyt ponure. Ale mogę pokazać. Jeszcze jedna krytyka nie zawadzi. – Odwiązała sznurek. – Oto one.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Miałem przed sobą płataninę smutnych barw, może tylko trochę przypominającą kwiaty. Obrazy miały swój niepowtarzalny klimat i jakąś tajemnicę, ale nie byłem nimi zachwycony. Zauważyła moje wahanie.

– Są ciemne, wiem, ale inne nie chcą wychodzić. Uczę się ciągle, studiuje innych malarzy, próbuję zrozumieć, dlaczego jeden widzi świat tak, a drugi inaczej.

– Nie są złe – powiedziałem ostrożnie.

– Jeśli któryś się choć trochę panu podoba – powiedziała szczerze – proszę przyjąć od nas jako prezent. – Wyciągnęła w moją stronę jeden. – Może ten – zaproponowała. – Ten jest chyba najładniejszy.

JOASIA ZALEWSKA

*Rozmawiamy w samochodzie. Kręcimy przez boczne okno.
Mama zdała egzamin na prawo jazdy. Marzył się jej samochód. A więc
stało się. Jasio poszedł do przedszkola.*

- Ale skąd weźmiemy pieniądze na samochód? – zapytała przy kolacji.
- Mówiłaś, że z ubezpieczenia – przypomniałam jej słowa wypowiedziane w dniu, gdy wróciła z pierwszej jazdy. – Dostaliśmy przecież pieniądze za samochód taty.
- Trochę ich już ubyło – wyznała. – Minęły przecież trzy lata.
- Mieliśmy oszczędzać.
- Oszczędzaliśmy, ale co z tego. Życie jest drogie, musiałam czasami ująć z tych zapasów. Kupiłam farby, wydałam sporo na ramki.
- I leżą wszystkie w piwnicy – złośliwie przypomniałam. Wciąż te obrazy. Wbijałam mamie nóż w serce, dokuczałam, bo złościło mnie, że tak usilnie próbuje zostać artystką. Wiedziałam, że nigdy nią nie zostanie. Jej obrazy, coraz mniej wyraźne, już niepodobne do niczego, wały się w każdym kącie mieszkania.
- Jeszcze zobaczysz – przekonywała. – Jeszcze będzie inaczej, dopracuję swój styl i wtedy każdy będzie chciał je mieć.
- Już trzeci rok męczysz się nad tym stylem. Może trzeba inaczej?
- Inaczej, to znaczy jak?
- Musisz skończyć jakąś szkołę.
- Sama na to wpadłaś czy ktoś ci podpowiedział?
- Marty mama. Ona uważa, że dopóki nie poznasz zasad malowania, nie otrzymasz jakiegoś zaświadczenia, że potrafisz i że możesz malować, nikt nie kupi od ciebie niczego.
- Nie zgadzam się – zaprotestowała. – Znam dziesiątki malarzy, i to wielkich, którzy nigdy nie uczyli się malowania.
- Ale mieli talent – dodałam.
- Ja też mam talent. Zawsze go miałam. Popelniłam błąd, studiując matematykę, wielki błąd – powtórzyła. – Powinnam studiować malarstwo. Zawsze o tym marzyłam, tylko zabrakło mi odwagi.

– Więc weź swoje obrazy i wybierz się do jakiegoś mistrza. Niech oceni i niech on ci powie, ile są warte.

– Okrutna jesteś. – Mama się obraziła. – Nie wierzysz we mnie – dodała. – Nigdy we mnie nie wierzyłaś.

– Wierzę w ciebie, ale sama mówisz, że nie mamy już z czego żyć.

– Joasiu, przesadzasz. Myślisz, że już wiesz wszystko o życiu?

– Wiem jeszcze niewiele – próbowałam ją udobruchać – ale czuję, że to już dłużej nie ma sensu.

– Jak to dłużej? Przecież ja maluję dopiero od trzech lat. Nie stanę się od razu sławna.

– Ale ja nie chcę, żebyś była sławna. Ja chcę, żebyś poszła do pracy.

– Każdy myśli tylko o sobie. A ja też czegoś pragnę, chcę coś osiągnąć. Na jak długo mam odłożyć swoje plany, gdzie według ciebie powinnam pracować? Przecież wiesz, że ja niczego nie potrafię.

– Przesadzasz. Po prostu nie chcesz spróbować.

– To nie tak.

– A jak?

– Ja nie boję się pracy, moje drogie dziecko. Żal mi jest czasu.

– Na co? – Nie rozumiałam.

– W tym czasie nie będę mogła malować – powiedziała z rozbijającą szczerością.

– Więc co zrobimy? Jak zdobędziemy pieniądze, w jaki sposób kupimy samochód, za co kupisz następne farby i ramki?

Zawahała się. Chciała coś powiedzieć, a jednak się powstrzymała. Bałam się pomysłów mamy. Zaskakiwała mnie ich dziwacznością. Przez te pomysły czasami czułam się od niej starsza i mądrzejsza. Nie było mi łatwo.

– Jutro jadę do Krakowa – oznajmiła tajemniczo. – Odwożę swoje prace na konkurs debiutantów. Trzeba przedłożyć trzy obrazy. Pojadę wcześniej rano i wrócę wieczorem. Zaprowadzisz Jasia do przedszkola, a odbierzesz, wracając do domu. Po obiedzie przyjdzie Marysia, zrobi wam obiad.

– Będę mogła wyjść później do Marty? Chciała się pochwalić zdjęciami z występu. Tańczyła swoją pierwszą rolę.

– To miło. Podoba mi się, że jest taka konsekwentna.

– Opuściła się w nauce przez ten balet – powiedziałam. – I ma kłopoty z matematyką.

– Chociaż się opłaciło?

– Chyba tak. Jej występ wszystkim się podobał.

– A przy okazji pogratuluj jej sukcesu. – Uśmiechnęła się smutno. – I powiedz, że trochę jej zazdrościsz.

– Obiecuję.

– Tylko nie wracaj za późno. Na osiedlu jest niebezpiecznie po zapadnięciu zmroku.

– Mama Marty mnie odprowadzi.

– Jak tam jej nowy program? Jakiś talk-show? Słyszałam, że jest doskonały.

– Tak, chyba się wszystkim podoba. Ma wysoką oglądalność.

– Marty mama to zdolna kobieta. Wciąż nas czymś zaskakuje.

– Poświęca na pracę dużo czasu – specjalne podkreśliłam.

– Każda rzecz wymaga trudu, inaczej nic nie jest warta. Sama widzisz, ile trzeba się napracować, żeby cokolwiek osiągnąć.

Mama znowu powróciła do swojego malowania.

– Szkoda, mamo, że nie przyjęłaś tej pracy w telewizji. Miałybyś teraz też powody do dumy.

– I na mnie przyjdzie czas.

Miałam już dość obrazów, których nikomu nie można sprzedać. Byłam jeszcze dzieckiem, a czułam się o pięćdziesiąt lat starsza. Każdy dzień przynosił kolejne problemy, a ja nie mogłam nic zrobić. Mój bunt nikogo nie obchodził. Dzieci przecież nie mają racji. Upór mamy, żeby zostać Leonardem da Vinci, stawał się nie do zniesienia. Tak bardzo chciałam mieć normalną rodzinę, spędzać normalne wieczory i zwykłe poranki, gdy rodzice i dzieci siadają wspólnie przy stole, śmieją się i rozmawiają. U nas jednak było to niemożliwe. Niestety, gdy zabrakło taty, wszystko wymknęło się spod kontroli. Mama ciągle zgnębiona brakiem sukcesów, nieobecna, zadumana albo skupiona nad obrazem, ja w drugim pokoju przy lekcjach albo przed telewizorem, czasem znudzona, i Jaś, płaczący się pod nogami, odpychany przez każdą z nas, bo przeszkadza.

Rzadko myślałam o szczęśliwych latach. Bałam się wspominać, żeby się nie rozpłakać. Te lata, wyidealizowane przez czas, ukazywały moje obecne życie z najgorszej strony. Co się stało z naszym domem?

– Mamo, a dlaczego my nie jeździmy do Bielinka? Przecież tam jest nasz dom, znajomi, nasz ogród z kwiatami, które tak bardzo lubiłaś malować. Zbliżają się wakacje, może tam pojedziemy? Jaś miałby gdzie biegać, ty

tworzyć swoje obrazy.

Mama spojrzała zaskoczona.

– Do Bielinka? – zapytała. – Jak to do Bielinka? Jak można pojechać do Bielinka bez taty?

– Tata przecież nie żyje, więc nie może pojechać, ale my możemy.

– Jakoś nie wyobrażam sobie tego. – Potrząsnęła głową. – To jest dom taty, a nie nasz.

– Teraz jest nasz – podkreśliłam.

– Jak możesz tak mówić!

– Nie mówię przecież nic złego. Wybierzmy się tam, proszę.

– Nie mogę – powiedziała cicho. – Nie mogę, to byłaby zdrada. To jakbym o nim zapomniała. Nie mogę cieszyć się Bielinkiem, jeśli taty już w nim nie ma.

– Będąc tam, będziemy bliżej niego. Jakbyśmy dotykały jego miejsc i jego powietrza. Umówimy się, że po prostu wyjechał. Przecież zawsze wyjeżdżał i zostawiał nas samych. Radziliśmy sobie jakoś.

– Nawet się boję o tym myśleć. – Szybko otarła łzy. – Tutaj, w Warszawie, potrafię zapomnieć. Maluję i tylko myślę o malowaniu. Tam będę tylko myślała o tym, kiedy był z nami.

Nie wiedziałam, jakich użyć argumentów.

– Ale ja coś mu obiecałam, zanim zginął. – Przypomniałam sobie o drzewku. – Obiecałam mu coś i nie dotrzymałam słowa. Ja muszę pojechać do Bielinka. Chociaż na kilka dni.

Poczułam na sobie wzrok mamy i musiałam jej o wszystkim powiedzieć.

– Mówiłam tacie, żeby tego nie robił. – Mama natychmiast skomentowała. – Powiedziałam, że to przynosi pecha, że tworzy więź człowieka z ziemią, a to niedobrze, że tylko starzy ludzie powinni sadzić drzewa.

– Pamiętał o twojej przestrodze, ale postawił na swoim.

– Zawsze był uparty. – Złapała się za głowę, a potem szybko spojrzała w niebo. – Jak mi go bardzo brakuje. – Westchnęła.

– Dlatego musimy pojechać do Bielinka. – Nie ustępowałam. – To pomoże i tobie, i nam. Poza tym obiecałam tacie, że będę o to drzewko dbała, a ja nie wiem nawet, czy ono jeszcze żyje.

Wyprosiłam wreszcie ten wyjazd i zaraz milej zrobiło się na sercu. Z wielkim zapałem wzięłam się do pracy, żeby zakończyć rok szkolny z

dobrymi ocenami.

Po powrocie z Krakowa mama znowu chodziła z głową w chmurach. Udało się jej umieścić na wystawie trzy ze swoich obrazów. Zostawiła również numer telefonu i niecierpliwie czekała na znak. Powiedziała:

– Mam nadzieję i przeczucie, że teraz się uda. Moje obrazy wiszą w największej sali. Nie sposób je ominąć – opowiadała z wypiekami na twarzy. – Myślę, że zostaną zauważone. Malowałam je specjalnie na tę wystawę, miałam wtedy prawdziwe natchnienie.

Patrzyłam z podziwem, jaka była rozmarzona. Cieszyłam się jej radością.

– Na wystawie widziałam pewnego malarza z Paryża. Nazywał się jakoś tak po włosku, Castanelli chyba, a może inaczej. To prawdziwy mistrz. Po jego prace ustawiają się w kolejkach. W sali obok były tylko jego obrazy. Poszłam zobaczyć. Zaprosił wszystkich uczestników konkursu. – Spojrzała przed siebie, a jej oczy lśniły. – Byłam nimi zachwycona. Gdybym umiała malować jak on. – Westchnęła. – Zabrałam jego wizytówkę z adresem. Może mu wyślę coś swojego. Czuję, że zrozumiałby, co pragnę wyrazić w swoich obrazach. Pomyśl! – zawołała. – On zaczął malować, jak był już stary. Miał wtedy pięćdziesiąt lat, teraz ma sześćdziesiąt pięć. Widzisz? – Spojrzała w moją stronę. – A ty uważasz, że dla mnie jest już za późno.

To było w niedzielę, a potem przez dwa tygodnie mama tylko malowała. Malowała w dzień i w nocy, rano, w południe, wieczorem. Zapomniała o całym świecie i tylko czasami wchodziła do kuchni, by zrobić sobie herbatę, albo zaglądała do pokoju Jasia, żeby sprawdzić, czy już śpi. Nie mogę powiedzieć, żeby nas zaniedbywała. Była zawsze obok, jadła z nami obiad, trochę gotowała, w przerwach na odpoczynek pytała o przedszkole, o szkołę, o to, czy wszystko w porządku. Ciałem cały czas była z nami, ale jej dusza fruwała.

W ciągu tych dwóch tygodni namalowała tylko dwa obrazy. Dziwiłam się, że to trwa tak długo.

– Powinny być idealne, nie mogę mu wysłać byle czego. Sama powiedziałaś, że muszę się poradzić mistrza. Na szczęście znalazłam go w samą porę.

– Czy tak można robić? Czy można komuś wysłać obraz do oceny, zupełnie go nie znając?

– Ja nie wiem, czy tak się robi, ale spróbuję. – Była zdecydowana.

Obrazy zostały spakowane. Do paczki mama dołączyła list napisany

przez ciocię Marysię po angielsku i paczka powędrowała na pocztę, a potem do Paryża. Przez pierwszy tydzień mama była wesoła jak szczygiełek. Marzyła się jej wielka sława, czekała z nadzieją na odpowiedź z Krakowa i zaproszenie od Castanellego. Była prawie pewna sukcesu. Po tygodniu lekko zmarkotniała. Uśmiech zniknął z jej twarzy, a wokół ust pojawiły się głębokie bruzdy. Z każdym dniem szarzała i szarzała, aż zrobiła się podobna do deszczowego nieba. Mimo to wciąż sprawdzała skrzynkę listową i zaciepała listonosza, czy czasem czegoś nie pomylił.

W domu zapanował grobowy nastrój. Chodziliśmy z Jaśkiem na palcach, żeby jej nie denerwować. Ale to nie koniec. Pewnego dnia w drzwiach mieszkania stanął listonosz. Mama najpierw zbladła, a potem podfrunęła do niego lekka i radosna, wyciągając przed siebie ręce, żeby koperta z listem poleconym gdzieś nie odfrunęła. Z koperty wypadła na podłogę mała karteczka – upomnienie, bo mama nie zapłaciła rachunku za prąd.

– Ja po prostu zapomniałam – tłumaczyła się zakłopotana. Dłonie, w których trzymała karteczkę, drżały jak liść. Nie mogłam znieść tego widoku.

Potem jeszcze długo szperała po szufladach, pewna, że gdzieś miała odłożone pieniądze. Nie chciała uwierzyć moim słowom, że pieniądze właśnie się skończyły, a te, których szuka, wyjmowała kilka dni temu, żeby zapłacić zaległy czynsz za mieszkanie. Wysłałam – po co się denerwować. Widziałam potem, jak siedzi skulona w fotelu i patrzy na pustą ścianę. Krwawiło mi serce i byłam strasznie zła – na listonosza, na siebie, na Castanellego i nawet na mamę, że tak wiele od nas wymaga.

Tego dnia wcześniej położyłam się spać. Jasiak wskoczył do mojego łóżka, chciał, żeby opowiedzieć mu bajkę, był moją jedyną pociechą w tych smutnych dniach. Pociągał cicho nosem, gdy czytałam mu przygody Nieumiałka.

Następny dzień w szkole był straszny. Bolała mnie głowa z niewyspania, byłam osowiała. Marta kilka razy pytała, co mi się stało. Milczałam. Czy to uczciwe, żeby zawracać głowę innym swoimi kłopotami? Marta była moją przyjaciółką, ale przecież miała własne problemy.

Mimo wyrzutów sumienia podzielenie się z nią tym, co dręczyło moje serce, przynosiło ulgę. W końcu opowiedziałam jej historię z obrazami, o nadziejach mamy, o Castanellim, o Krakowie. Była wolna lekcja. Siedziałyśmy na murku przed szkołą.

– Pamiętasz, jak w pierwszej klasie zazdrościłyśmy starszym

dziewczynom, że mogą już siadać na tym murku? Wtedy był wyższy od nas, dzisiaj sięga nam do pasa.

– To były piękne czasy. – Posmutniałam. – O nic się wtedy nie martwiłam. Żył tata i mama była całkiem normalna.

– Postukaj się w czoło – powiedziała Marta. – Przecież twoja mama dalej jest normalna.

– Nie jestem pewna – mruknęłam. – Myśli tylko o swoich obrazach i o sobie. My jakbyśmy jej przeszkadzali.

– Więc jej nie przeszkadzajcie, niech maluje.

– Nie wiesz, jak to jest – żaliłam się dalej.

– Wiem, wiem. Moi są tacy sami. Nie musisz opowiadać. Objawy obłądu u nich są podobne.

– Tylko im za ten obłąd ktoś płaci, a mojej mamie nikt.

– To fakt – Marta potwierdziła.

– Boję się, że będzie jeszcze gorzej. Zaczynamy wpadać w długi.

– Muszę porozmawiać o tym z rodzicami, szczególnie z mamą. Ona zna prawie całą Warszawę. Ciągłe chodzi na jakieś wystawy, przyjęcia, do galerii. Może będzie mogła pomóc.

– W jaki sposób?

– Namówi kogo trzeba, żeby pokazał obrazy, na przykład w telewizji, albo powiesił je w kawiarni. Rodzice chodzą często na Stary Rynek do takiej przytulnej kafejki, znają właścicieli, nawet się z nimi przyjaźnią.

– Myślisz, że to się uda? – Nie wierzyłam w cuda. – Przecież tych obrazów nikt nie chce kupować.

– Ale powiesić można.

– Nikt się na to nie zgodzi. One są brzydkie – powiedziałam zrozpaczona.

– No, nie wiem. – Marta rozłożyła ręce. – W końcu nie musisz się znać na sztuce. Skąd wiesz, że są do niczego?

– Uwierz mi. Przecież już je widziałas. – Próbowałam przypomnieć.

– Ale kiedy to było, chyba rok temu.

– I od roku nic się nie zmieniło.

– A jednak trzeba spróbować – powtarzała uparcie. – Moja mama przyjdzie do twojej i zobaczymy. Co trzy głowy to nie jedna. – Marta stuknęła mnie w czoło.

– Moja głowa nadaje się tylko do remontu – powiedziałam

zrezygnowana.

– Musisz ją oszczędzać. Potrzebuję twojej pomocy z matematyki. – Szybko zmieniła temat. – Inne przedmiot poprawiłam.

– Marta – westchnęłam – ty nie możesz opuszczać lekcji. Przez to masz straszne zaległości. W przyszłym roku będzie ci trudno pogodzić naukę z baletem. Nie przejdziesz do następnej klasy.

– Nie myślę, co będzie w następnej klasie. Dla mnie najważniejszy jest balet. Ja muszę tańczyć, uwielbiam to robić. Na scenie czuję się najlepiej.

– Ale nikt nie będzie chciał wpuścić na scenę gamonia. Musisz przede wszystkim skończyć szkołę i dalej się uczyć. Dopiero potem myśleć o balecie.

– Wtedy będę już starą, grubą babą, a nie baletnicą. Baletu nie można odkładać na potem. Teraz albo nigdy.

– Wiesz co – pokiwałam głową – z tobą taka sama gadka jak z moją mamą. Obydwie jesteście pomyłone.

– Pamiętasz tę książkę o balecie, którą oglądałam w księgarni?

– Jasne, że pamiętam. Od tej książki wszystko się zaczęło.

– No właśnie. Tego dnia postanowiłam spełnić swoje marzenia.

– Dobra, dobra, zobaczymy w przyszłym roku. Jeszcze będziesz się prosić o pomoc.

– No jasne, że będę. Ale przed nami wakacje i nie dam się przestraszyć.

– Gdzie w tym roku wyjeżdżasz? – Zmieniłam temat.

– Na pewno nie do Świnoujścia – zażartowała.

– A gdzie?

– Jadę na obóz do Karpacza. Szkoła baletowa ma tam zgrupowanie. Będziemy przygotowywać nowy program na wrzesień. Podobno niektóre zajęcia będzie prowadził instruktor z Londynu, jakaś sława!

– No, no – pokiwałam głową – kolejny Castanelli.

– Kto?

– Ten mistrz nad mistrze. Opowiadałam ci przecież.

* * *

Gdy taksówka zajechała pod nasz dom w Bielinku, mama bała się wysiąść. Zapłaciła za kurs i została w środku. Jasio wyskoczył pierwszy i jak strzała dopadł starej huśtawki zwisającej ze spróchniałego konara.

Czekałam na mamę, sprawdzając bagaże. Nie mogłam pozwolić, żeby moja walizka gdzieś się zapodziała. Kierowca zamykał bagażnik.

– Mama zaraz wysiądzie – uspokajałam. – Niech pan da jej jeszcze chwilę.

Kierowca wyjął z kieszeni papierosa i zapalił.

– Ładnie tu – zauważył. – Góry widać z daleka i las. – Rozejrzył się. – Spędzacie tu wczasy?

– Właściwie my tu mieszkamy – wyjaśniłam.

– Piękne miejsce, naprawdę, piękny dom. – Spojrzył w kierunku okien. – Mama go nie lubi, czy co? – zapytał. – Dlaczego nie wysiada?

– Lubi, ale dawno tu nie była. Ostatni raz z tatą.

– A tata nie przyjechał? Nie mógł czy odszedł w siną dal? – powiedział zachrypniętym głosem.

– Tata zmarł trzy lata temu – wyjaśniłam wyjątkowo grzecznie.

– Ach tak. – Zaciągnął się papierosem, potem splunął za siebie i dodał: – Może chciałbyście sprzedać ten dom? – Uniósł wysoko brwi. – Dobrze zapłacę, naprawdę, dam dobrą cenę.

– To raczej nie wchodzi w rachubę – odpowiedziałam z kamienną twarzą.

– Oto moja wizytówka. – Wręczył mi biały kartonik. – Jakby co, niech mama do mnie zadzwoni.

Wzięłam od niego tę wizytówkę, a broda aż trzęsła mi się ze złości. Odwróciłam się i bez słowa poszłam po mamę.

– Mamo, wysiadaj, bo ten pan bardzo się spieszy.

Zobaczyłam, że płacze. Zakrywała twarz włosami i zasłaniała się torebką. Nawet nie spojrzała na bagaże, tylko poszła w kierunku domu. Taksówka po chwili odjechała. Zostaliśmy z walizkami i ściśniętym sercem.

– O czym rozmawialiście? – zapytała, ukradkiem wycierając łzy.

– Chciał kupić od nas dom, to jego wizytówka – odpowiedziałam krótko.

– Facet chyba oszalał. – Spojrzała na kartkę. – Karol Pierożek – przeczytała i niespodziewanie parsknęła śmiechem. – Co za nazwisko! – Wyciągała z torebki klucze, lekko sapiała z nerwów.

Weszliśmy do środka. W domu panował idealny porządek, ale meble stały inaczej. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Ciekawe, kto tu posprzątał? – Mama rozejrzała się zdumiona. – Jest jakoś inaczej, ten stół stał przecież pośrodku pokoju, a telewizor pod tamtą

ścianą. Zaraz, zaraz, tutaj coś się stało. Zobacz, Joasiu, nowe deski w podłodze i listwy pod ścianą, a na suficie jakieś plamy. Może zacieki?

– Widocznie ktoś urzędował tu pod naszą nieobecność.

– Tylko skąd miał klucz?

– Trzeba będzie zapytać Fabisiowej. Ona wie wszystko, co się dzieje we wsi.

– Właśnie, koniecznie muszę ją zapytać. No i trzeba by temu komuś podziękować. Kiedy pomyślę, w jakim stanie zostawiłyśmy tu wszystko! – Mama przechadzała się po pokojach. – Zaniedbałam go strasznie. Tyle czasu minęło, trzy lata. A przecież wyjechałyśmy stąd tylko z jedną walizką. Zostawiłam tu wózek Jasia, prawie wszystkie ubrania, zabawki, nasze rzeczy, nie mówiąc o brudnych naczyniach. Bałam się, co tu zastanę.

– Więc spotkała cię niespodzianka. Zobacz, jak wszędzie czysto i przyjemnie. Jak na wczasach. – Podskoczyłam. – Ach, jak będzie nam cudownie! – Moja dusza śpiewała ze szczęścia. – Ten dom wyleczy nas, zobaczysz!

Jasiek oszołomiony nowym miejscem, bo dla niego wszystko w Bielinku było nowe, biegał po pokojach i wrzeszczał. Mama otwierała okna, żeby przewietrzyć dom, od piwnic aż po strych, a ja rozłożyłam się w swoim pokoju. Na półkach ustawiłam przywiezione książki, powiesiłam do szafy ubrania. Pościel świeżo wyprana leżała wewnątrz tapczanu. „No proszę, tu rzeczywiście działał jakiś pracowity krasnal” – pomyślałam.

Odkrywanie pokoju na nowo było cudowną wędrówką w przeszłość i nawet nie bolało. To, co znalazłam w swoich szufladach, mało przypominało tatę. Napotykanie przedmioty kojarzyły mi się raczej z Filipem, Ewką i Kasią. Czego tu nie było! Przekładałam wszystko z kąta w kąt, nie mogąc pojąć, że to są te skarby, o których śniłam po nocach, wspominając Bielinek – jakieś sznurki, koraliki z jarzębiny wyschnięte jak rodzyнки, cała masa kamieni, okrągłych, płaskich i kanciastych, łupinki po orzechach, stare kredki, skorupki ptasich jajeczek, wyschnięte kokony po motylach, sprasowane płatki kwiatów, przeróżne nasionka i wystrugane patyczki. Mnóstwo śmieci, z powodu których nie mogłam spać miesiącami.

– Idziesz ze mną? – W drzwiach stała mama w bojowej pozie.

– Dokąd? – zapytałam zdziwiona.

– Musimy odwiedzić sąsiadów. W tym domu jest wszystko poprzestawiane, ktoś robił gruntowne porządki, ktoś naprawiał dach, przybił

rynę od strony ogrodu i wstawił nową szybę w miejsce tej pękniętej. Komuś należą się podziękowania.

Ziemia parowała po deszczu, gdy szliśmy przez łąkę w kierunku wsi. Cudowny zapach wikliny zawiewał od strony stawu. Staw był zarośnięty od brzegu do brzegu. Tylko na środku pozostał skrawek tafli wodnej, a na pływających liściach nenufarów bielily się delikatne kwiaty. Spod nóg, jak wtedy przed laty, wyskakiwały zielone żaby i w popłochu wskakiwały do wody. Po prawej stronie, między drzewami majaczyły kształty domu Michalaków. Wypatrywałam oczy za Filipem, lecz nadaremnie. Przed domem nikogo nie było.

We wsi nie spodziewano się nas. Mama nikogo nie powiadomiła o przyjeździe. Nie chciała robić sensacji. Czowała, że teraz przybywamy w zupełnie inny sposób – raczej jako goście, a nie gospodarze.

Było bardzo wcześnie. Nawet na wsi o tej porze niektórzy jeszcze spali. Szliśmy obok siebie, niemal tak samo wysokie, nawet podobne, w spodniach i niebieskich koszulkach, a przed nami podskakiwał jak piłeczka, zadowolony z życia Jaś.

Zatrzymałyśmy się na środku wsi przestraszone. Przed nami rozpościerał się olbrzymi, pusty plac. W miejscu, gdzie stał kiedyś dom Fabisiowej, nie było nic. Dokoła kręciły się jakieś dzieci. Nie znałyśmy ich. Zdziwiona przecierałam oczy, pewna, że to sen.

– Co się stało z domem Fabisiowej? – zapytałam.

– A skąd ja mam wiedzieć? Może wyparował – odpowiedziała mama.

– Pochrunął – zasugerował Jaś. Spojrzał do góry w niebo i, o dziwo, na chwilę się zatrzymał.

– Przecież to tylko trzy lata – stwierdziłam. – Można się załamać od tych zmian. Nie lubię, jak zmieniają się moje wspomnienia. One powinny ciągle trwać.

– Wspomnienia tak, ale rzeczywistość, niestety, nie stoi w miejscu – powiedziała.

– Zapytam tę małą. – Spojrzałam na dziewczynkę siedzącą samotnie na kamieniu.

– Poczekaj, może ja.

Podeszłyśmy bliżej. Natychmiast obstała nas gromadka dzieci.

– Dom Fabisiowej spalił się zeszłego roku na wiosnę. Uderzył w niego piorun i cały poszedł z dymem – wyjaśniły. – Fabisiowa mieszka w domu

Filipa.

Spojrzałyśmy na siebie. Takie wiadomości potrafią naprawdę przygnębić człowieka.

– To co zrobimy?

– Pójdziemy w odwiedziny. Przynajmniej dostaniemy herbaty. W domu nic nie ma. Musimy się wybrać na zakupy. Ale najpierw trzeba zobaczyć, co tu się zdarzyło pod naszą nieobecność.

Wiedziałam, że wyjazd do Bielinka pomoże mamie odzyskać siły. Po łożach nie zostało nawet śladu. Zobaczyła dom, ukochane kąty, las i łąkę, i staw, i natychmiast wyzdrowiała. Zawsze twierdziłam, że Bielinek to zaczarowane miejsce.

Wizyta w domu Michalaków wyjaśniła wszystkie tajemnice. Rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania. W domu Filipa naprawdę mieszkała Fabisiowa i jej najmłodszy syn.

– Michalaki wyprowadziły się do Warszawy – oznajmiła uradowana naszym widokiem. – Już w zeszłym roku wyjechały. Michalakowa, wiecie przecież, wróciła do domu dwa dni przed Gwiazdką. Między nimi jeszcze przez rok nie było dobrze. On nie chciał wybaczyć, że zostawiła go tak na pastwę losu, z dziećmiakami, i poszła, gdzie oczy poniosą. Podobno zarobiła tam sporo pieniędzy. Przez rok siedziała w domu i nie pracowała. Michalak leczył rany, aż w końcu skapitulował.

– Co zrobił? – zapytała mama.

– Poddał się jej namowom, żeby wyjechać do miasta.

– A co z gospodarstwem, z ziemią?

– Ziemi to oni za dużo nie mieli, tylko zwierzaki.

– Więc co ze zwierzakami?

– A co ma być! – krzyknęła. – Sprzedali i już. Co się dało, to sprzedali. Kupili mieszkanie w mieście, znaczy się w Warszawie, i wyjechali. Na wiosnę wyjechali. Zapakowali się w wielki samochód i tyleśmy ich widzieli. Ale często dzwonią – dodała szybko.

– Nie do wiary. – Mama westchnęła. – Kto by pomyślał.

– Ano szczęśliwie się skończyło, dla nich i dla mnie. Bo mi na wiosnę piorun spalił dom. Całuski się spalił. Straciłam wszystko. Wyciągnęłam tylko skarpetę z oszczędnościami, zimowy płaszcz i zdjęcie nieboszczyka męża. Michalaki mnie przygarnęli. Traf chciał, że akurat opuszczali dom. Miałam gdzie się zahaczyć, więc dołożyłam im z tej skarpety na nowe

mieszkanie. Tak i wilk syty, i owca cała. A teraz, kiedy chcą, mogą tu sobie przyjechać. Jacek i Wacek to jak moje wnuki. Mało to się przy nich nasiedziałam, jak Michalakowa uciekła do Niemiec? Lepiej mnie niż ją znają – przechwalała się. – A jak pani teraz żyje? Ciągle sama?

– A czy mogę żyć inaczej?

– Pani jeszcze taka młoda i ładna. W pojedynkę ciężko – stwierdziła. – Nowy mąż pani potrzebny.

– Pani Fabisiowa, niech pani tak nie mówi. Nie ma na świecie drugiego takiego.

– Zobaczmy, zobaczymy. – Pokiwała głową. – Przyjdzie czas i na panią.

Mama zrobiła się czerwona.

– A kto posprzątał w naszym domu? – zapytałam szybko, żeby zmienić temat.

– Zaraz po waszym wyjeździe była u nas straszna ulewa. Jakieś oberwanie chmury, bo staw sięgał aż pod próg waszego domu. Wiatr zerwał kawałek dachu i zalało strych. Od strychu poszło w dół i spuchła cała podłoga. Wszystko naprawiali Michalakowie, oboje, a Filip im pomagał. Tydzień temu dzwonił. Kazali mi przygotować świeżą pościel na wszelki wypadek, gdyby pani przyjechała, widać mieli przeczucie, i kazali przekazać pieska od nich, do pilnowania domu.

– Pieska? – spytałam zdziwiona.

– Ano pieska. Rozalka urodziła dwa miesiące temu. Ta, co kiedyś u państwa była. Urodziła cztery psiaki i tej samej nocy zdechła. Już za stara była na rodzenie. Filip powiedział, że to specjalnie dla Joasi. To znaczy dla córki. – Spojrzała w moją stronę. – Wabi się Kałuża. Tak na nią wołamy, bo najwięcej sika i zostawia olbrzymie kałuże.

– Ale co my z nią zrobimy? – spytała zakłopotana mama.

– Przyda się wam mądry pies. Rozalka była mądra jak jaki profesor, to i jej córka będzie taka sama. – Fabisiowa poczłapała do pokoju, cicho postępując. Po chwili pojawiła się z koszykiem w dłoni. – Oto i ona. – Pokazała.

Z koszyka spoglądała na nas para ogromnych, zielonych oczu.

– Jaka piękna! – krzyknęłam. – Jakie ma mądre oczy!

– Ale, Joasiu – jęknęła mama.

– Proszę, mamó, błagam. Weźmy ją.

– Ale, Joasiu, co my z nią zrobimy w Warszawie?
– Przecież mamy duże mieszkanie – nalegałam.
– To jest niemożliwe, niemożliwe – powtórzyła kategorycznie.
– Zajmę się Kałużą, nie będziesz miała z nią kłopotów.
– Wszystkie dzieci tak mówią, a potem zapominają o obietnicy – Obiecuję, że tak nie będzie! – Uderzyłam się w piersi z całej siły. – Obiecuję.

– Niech pani spróbuje, pani Zalewska. – Wtrąciła się Fabisiowa. – Niech pani weźmie na próbę. Najwyżej pies wróci do nas. Tu mu źle nie będzie. Wszędzie i las, i pola. Wolność jest tu wszędzie. – Zatoczyła ręką krąg nad swoją głową.

Widziałam, jak oczy mamy powoli łagodnieją.

– Ale tylko na próbę, Joasiu – powiedziała cicho.

Serce biło mi z całej siły. Bardzo chciałam mieć tego psa. Chciałam zrobić coś niezwykłego, odmienić swoje życie tak, aby różniło się od tego zostawionego w Warszawie. Chciałam wyjść z tego ciemnego kąta na światło, wreszcie zobaczyć przed sobą jasny dzień, a nie pochmurne czoło mamy. Trzymałam koszyk w zaciśniętych dłoniach, a wiklina wrzynała mi się z całej siły w ciało.

– Jest jeszcze jedna sprawa, pani Zalewska. – Fabisiowa coś sobie przypomniała. – Jest tu u mnie komputer Joasi. Filip kazał powiedzieć, gdyby państwo szukali. Przyniósł go do domu, kiedy tam sprząтали, żeby czasami ktoś nie ukradł albo nie zniszczył.

Byłam rozczarowana. Liczyłam na to, że wreszcie spotkam Filipa. Między innymi dla niego tak zabiegałam o ten przyjazd. Dla niego i dla małego drzewka rosnącego na wzgórzu koło domu. Filipa nie było, drzewko pewnie też uschło. Nie zdążyłam go ani razu podlać. Zaniedbałam przyjaźń i nie dotrzymałam słowa danego tacie.

Zaraz po obiedzie poszłam na wzgórze koło studni. Patrzyłam pod nogi, bojąc się spojrzeć przed siebie. A jeśli drzewka rzeczywiście nie będzie?

Ale drzewko było, i to jakie! Poradziło sobie bez mojej pomocy. Rosło pięknie i zdrowo. Stało samotnie na samym szczycie wzgórza, pomiędzy domem, starą studnią i przepływającym niedaleko potokiem. Sercowate listki drżały śmiesznie na wietrze, jak wahadło zegara – bim-bom, bim-bom – poruszały się na boki. Miłorzęb – drzewo pamięci, o którym zupełnie zapomniałam. Jakie to dziwne. Miało teraz trzy gałęzie. Jedna, najdłuższa,

rosła w górę, dwie krótsze na boki – mama, Jaś i ja – tak mi się jakoś skojarzyło.

* * *

Wczoraj odwiedziła nas Fabisiowa.

– Pani Zalewska, był u mnie Szymon, kamieniarz, ten z końca wsi za kościołem. Kazał powiedzieć, że jest u coś do odebrania. Dla pani – dodała.

– Ależ, pani Fabisiowa, a cóż ja mogłabym odbierać od kamieniarza? Chce mnie pani już pochować? – Mama była bardzo zdziwiona.

– Coś tam zrobił od siebie dla paninego męża, niby coś na pomnik. Nie mówię co, bo nie wiem, ale chyba to coś ważnego, bo bardzo był przejęty.

– No dobrze. – Mama się uśmiechnęła. – A mogę wysłać po to Joasię?

– Czemu nie? Nie mówił, że musi być pani.

– W takim razie przyślę ją z samego rana. Proszę przekazać Szymonowi.

– Powiem na pewno. Chce chłop zrobić jakąś przyjemność drugiemu człowiekowi, to niech zrobi, a pani niech przyjmie podarek.

– Oczywiście, bardzo się cieszę, choć jeszcze nie wiem, o co chodzi. Joasia na pewno podziękuje. Wstanie trochę wcześniej i pójdzie.

* * *

Szymona zastałam w warsztacie. Stał przy hałaśliwej pile i przecinał duży różowy kamień. Twarz i włosy miał przysypane szarym pyłem, pyłem kamiennym. Szymon był ogromny. Wyglądał jak King Kong, ale podobno miał duszę delikatną i wrażliwą jak dziecko. Kiedyś często u niego bywałam. Nie pozwolił podchodzić nam blisko, ze względu na niebezpieczną pilę, ale i tak schowani za kamiennymi płytami, które stały oparte o ściany warsztatu, podglądaliśmy, jak pracuje. Wtedy zobaczyłam, jak niektórzy ludzie kochają swoją pracę albo kochają to, co z tej pracy wynika. Szymon Kamieniarz, bo tak go we wsi nazywali, po każdym przecięciu kamienia gładził go wielokrotnie, głaskał, pocierał, jakby kamień był żywy. Potem szlifował go, długo i starannie, a później wpatrywał się i podziwiał jego piękno. Czasami robił jakąś drobnostkę z kamienia – wazonik albo kulkę i przez cały czas się uśmiechał. Oglądał ją z każdej strony, patrzył, jak wygląda w cieniu, jak pod światło, glansował szmatką,

czasami napluł, znowu przetarł kilka razy. Pomyślałam wtedy, że w kamieniu jest jakiś czar. Kamień jest naturalnie piękny, okrągły czy kwadratowy. Wszystkie dzieci zbierają kamienie. Dorośli też. Na przykład tata miał w swojej szufladzie kamień, który dostał od mamy. Podobno znalazła go na górskim szlaku, gdzie się poznali. Był zielonkawy, z jednej strony matowy, a z drugiej błyszczący. Gdy się go zmoczyło, nabierał ostrzejszej barwy i stawał się szmaragdowy. Tata mówił, że jest wtedy jak oczy mamy. Czasami widziałam, jak brał go do ręki i oglądał pod światło, jak się do niego uśmiechał, tak samo, jak uśmiechał się do swoich kamieni Szymon Kamieniarz. Moje szuflady w Bielinku też były pełne kamieni. Trudno jest przejść człowiekowi koło ładnego kamienia, nie schylić się i nie podnieść.

– Dzień dobry – powiedziałam głośno, bo piła zagłuszyła dźwięk moich kroków.

Szymon oderwał niechętnie wzrok od różowej płyty i spojrział. Wyglądał tak, jakbym obudziła go z głębokiego snu albo z zamyślenia.

– Dobry, dobry – powiedział. – Czekałem – dodał. – Fabisiowa mówiła, że przyjdiesz. – Wytarł ręce w długi fartuch, który zwisał mu aż do ziemi, potem odkręcił zardzewiały kran i splukał je w strumieniu wody. – Coś zrobiłem – powiedział. – Właściwie to nic takiego – tłumaczył się skromnie. – Mały drobiazg ode mnie na grób twojego taty. – Rozejrzał się i podrapał w głowę. – Gdzie ja to położyłem? Aha, jest. – Podeszedł do kamiennego stołu pod oknem. – Zrobiłem taki mały krzyżyk, do przyklejenia na płytę. Właściwie zrobiłem dwa, do wyboru. Bo nie wiem, który będzie się wam podobał – wyjaśnił trochę zmieszany. – Twój ojciec – podniósł do góry głowę – kiedyś bardzo mi pomógł. Gdyby nie on, zabraliby mi zakład i moje kamienie. – Oczyszczył dużą dłonią krzyż, który podniósł ze stołu. – Nieważne szczegóły. Chodzi o to, że nie zdażyłem mu nawet podziękować. Ten krzyżyk ma być dla niego ode mnie – wyjaśnił – oczywiście pod warunkiem, że będzie się mamie podobał. – Położył obok mnie dwa krzyżyki, obydwie piękne, starannie zrobione. – Jeden jest z alabastru, a drugi z czarnego marmuru. – Pokazał palcem. – Wybierz sama.

Szłam przez wieś z alabastrowym krzyżykiem od Szymona Kamieniarza i chciało mi się płakać. Gładki kamień chłodził moje rozpalone ręce. Byłam naprawdę wzruszona.

* * *

Dokuczała mi samotność w Bielinku. Gdyby nie Kałuża i Jasio, umarłabym z nudów. Już nie ciągnęło mnie na wieś jak kiedyś. Wybierałam raczej samotne spacerowanie albo czytanie książek nad stawem. Nie miałam ochoty na towarzystwo, a komputer jak nigdy dotąd stał się dla mnie niezastąpionym towarzyszem. Chyba dopiero teraz do niego dorosłam. W ciągu dnia opiekowałam się Jasiem i pomagałam mamie w prowadzeniu domu, a później czytałam i spacerowałam samotnie po okolicy. Spomiędzy trzciny nad stawem wypatrywałam ruchu przed domem Filipa, z nadzieją, że może przyjedzie, i wtedy ujrzę jego, znajome sylwetki Jacka i Wacka oraz ojca. Niestety, widziałam jedynie drepczącą po podwórku Fabisiowa i jej najmłodszego syna, jak grzebie przy traktorze albo hałasuje, usiłując zapalić silnik starego motoru nabytego za parę groszy od kolegi.

W końcu nie wytrzymałam. Dzień był wyjątkowo zimny i wietrzny. Mama oglądała jakiś film, Jasio budował piracką łódź z klocków lego. Włożyłam kurtkę i wymknęłam się bezszelestnie z domu. Dręczyła mnie ciekawość. Zaspokoić ją mogła jedynie Fabisiowa. Na pytanie, co tam u Filipa, wzruszyła tylko ramionami.

– Ja nic nie wiem. Rzadko przyjeżdżają.

– Nie przyjadą w tym roku na wakacje? – zapytałam.

– Chyba nie. Mają dużo pracy.

– A co oni robią w Warszawie?

– Mają sklep – wyjaśniła.

– Sklep? – Nie mogłam uwierzyć. – A co w nim sprzedają?

– Różne rzeczy. To taki sklep jak mówią „mydło i powidło”.

Słuchałam zaskoczona.

– Filip nic mi nie mówił, że jego ojciec chce otworzyć w Warszawie sklep.

– Nie mówił, bo nie wiedział, nie przypuszczał, że tak szybko wyjedzie z Bielinka. A tu wyjechał i wcale nie chce wracać.

– Kiedyś się odgrażał, że nie zostanie w Bielinku do końca życia. Marzył mu się wyjazd do miasta.

– Ludzie mówią różne rzeczy, a życie płaća figle. Ja też nie myślałam, że przyjdzie mi na stare lata wynosić się z własnego domu. Jeszcze ciągle nie mogę pogodzić się ze stratą. Tyle lat człowiek spędził na jednym miejscu, aż

tu wystarczy dzień i wszystko wali się jak stara stodoła. Całe moje życie fiknęło koziołka. – Fabisiowa pomachała mi przed nosem rękami. – A ty i twoja mama, to dopiero historia. Kto by przypuszczał, że tak się to wszystko ułoży. Może było lepiej nie wyjeżdżać do tej Warszawy? Wszyscy tylko Warszawa! Warszawa! Jakby ładniejszych miejsc na świecie nie było. Zostalibyście w Bielinku, to by wasz ojciec żył – Machnęła ręką i spoważniała. – Ale co ja tu takie rzeczy wspominam. Widać tak miało być i tyle. – Strzepnęła rękami kwiecisty fartuch.

– A zna pani adres do tego sklepu? – Nie dawałam za wygraną.

– Adresu nie znam, ale mam numer telefonu. Chciałabyś zadzwonić?

– Teraz nie, ale jak wrócę do Warszawy, to może zadzwonię, albo nawet ich odwiedzę.

– Będą się cieszyć – zapewniała. – Szczególnie Filip. On tyle o tobie mówił. Tak się martwił, kiedy zginął twój tata. Ale co miał robić. Rodzice postanowili wyjechać i tyle. Musiał jechać razem z nimi. Za to pieska dostałaś od niego ślicznego.

– Kałuża jest cudowna – przyznałam gorliwie. – Żeby tylko mama pozwoliła zabrać ją do domu.

– Pozwoli, pozwoli. Z takiego psa to przecież tylko pożytek. Domu przypilnuje, uprzyjemni smutne chwile.

– Żeby tylko nie psocił. Mama nie lubi, jak myszkuje pomiędzy jej obrazami.

– A mama ciągle maluje?

– Tak – odpowiedziałam.

– A co robi z tymi obrazami?

– Jeszcze nic, ale chce potem sprzedawać. Jak więcej namaluje, to sprzeda.

– To ich już chyba dużo namalowała?

– Dosyć dużo – przyznałam speszona. – Tylko jeszcze nic nie sprzedała.

– Przyjdzie i na to pora. – Fabisiowa pogłaskała mnie po głowie. – Wszystko w swoim czasie, zobaczysz.

* * *

Przylot bielinków przewidywano na początek sierpnia. Prawie wszystkie dyżury przyjęła na siebie Fabisiowa. Miała we wsi najwięcej czasu i wciąż

skarżyła się na bezsenność. Kowalski wykpił się pracą na stacji i tylko Małeczka zgodziła się kilka razy czuwać nad wodą. Moja mama też wzięła kilka dyżurów, bo nasz dom stał przecież najbliżej potoku. Mimo dyżurów wszyscy mieszkańcy w ciągłym napięciu oczekiwali na przylot motyli. W nocy niespokojnie wierzili się w pościeli, co jakiś czas budząc się i nasłuchując. A one nadleciały niespodziewanie, po zimnej deszczowej nocy i mglistym poranku. Nawet czujna Fabisiowa dała się oszukać.

Kiedy pierwsze promienie słońca przedarły się przez ołowiane chmury, nad wsią rozległ się delikatny szelest, a donośny głos Fabisiowej dotarł do każdego domu. Po kilku minutach już wszyscy byli w dolinie. Białe motyle nadlatywały ze wschodu. Schodziły coraz niżej niczym wielkie prześcieradło zrzucane z nieba. Najpierw myślałam, że to zwykła chmura albo resztki porannej mgły, które na czas nie opadły w trawę. Dopiero po chwili usłyszałam ten dźwięk, jak szum jedwabiu lub szelest przekładanych w pośpiechu kartek, i zobaczyłam najpiękniejszy na świecie widok. Setki, a właściwie tysiące białych motyli spadały na łąkę nad potokiem. Ludzie stali jak urzeczeni. Każdy wstrzymywał oddech, żeby nie zburzyć tej cudownej chwili, żeby nieopatrznym słowem, nagłym gestem nie przestraszyć maleńkich przybyszów, miniaturowych aniołów, każdego roku odwiedzających ten skrawek ziemi. Tajemnica ich przylotu, niczym magiczna baśń, wyróżniała nas i łączyła w jedną rodzinę. Mama trzymała mocno moją rękę i płakała. Wiedziałam, dlaczego płacze. Wiedziałam, dlaczego wpatruje się tak zawzięcie w tę białą masę i kogo wśród nich szuka. Przecież tata na pewno także i jej opowiedział historię o białych motylach.

* * *

Mimo nudy Bielinek pomógł mi pogodzić się z wieloma sprawami. Śmierć taty, która tak bardzo odmieniła sytuację naszej rodziny, w Bielinku wydawała się mniej bolesna. Mieliśmy wrażenie, że duch taty mieszka razem z nami i towarzyszy nam każdego dnia i w każdej chwili. Mama częściej się uśmiechała, gotowała nam smaczne obiady, wieczorami czytała książki, studiowała swoje albumy, trochę malowała. Kilka razy kupiła sobie czerwone wino i naląła do ulubionego kieliszka taty, i siadała jak kiedyś przed domem, po zmroku, a kiedy padało, pod ulubioną lampą w dużym

pokoju, ale już nie płakała. Jaś w Bielinku jakby wydorósł i urósł. Sprawiał mniej kłopotów, przestał bić chłopaków ze wsi i zaprzyjaźnił się z synem sąsiadów zza wzgórza.

Niestety, lato było kapryśne i mokre. Pogoda nie sprzyjała dalekim spacerom i wyprawom do lasu. Za to miałyśmy więcej czasu na rozmowy o naszych planach i obietnicach. Znowu poczułam, że mam mamę.

– Postanowiłam, Joasiu, że po wakacjach zacznę się starać o pracę.

– A twoje obrazy? – zapytałam zdziwiona.

– Muszę jakoś pogodzić te dwie rzeczy. Myślałam, że uda mi się zostać malarką. Miałam nadzieję, że wystarczy bardzo chcieć i pracować, a sukces w końcu przyjdzie. Niestety, myliłam się.

– Chcesz zrezygnować z marzeń? – Nie mogłam uwierzyć.

– Te marzenia to tylko mrzonki – stwierdziła. – Sama widzisz, jak to wychodzi. Byłam już w tylu miejscach. Pokazywałam swoje najlepsze prace, duże i małe obrazy, wysyłałam na konkursy, do malarzy, do sklepów. Nic z tego. Do Castanellego wysyłałam kilka listów. Nie odpisał. Łudzę się już od kilku lat, że ktoś zwróci uwagę na moje obrazy, i nic z tego. To chyba wystarczy, nie uważasz?

– Smutne, że nie może być inaczej, że ci się nie udaje.

– Smutne, ale prawdziwe – podsumowała. – Ojciec mówił mi od razu, że to będzie strata czasu. Ale nie wierzyłam. Chciałam udowodnić sobie i jemu, że mam talent, że potrafię malować lepiej od innych i że to tylko sprawa treningu. Zawiodłam się, niestety, i muszę dać za wygraną, po prostu rozpocząć normalne życie. Szare i zwyczajne, zwyczajne, zwyczajne – powtórzyła kilka razy.

– Więc co teraz będzie?

– Muszę coś zrobić ze swoim życiem. Czas mija, Jaś jest już samodzielnym chłopcem, nie wypada mi siedzieć beczynnym w domu. Ktoś musi przecież utrzymywać rodzinę.

– A co chciałabyś robić?

– Sama nie wiem. – Zamyśliła się – Oferty pracy raczej nie leżą na ulicy.

– Może ktoś ci pomoże?

– Jak wiesz, nie mam zbyt wielu znajomych, zaniedbałam dawne kontakty.

– Będzie trzeba je odnowić.

– Uważasz, że to wypada? – zapytała.

– Raczej nie masz wyjścia.

– Najpierw wybiorę się do banku. Tam pracuje znajomy taty. Dzwonił kiedyś do mnie i pytał, czy nie potrzebujemy pomocy. Powiedział, że ma dla mnie pracę.

– Kiedy to było? – spytałam zaskoczona.

– Zaraz po wypadku, chyba... – Zastanowiła się. – No, może przesadziłam – dodała. – Jakiś miesiąc po.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Nie brałam poważnie jego propozycji. Ojciec twierdził, że praca w banku jest nie dla mnie. Że nie mam przygotowania i talentu do ekonomii.

– Przecież studiowałaś matematykę!

– To zupełnie co innego.

– A teraz sobie poradzisz?

– Nie mam wyjścia – powiedziała zrezygnowana. – Żeby tylko mnie chcieli.

Trudno było uwierzyć w szczerść tego, co mówi. Dlaczego właśnie teraz, kiedy jej obrazy zaczynały być coraz piękniejsze i coraz bardziej podobały się i mnie, i Jasiowi, dlaczego teraz zrezygnowała z marzeń? Nie wiedziałam, co myśleć. A przecież zależało mi na tym, żeby mama pracowała, chciałam mieć zupełnie normalną mamę i całkiem zwykły dom, bez tych nadziei na wielki sukces. Nie umiałam tego wyrazić, ale obietnica mamy jakoś nie przypadła mi do serca.

– Gdy przyjechałam po raz pierwszy do Bielinka, to było jakieś czternaście lat temu – mama zaczęła opowiadać – tata zaprowadził mnie na wzgórze koło starej studni. Rosła tam piękna lipa. Podobno tę lipę posadził twój dziadek, dokładnie w dniu ślubu z babcią. Był początek czerwca i lipa była obsypana pachnącymi kwiatami. Zapach tych kwiatów był cudowny. Zaplątał się w nasze ubrania, we włosy. Nosiliśmy ten zapach ze sobą jeszcze bardzo długo. Pokochałam wtedy tę lipę, Bielinek, i pokochałam tatę, choć byłam dziewczyną z dużego miasta i nie przepadałam za życiem na wsi. Domek, w którym wtedy mieszkali dziadkowie, kiedyś był tylko domem na lato. Któregoś roku, z powodów zdrowotnych, wyprowadzili się ze swojego mieszkania w Warszawie i postanowili resztę życia spędzić w Bielinku. Czuli się tutaj bardzo szczęśliwi i dużo zdrowsi. Babcia uczyła w wiejskiej szkole języka polskiego, a dziadek nie pracował już wcale.

– Jacy oni byli? – Jeśli chodzi o dziadków, to moja ciekawość była

nienasycona.

– Bardzo kochani. – Mama się uśmiechnęła. – Kiedy odeszli, zrobiło się bez nich pusto, a lipa na wzgórzu koło starej studni kilka dni po śmierci babci niespodziewanie uschła. Tata chciał zaraz posadzić nową, ale nie zgodziłam się. Strach o drzewo i o to, że może oznaczać czyjeś życie lub zdrowie, byłby nie do zniesienia.

– Dlatego tata nie przyznał się do posadzenia miłorzębu?

– Na pewno dlatego. Bał się, że znowu będę przeciwna. Gdyby wtedy wiedział...

– Nie mów tak, mamu – prosiłam. – Przecież to tylko przypadek.

– Wiem, Joasiu, oczywiście, że to przypadek, ale gdy dowiedziałam się o tym miłorzębie, natychmiast tak sobie pomyślałam.

– Kiedy zamieszkaliście w Bielinku?

– Zaraz po tym, jak umarli dziadkowie. Nie mieliśmy jeszcze własnego mieszkania, a za kilka miesięcy miałaś się urodzić ty. Postanowiliśmy wyjechać na wieś, żebyś miała świeże powietrze i spokojne dzieciństwo. Bielinek doskonale się do tego nadawał. Gdyby nie to nieszczęście, które nas spotkało, można by powiedzieć, że był szczęśliwym domem.

– Był i jest – poprawiłam. – Przecież ciągle jesteśmy w nim szczęśliwi.

Mama spojrzała w bok, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Jaś jest szczęśliwy, bo on nie pamięta, jak było wcześniej, ale ja ciągle tęsknię za tatą – powiedziała.

– Ja też tęsknię – wyznałam.

* * *

Nieuchronnie zbliżał się koniec wakacji. Nie mogłam uwierzyć, że niedługo wrócimy do Warszawy. Listy od Marty przychodziły regularnie i zaczynałam tęsknić do naszych rozmów. Marta spędzała całe wakacje, ciężko pracując nad nowym programem. Na początku września wyjeżdżali ze swoją grupą baletową na festiwal do Pragi. Trochę zazdrościłam jej tego. Przynajmniej się nie nudziła i pożytecznie spędzała czas. Ale i moja wakacyjna misja skończyła się sukcesem. Mamie wrócił dobry humor, czuła się lepiej, wyglądała młodziej i odzyskała chęć do życia. Cieszyłam się, że niedługo pójdzie do pracy, Jaś do przedszkola, a ja będę już prawie dorosła, więc problem kluczy i domu jakoś sam się rozwiąże.

Tym razem zostawiłyśmy po sobie idealny porządek. Klucz od domu zaniiosłam do Fabisiowej i poprosiłam, żeby czasami zajrzała do środka. Podziękowałam jej za wszystko i pożegnałyśmy się jak dobre znajome.

– Przyjeżdżajcie częściej – prosiła. – W Bielinku coraz mniej ludzi. Młodzi uciekają do miasta, a starzy umierają. Szkołę przenieśli do gminy, dzieci dowożą autobusem, nie ma po co wystawiać nosa z domu.

– Przyjedziemy za rok – obiecałam. – Może wtedy spotkamy Filipa.

– A zabrałaś ten numer telefonu?

– Zabrałam.

– Więc nie zapomnij i zadzwoń.

Taksówka wiozła nas na dworzec kolejowy, a za oknem szalała wichura. Bielinek płakał za nami i żegnał nas deszczem. Słońce ze złości, że odjeżdżamy, schowało się za chmury. Nie rozpieszczało nas tego roku, a mimo to było żal, że znowu kończy się lato, że przed nami długie jesienne wieczory w domu, a potem zima.

– Przyjedziemy tu znowu? – zapytał Jasio. – Michał od pani Fabisiowej obiecał mi, że za rok będę mógł poprowadzić jego traktor.

– Powtórz jeszcze raz – poprosiłam.

– Michał od Fabisiowej...

– Mamo! – krzyknęłam. – On powiedział dobrze. Jaś nauczył się mówić „ch”!

MARTA MORAŃSKA

*Siedzimy na ławce. Słońce zachodzi.
Przešla mostu rzucają długi cień na wodę.
Kamera wędruje wzdłuż brzegu, pokazuje ludzi na rowerach. Marta
wstaje, przeciąga się nieznacznie.
Myśli, że kamera jej nie widzi. Jest wysoka, bardzo zgrabna. Jeden z
rowerzystów omal nie wpada na słup z latarnią.*

Kiedy wróciłam z Pragi, rok szkolny już trwał. Ostatni rok w tej szkole. Zebrało się trochę zaległości, ale Joasia, jak zwykle niezawodna, pisała cały czas w dwóch zeszytach. Musiałam tylko nadrobić materiał. Przez kilka dni pracowałam intensywnie, a w wolnych chwilach wspominałam z Joasią wakacje. Miałam jej tyle do opowiedzenia. Byłam ciekawa, jak ona spędzała czas w Bielinku, czy kogoś poznała, czy widziała się z Filipem. Grupa baletowa, w której się znalazłam, kilka razy zmieniała miejsce pobytu. Przygotowywaliśmy się do festiwalu w plenerze, w szkole, a potem w ośrodku sportowym w górach. Dlatego listy od Joasi do mnie nie docierały. Pisałam tylko ja. Ona wiedziała o mnie wszystko, ja o niej prawie nic. W moim życiu przez te dwa miesiące zmieniło się wiele.

Joasia otwierała ze zdziwienia oczy, gdy dzieliłam się z nią wrażeniami. Zajęta własnymi problemami nie znała życia, nie zwracała uwagi na to, co się dzieje wokół niej i jak bardzo zmienia się wszystko z każdym rokiem. Wciąż czuła się jak mała dziewczynka biegająca po łące za motylkami, i najchętniej pozostałaby tą dziewczynką już do końca życia. To, że świat nie jest taki idealny, dotarło do niej wraz z problemami jej rodziny. Mama mówiła, że Joasia jest trochę niedzisiejsza, zagubiona i oderwana od rzeczywistości, chociaż rzeczywistość dawała jej się mocno we znaki. Nie lubiła specjalnie telewizji, czasem słuchała radia, najczęściej muzyki, dużo się uczyła, prawdę mówiąc, zakuwała. Miałam wrażenie, że żyła tylko połową życia – grzecznie pakowała książki do plecaka i pędziła do szkoły, a potem do domu odrabiać lekcje i doglądać brata. Była zupełnie inna niż ja, ale potrafiła zrozumieć moją pasję i miłość do tańca. Mówiła, że jestem jak motyl. To było miłe. Mówiła, że potrafi, patrząc na mnie, unieść się w

myślach do góry, że czuje, jak leci albo jak płynie. Śmiała się, że gdy kręcę piruety, jej kręci się w głowie, jakby sama tańczyła, że odruchowo prostuje kolana i zaciska pięści ze strachu.

– Przy tobie czuję się jak ptak zamknięty w klatce – powiedziała kiedyś.

* * *

Joasi mama poszła do pracy. Wszyscy cieszyliśmy się z tego, bo sytuacja finansowa rodziny wyglądała niezbyt wesoło. Dowiedziałam się od pani Zalewskiej, że z oszczędności nic już nie zostało, a teraz brakuje im nawet na codzienne wydatki. Renta, z której żyli, przestawała wystarczać, lecz Joasia jakby nieświadoma tego z pokorą przyjmowała swój los. Ubrania Joasi były już bardzo zniszczone i niemodne. Brakowało jej niektórych książek, czasami nie miała śniadania.

Ich mieszkanie, kiedyś takie nowoczesne, czyste i zadbane, teraz było w opłakanym stanie. Za to w największym z pokoi, pod ścianami stało chyba ze sto obrazów, tarasowały przejście pomiędzy meblami, mimo że wiele z nich powędrowało do piwnicy, bo brakowało już na nie miejsca.

Wczoraj Joasia powiedziała, że mama jest bardzo zadowolona z pracy. Zaczęła o siebie dbać, malować oczy i wkładać buty na wysokim obcasie.

– Jaka ona jest teraz piękna – cieszyła się. – Znowu wygląda jak kiedyś. Wstaje bardzo wcześnie, odprowadza Jasia do przedszkola i jedzie do pracy. Wszystko dobrze się ułożyło – radośnie opowiadała.

W październiku wyjechałam na kilka dni ze swoją grupą baletową do Bydgoszczy. Występowaliśmy na specjalnym turnieju i zajęliśmy trzecie miejsce. Mój występ bardzo się podobał. Otrzymałam wyróżnienie. Nauczycielka powiedziała, że tańczyłam najlepiej i że w przyszłym roku przeniosę się do normalnej szkoły baletowej, że szkoda takiego talentu jak mój. Byłam szczęśliwa, po pierwsze dlatego, że spełniły się moje marzenia, a po drugie, że nie poszła na marne ciężka praca i wyrzeczenia. Taniec był moim przeznaczeniem. Czułam to każdą komórką. Kiedy w rytm jakiejś melodii krążyłam po scenie, byłam w swoim żywiole.

Wracałam do szkoły po dziesięciu dniach przerwy z medalem na szyi. Schowałam go pod sweter, żeby nie rzucał się w oczy, ale jego miły ciężar i tak przez cały dzień przypominał mi o sukcesie. Joasi w szkole nie było. Dziwiłam się, bo rzadko chorowała, prawie nigdy nie opuszczała lekcji.

Urwałam się z ostatniej godziny, żeby ją odwiedzić w domu.

– Co się stało? – Wpadłam zdyszana. – Dlaczego nie byłaś w szkole?

Joasia stała w progu z niewyraźną min^{^^} – – Musiałam zostać z Jasiem, bo ma gorączkę.

– Ty musiałaś zostać? – Nie wierzyłam własnym uszom. – A mama, twoja mama nie została?

– Coś ty – powiedziała wzburzona. – Mama niedawno zaczęła pracować. Nie może od razu iść na zwolnienie. Co by sobie o niej pomyśleli?

– Jak to co? Że ma małe dziecko, które jest chore i wymaga opieki.

– Łatwo się mówi. – Wzruszyła ramionami. – Mama nie może opuszczać pracy, bo jak opuści chociaż jeden dzień, to potem sobie nie poradzi.

– Nie jest małą dziewczynką. Dorośli nie muszą nadrabiać zaległości jak my, w szkole.

– Muszą, muszą – podkreśliła Joasia. – Mama cały czas nadrabia. Nawet część tej pracy przynosi do domu. Siedzi w nocy i pracuje, żeby te zaległości nadrobić.

– To tak jak moja mama – przypomniałam sobie. – Z tego wynika, że nie tylko w telewizji trzeba tak dużo pracować. Mama czasami przeklina swoją pracę. Narzeka, że nie ma czasu dla siebie ani dla nas. Ciągłe gdzieś jeździ, potem pisze, a jeszcze potem nagrywa i tak w kółko.

– A co tam w szkole? – Nagle zmieniła temat. – Była klasówka z matematyki?

– Na szczęście nie było – odpowiedziałam z ulgą.

– Dziwne, w poniedziałek matematyka się zaklinała, że robi klasówkę.

– Nie zrobiła, ale za to całą godzinę pytała. Krążyła wokół mnie jak sęp. Na szczęście jakoś się udało – rozpromieniłam się. – W związku z tym nie było nowej lekcji, więc nie musisz uzupełniać zeszytu – stwierdziłam. – Mam nadzieję, że jutro zjawisz się w szkole. Nikt się nie uczy, wszyscy liczą na ciebie. Miałaś czytać swój referat z przyrody.

– Chyba przyjdę. Ciocia Marysia jutro ma wolne, a jej chłopak wyjechał na tydzień. Obiecała, że popilnuje Jasia.

– Kamień spadł mi z serca – przyznałam. – A teraz muszę lecieć. U nas w domu dziś jest dzień dziecka. Mama robi obiad, pyszne naleśniki z wiśniami i ze śmietaną, mniem, mniem. – Pogłaskałam się po brzuchu i już za kilka sekund frunęłam jak na skrzydłach do domu.

Kiedy wróciłam, mama gotowała zupę.

– A gdzie moje naleśniki?! – wołałam od drzwi, czując zamiast zapachu naleśnikowego ciasta zapach wędzonej kiełbasy.

– Zapomniałam kupić mąki i nie mam już ani słóiczka wiśni – odpowiedziała z rozbijającą szczerością. – Gotuję krupnik, twoją ulubioną zupę.

– Nienawidzę krupniku! To najgorsza zupa pod słońcem – buntowałam się. – Już nawet nie pamiętasz, co ja lubię.

– Pamiętam, pamiętam – mówiła spokojnie. – Oprócz kaszy i kiełbasy nic innego nie miałam.

– I tak już chyba pozostanie – mruknęłam zła.

– Ale mam dla ciebie inną niespodziankę.

– Co takiego?

– Najpierw się rozbierz i umyj ręce. Powiem ci przy krupniku.

Po pięciu minutach siedziałam w kuchni przy stole.

– Załatwiłam pani Zalewskiej salon wystawowy – powiedziała z tryumfem.

– Jak to salon? – Nie zrozumiałam.

– Powiedziałam o niej pewnemu człowiekowi, który ma prywatny salon wystawowy z wystrzałową restauracją. Restauracja nazywa się „Filantrop”, a facet Matejko. Nieźle co? On ma dobre intencje, lubi pomagać debiutantom. Jest pra-prapopotkiem malarza i odkrył w sobie misję filantropa. Nawet swój lokal tak nazwał.

– Nazwał lokal „Matejko”?

– Już ci przecież mówiłam – powiedziała mama. – „Filantrop”! Obiecałam, że pokażę mu prace pani Zalewskiej i wtedy zadecyduje. Wybieram się w tej sprawie do Zalewskiej. Muszę z nią porozmawiać.

– Nie wiem, czy ją zastaniesz. Joasia jest sama w domu, a właściwie z Jasiem. Pani Zalewska jeszcze nie wróciła z pracy.

– Więc pójdę wieczorem, gdy wróci. Mam nadzieję, że jej się spodoba ten pomysł.

– Nie jestem pewna – powiedziałam zmartwiona. – Pani Zalewskiej bardzo zależy na tej pracy w banku. Joasia mówiła, że już nie maluje.

– Ma tyle gotowych obrazów, że starczyłoby na trzy wystawy. Przecież sama mówiłaś – przypomniała. – Wybierzemy najlepsze i powiesimy w galerii. Może wpadną komuś w oko, może spodobać się właścicielowi, kto wie? Dzisiaj wszystko jest możliwe. Nawet największe bohemy znajdują

swoich wielbicieli.

– Mogę zadzwonić do Joasi z tą wiadomością? – zapytałam uradowana, pomijając milczeniem końcowy komentarz mamy.

– Oczywiście, że możesz. I zapytaj, o której mogę do nich wpaść.

To zdarzyło się dwudziestego pierwszego października wieczorem. W połowie listopada wystawa była gotowa.

@

JOASIA ZALEWSKA

Kręcimy ciągle w samochodzie.

Dookoła zebrał się tłum ciekawskich.

Stoją już tak z pół godziny. Ruszamy, żeby uciec.

Zatrzymamy się z drugiej strony osiedla.

Trudno było pogodzić pracę w banku i ślęczenie po nocach, żeby nadrobić zaległości i przygotować wystawę. Mama pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę. Do domu wracała koło szesnastej i zaraz biegła wieszać obrazy, a potem, jeżeli jeszcze starczało jej sił, zasiadała do papierów. Z jednej strony rozpierała ją energia i radość, że wreszcie dopięła swego, z drugiej przygnębiał fakt, że praca w banku jakoś jej nie idzie. Mimo woli słyszałam, jak w rozmowie przez telefon przeprosza za błędy jedną z koleżanek. Pewnego dnia powiedziała, że chyba zwariuje, nałała sobie wódki i mówiąc: „Ja albo ona!”, wypila do dna.

– Ta praca w banku chyba jej nie leży – zwierzałam się Marcie.

– Nie dziwię się – przyznała. – Takie liczenie słupków przez cały dzień to strasznie nudne zajęcie.

– W tych papierach nie ma żadnych słupków. Tylko jakieś dywidendy, odsetki, prowizje i debety – wyjaśniałam – a słupki obliczają komputery.

– No to w czym problem? – zapytała, bo sama nie radziła sobie z rachunkami.

– Właśnie że nie wiem. Patrzą na nią, jak siedzi nad tymi kartkami, i żal mi jej.

– Jesteś dobra z matmy, więc pomóż mamie.

– Matką nic tu nie wskórasz. Potrzebny jest ekonomista – mówiłam ze znanstwem. – A ekonomista to zupełnie coś innego.

– Mam wujka ekonomistę, może zaproszę go do was?

– Marta! – powiedziała zniecierpliwiona. – Przecież nie zabierze tego ekonomisty ze sobą do pracy.

– A może załatwimy korepetycje z ekonomii?

– A czym zapłacimy?

– Zobaczysz, już niedługo twoja mama będzie sławna. Sprzeda wszystkie swoje obrazy i będziecie bogaci.

– Wiesz co, Marta?

– Skąd mam wiedzieć?

– Powiem ci, że gdyby mama odzyskała tylko te pieniądze, które wydała na farby, ramy i te inne rzeczy potrzebne do malowania – powiedziała głośno – też bylibyśmy bogaci.

– Może wszystko jeszcze się zmieni, może właśnie ta wystawa...

– Przyznam ci się do czegoś – odruchowo zniżyłam głos. – Tylko błagam, żebyś mnie nie wydała.

– Obiecuję. – Marta uderzyła się w piersi.

– Napisałam do kogoś – powiedziała jeszcze ciszej.

– Co napisałaś?

– Napisałam już dwa listy do tego Castanellego.

Marta dalej nic nie rozumiała.

– Do Castanellego? A kto to jest?

– Już ci o nim kiedyś wspominałam. Pewnie nie pamiętasz?

– Jakoś nie bardzo. – Przyznała i nachyliła się blisko mnie, żeby niczego nie uronić.

– To taki malarz. Maluje jak moja mama, same kwiaty – wyjaśniłam.

– Widziałaś te jego kwiaty?

– Nie widziałam ani jednego. Ale wiem to od mamy. Ona widziała i uważa go za mistrza. Napisała do niego list...

– Zaraz, zaraz – przerwała zniecierpliwiona. – Niczego nie rozumiem. Ty napisałaś czy mama?

– Najpierw napisała mama, ale nie odpisał. Wysłała również jakieś obrazy. Chciała się pochwalić czy coś takiego.

– Chciała mu je sprzedać? – Marta szybko zapytała.

– On nie kupuje obrazów, tylko sprzedaje. Maluje i sprzedaje. Jak moja

mama, tylko że ona maluje, ale nie sprzedaje, bo nikt nie chce kupić.

– To po co mu wysłała? Jak nie kupuje, to niech się wypcha – podsumowała.

– Miał je obejrzyć i pochwalić. Tak chciała mama.

– I pochwalił?

– Nawet nie odpisał. Kamień w wodę.

– A co na to mama?

– Martwi się okropnie. Mówi, że widocznie są słabe.

– Może facet wcale się nie zna? – Marta myślała trzeźwo.

– Zna się jak nikt – podkreśliłam. – Ale ma w nosie jakieś tam nieznane malarki.

– Więc po co do niego napisałaś, i to aż dwa razy?

– Błagałam go, żeby odpisał mamie chociaż słowo. Czy jest malarką, czy nigdy nią nie będzie.

– Napisałaś po polsku?

– Po angielsku.

– Po angielsku! – Marta krzyknęła. – Przecież ty nie znasz angielskiego tak dobrze, żeby pisać listy.

– Trochę znam, a zresztą mam przecież słownik.

– On z tego nic nie zrozumie, nie łudź się. Zresztą nawet gdyby zrozumiał, czy to coś zmieni? Myślisz, że jeżeli wyśmieje obrazy twojej mamy, to ona uwierzy mu i przestanie malować?

– Mam nadzieję.

– Nawet teraz, gdy niedługo wystawa?

– Wystawa nic tu nie zmieni. Wszystko pozostanie jak było.

– Jesteś okropna. Nie rozumiesz artystycznej duszy swojej mamy.

– Ja w ogóle nie rozumiem artystów – stwierdziłam rozgoryczona. – Na przykład twój balet. – Specjalnie to powiedziałam. – Fikasz nogami, podskakujesz, pocisz się, wracasz do domu wykończona, tylko po to, żeby się popisać przed jakimiś tam obcymi ludźmi. Potem masz problemy w szkole, opuszczone lekcje i jaka z tego korzyść?

– Zdziwiasz mnie. Przecież zawsze ci się podobało, jak tańczy. Myślałam, że wiesz, o co w tym wszystkim chodzi. – Zrobiła obrażoną minę i wstała.

– Nie obrażaj się. Przecież tylko żartowałam – wyjaśniłam, dodając: – Choć wolałabym nie odrabiać za ciebie matematyki i nie podpowiadać na

sprawdzianie z chemii.

– Ty jesteś lepsza w tym, a ja w czym innym. Nie umiesz zrobić piruetu, nie znasz podstawowych figur, ani razu nie tańczyłaś w baletkach.

– Twoje baletki nie napiszą za mnie wypracowania.

– Robi mi się niedobrze od tego gadania. – Marta spojrzała ze złością. – Jesteś prawdziwym kujonem.

– Ale jakim przydatnym. – Nie dałam się sprowokować. Wiedziałam, że tylko tak się spieramy, dla żartu. W gruncie rzeczy obie nie mogłybyśmy bez siebie żyć. – Wiesz co? – zapytałam.

– Nie wiem.

– Daj mi telefon do twojego wujka, tego ekonomisty. Może jednak do niego zadzwonię. Muszę jakoś pomóc mamie.

– Nie jest łatwo pomagać rodzicom. – Marta dobrze mnie rozumiała. – Mój tata ostatnio prawie nie bywa w domu, mama wisi cały dzień na telefonie i uzgadnia kolejną wersję materiału, a ja gadam do siebie w pustym pokoju. Co zrobić, żeby zaczęli inaczej żyć, żeby załatwili mi młodszego brata albo siostrę. Proszę ich o to już od dawna i nic.

– Ja przynajmniej to mam z głowy – stwierdziłam na pocieszenie.

* * *

Wreszcie odrobina szczęścia zagościła w naszym domu. Szykowałyśmy się starannie na ten wieczór, który miał być dla nas sygnałem, że coś zmieniło się na lepsze. Mama stała przed lustrem w czarnej sukience i szczykała zębami.

– Mam straszną treść – oznajmiła i dla odwagi nalała sobie kieliszek wina. – Jakoś nie dociera do mnie, że idę na otwarcie wystawy moich własnych obrazów – mówiła, popijając małymi łykami.

– Może to sen. – Uśmiechnęłam się.

– O nie, snów o sławie mam powyżej uszu. Teraz czas na rzeczywiste sukcesy. Dosyć się naczekałam.

– Cztery lata.

– Nie chce się wierzyć. Taty nie ma już z nami tak długo. – Mama westchnęła. – A myślałam, że nie przeżyję bez niego nawet tygodnia. – Odstawiła pusty kieliszek.

– Jednak sobie poradziłaś.

– Dzięki tobie. – Pogłaskała mnie po ramieniu. – Gdybyś nie była taka cierpliwa, dawno bym zrezygnowała.

– Chyba żartujesz. Przecież to właśnie ja krytykowałam cię najbardziej. Wątpiłam w ciebie, nie podobały mi się twoje obrazy.

– Ale wytrzymałaś wszystko, znosiłaś dzielnie moje humory i niedostatki.

Patrzyłam, jak chowa do szafki butelkę z winem.

– Raczej nie miałam wyjścia – oświadczyłam szczerze, bo nie czułam ani trochę, że mam jakiegokolwiek zasługi w sukcesie mamy. Jeszcze wciąż nie wierzyłam, że to się uda. Już tyle razy przeżywałyśmy rozczarowania. Przecież mama od czterech lat nie sprzedała ani jednego obrazu. Więc jak mogłam w cokolwiek wierzyć? Chyba tylko bać się, że ona od tego wszystkiego w końcu się rozchoruje. Dlatego teraz, choć widziałam, jaka jest szczęśliwa, gdzieś na dnie serca czułam niepokój.

Na spotkanie pojechałyśmy taksówką. Lokal był zamknięty dla zwykłych klientów, ponieważ ten wieczór poświęcono wyłącznie mojej mamie. Do środka wpuścił nas jakiś pan w ciemnym garniturze. W klapie miał jednego irysa, a w rękach cały bukiet.

– Witamy na uroczystym otwarciu wystawy – powiedział i pocałował mamę w rękę, a potem wręczył jej kwiaty.

Mama rozglądała się nieco zdziwiona, że nikt więcej nie wyszedł naprzeciw. Czułam, że jest bliska płaczu. Czyżby to miał być kolejny niewypał? Nigdy nie brałam udziału w wystawach, a jednak wydawało mi się, że takie imprezy robią wokół wiele zamieszania. Miałam nadzieję, że ktoś jeszcze przyjdzie, bo inaczej ja również zaraz się rozpłaczę.

Szliśmy przez ciemne sale restauracji. Wszędzie panowała cisza i absolutna ciemność. Buty mamy stukały na posadzce, a moje serce waliło jak młot w rytm jej kroków.

– Dlaczego jest tak ciemno? – Mama nie wytrzymała. – Wczoraj, gdy wychodziłam stąd, paliło się na schodach i w holu.

– Oszczędzamy, droga pani – powiedział poważnie pan z irysem w klapie. – Oszczędzamy – powtórzył.

Nie przeczuwałyśmy niczego. Nasze kroki dudniły w pustym pomieszczeniu. Nie wiedziałyśmy, co to ma znaczyć. Przed nami były jeszcze jedne drzwi, które gospodarz pchnął prawą ręką.

– A oto pani obrazy – powiedział.

Przed nami zionęła piekielna ciemność. Myślałam, że śnię jakiś horror. Mama ścisnęła moją rękę i czułam, że jest przerażona. Stałyśmy kilka sekund jak zahipnotyzowane, gdy nagle nad głowami rozbłysły dziesiątki świateł i rozległy się radosne okrzyki. Mama podskoczyła przestraszona, a potem zasłoniła rękami twarz i rozplakała się na dobre. Wybałuszałam oczy z nadzieją, że to wszystko prawda, a nie scena z jakiejś głupiej mydlanej opery.

Po kolejnych buziakach, uściskach i gratulacjach udało nam się w kolorowym tłumie rozpoznać kilka znajomych osób. Była pani Morańska z mężem i Martą, była ciocia Marysia, był jej chłopak o oczach jak guziczki, byli nasi sąsiedzi z ulicy Pięknej i kilku znajomych właściciela lokalu, była jakaś starsza pani, starszy pan, mała gruba blondynka z koralami jak piłeczki do ping-ponga i młody mężczyzna z ciemną brodą, w przekrzywionej czapeczce krasnala Hałabały, dwie panie podobne do siebie jak dwie krople wody, i jedna nieco starsza, okrągła i rumiana, i jedna chuda, w ogromnych okularach, i kilka osób całkiem normalnych, o których na pierwszy rzut oka nie dało się nic ciekawego powiedzieć.

Posadzili nas przy stole zastawionym smakołykami i obsypali mamę masą komplementów. Potem nastąpiły przemówienia: tego pana z irysem w klapie, pani Morańskiej i starszej pani w dużych okularach, kierowniczkę osiedlowego domu kultury, potem tego pana w czapeczce Hałabały, krytyka i znawcy sztuki współczesnej, dwóch pań koneserek sztuki, które zajmują się kupnem i sprzedażą obrazów. Każde z nich oferowało pomoc i opiekę nad nowo wschodzącą gwiazdą, czyli moją mamą. A ona, zdziwiona, że jej obrazy narobiły tyle zamieszania, dziękowała, dziękowała, dziękowała.

Pomieszczenie, w którym wystawiono obrazy, było jednocześnie salą restauracyjną. Ze wszystkich stron spoglądały na gości wizje mojej mamy, jej szalone kwiaty i zwariowane pejzaże. Na ciemnej ścianie prezentowały się wyjątkowo dobrze. Po raz pierwszy od czasu, gdy mama zaczęła malować, mogłam zobaczyć je z pewnej odległości. I spodobały mi się, choć nie wiem, czy sprawił to fakt, że oswoiłam się już z jej sposobem malowania, czy dlatego że polubiłam oryginalne kombinacje barw i kwiatów w postaci wymyślnych plam, zygzaków, śrubek i przecinków, czy też dlatego, że bardzo chciałam je zaakceptować i zrozumieć. Ojciec Marty, który pewnego dnia skrytykował bezlitośnie jeden z mamy obrazów, tym razem nie mógł się nadziwić ich urodzie. Za bardzo jednak mu nie

wierzyłam. Znałam go trochę. To nie było to, w czym naprawdę gustował.

Mama promieniała. Widziałam ją w takim stanie po raz pierwszy od śmierci taty. Nigdy bym nie pomyślała, że malowanie może dać człowiekowi tyle radości. Z przejęcia płonęła jej twarz. Mama musiała opowiadać, co myśli, gdy tworzy, dlaczego jej wizja przyrody jest taka zagmatwana, czy maluje sercem czy rozumem, jak dobiera barwy, przypadkowo czy planuje wcześniej, ile czasu zabiera jej namalowanie jednego obrazu... Mama opowiadała, trochę zmyślając, żeby się wszystkim bardziej podobało. A ja przecież dobrze wiedziałam, że malowanie idzie jej szybko, że maluje bez względu na porę dnia i pogodę na dworze. Zawsze gdy ma wolną chwilkę, i że nie czeka na natchnienie, że farby czasami się kończą, więc kombinuje z tych, które zostały, że gdy maluje, rozum chowa gdzieś w kącie pokoju, że biega nieprzytomna pomiędzy kuchnią i sztalugami, że maluje z pamięci, dlatego kwiatom brakuje naturalnych kształtów. Mogłabym odpowiedzieć za nią na wszystkie te pytania. Znałam ją lepiej niż ona siebie samą.

Gdy dorośli wymieniali wrażenia z wystawy, my z Martą usiadłyśmy w drugim końcu sali, ze szklankami coli i chipsami.

– W sobotę mam ważny występ. – Marta wyjęła z kieszeni podpisaną kopertę. – Przyniosłam dla ciebie zaproszenie. Tylko nie wiem, czy będziesz mogła przyjść.

– Oczywiście, że przyjdę – zapewniałam.

– W tej kopercie jest również zaproszenie dla twojej mamy. Ale co z Jasiem? To jest przedstawienie wieczorne.

– Dzisiaj Jaś jest u sąsiadki. Opiekuje się nim w czasie naszej nieobecności. Myślę, że w sobotę też nie odmówi.

– To fajnie. – Marta uśmiechnęła się. – To dla mnie bardzo ważny występ – zaznaczyła. – Tańczę główną rolę. Nasza pani uważa, że jestem najlepsza w zespole. Chce, żeby ktoś zauważył, jak tańczę.

– I tak jak mojej mamie urządził promocję. – Roześmiałam się.

– No właśnie – przyznała. – Ona chce, żebym od września zmieniła szkołę.. Powiedziała, że powinnam kształcić talent, żeby go nie zmarnować.

– Chyba żartujesz. – Przestraszyłam się. – A co będzie ze mną? Zostawisz mnie na lodzie? – Nie mogłam uwierzyć.

– Jeżeli ocenią dobrze mój występ, będę się musiała zdecydować. Sama widzisz, ile czasu zajmuje mi dojeżdżanie na próby. W szkole baletowej

wszystko będzie na miejscu.

– Ale jesteś przecież moją przyjaciółką – zaprotestowałam. – Zostanę sama!

– Martwię się tym okropnie – wyznała. – Też się boję rozstania, ale tu chodzi o moją przyszłość. Pani mówi, że to ostatni dzwonek.

– To co my zrobimy? – Próbowałam szukać rozwiązania.

– Będziemy się spotykały popołudniami albo w czasie weekendów.

– To nie to samo.

– Wiem, ale dobre i to.

– Łatwo się mówi, nowa szkoła, nowi koledzy, a ja?

– Więc też zostań baletnicą – poradziła Marta. – I przenieś się do mojej szkoły.

– Mogę najwyżej zostać biletnicą – powiedziałam wściekła. – I sprzedawać bilety na twoje występy.

– No właśnie! Z matematyki jesteś najlepsza w klasie, więc nie pomylisz się przy wydawaniu reszty.

– Ja to mam w życiu pecha. – Wypiłam szybko swój napój. – Mama artystka, mieszkanie zawałone obrazami, niepewna przyszłość i koleżanka, która zamiast normalnie się uczyć, biega po scenie i robi podskoki.

FILIP MICHALAK

Ostatnia rozmowa przed punktem docelowym.

Kręcimy.

Połowę nocy spędziłem przy komputerze. Przez kilka godzin próbowałem w sposób wirtualny zmienić losy drugiej wojny światowej, zawierając ryzykowne sojusze militarno-ekonomiczne. Na szczęście tylko w grze. Nie chciało mi się spać. W mieszkaniu panowała cisza, tylko za ścianą słychać było równe oddechy moich braci. Oni nie wiedzieli, co to bezsenność. Myślałem o jutrze. Następnego dnia był piątek, pierwszy listopada. Rodzice wybierali się do Bielinka na rodzinne groby, tym razem beze mnie. Miałem własne plany. Nie protestowali. Kilka dni wcześniej powiedziałem im, że zamierzam pojechać na Powązki, by odwiedzić grób pana Zalewskiego. Już od dawna chodziło mi to po głowie. Miałem wyrzuty sumienia, że dotąd nie znalazłem czasu, żeby nawiązać kontakt z Joasią. Często wspominałem tamto lato w Bielinku, mój najgorszy i, jak się później okazało, najgorszy również dla Joasi rok w dotychczasowym życiu. Nasze drogi rozeszły się wówczas i ani ona, ani ja nie przypuszczaliśmy wówczas, że tak się to właśnie ułoży.

Nie widzieliśmy się od pięciu lat. Tyle czasu minęło od śmierci pana Zalewskiego, że aż trudno uwierzyć. Sumienie nie dawało mi spokoju, że nie potrafiłem do tej pory pokonać nieśmiałości i spotkać się z Joasią. Byłem przecież jej dłużnikiem. Wyjechała tej nocy z Bielinka niespodziewanie, a ja nawet do niej nie zadzwoniłem. Byłem chyba solidnie przestraszony. Tak trudno wydusić z siebie kilka słów otuchy dla drugiej osoby. Dlatego postanowiłem, że w tym roku zrobię wszystko, żeby naprawić ten błąd. Chciałem spełnić swój obowiązek, ale przede wszystkim drażyła mnie ciekawość, jak radzi sobie Joasia Zalewska, dziewczyna, która głęboko zapadła w mojej pamięci.

Nie było mi łatwo przyzwyczać się do Warszawy. O tym mieście marzyłem całe lata, a potem, gdy zamieszkałem tu, okazało się, że nie pasuję do tego miejsca. Dziś nie czuję się już tak źle. Dość szybko przyzwyczailem się do nowych kolegów. W pierwszej klasie gimnazjum wołali na mnie

Góral. Kiedy wyszło na jaw, że moi rodzice mają sklep, a mnie można w nim spotkać przy stoisku z warzywami, przewisko się zmieniło. Pewnego dnia jeden z kolegów kupił w naszym sklepie bakłażany. Następnego dnia zaczęto wołać na mnie Bakłażan. Ale to już przeszłość. Chodzę do szkoły, gdzie duży nacisk kładzie się na informatykę. Mimo że przedtem nie miałem własnego komputera, radzę sobie nie najgorzej. Może nawet jestem w grupie najlepszych. Czasami myślę, że to dzięki komputerowi Joasi, przy którym stawiałem pierwsze kroki.

* * *

Powązki tonęły w liściach. Dzień był słoneczny, lecz chłodny, jak zwykle w to święto. Od razu polubiłem to miejsce. Nigdzie indziej historia Polski nie była tak blisko mnie jak właśnie tutaj. Spacerowałem wśród grobów ludzi, o których tylko słyszałem albo o których uczyłem się w szkole, oraz tych, którzy odeszli niedawno, znani z gazet i telewizji. Myśl o śmierci nie zaprzętała jeszcze mojej głowy, ale tu na Powązkach przeszłość czułem szczególnie mocno. Uświadomiłem sobie, że wszystko ma swój kres.

Czas mijał, a Joasia nie przychodziła. Zimno dawało mi się solidnie we znaki. Czyżby moje postanowienie nie miało się dzisiaj spełnić? Przemierzałem ścieżki, którymi ewentualnie mogłaby nadejść, lecz nadaremno. Może jej po prostu nie rozpoznałem i przeszła obok niezauważona, albo wcale nie przyjdzie, a może wyjechała z mamą i bratem do Bielinka na groby dziadków? „To byłby prawdziwy pech” – pomyślałem.

Dostrzegłem ją w chwili, gdy zmarznięty postanowiłem wracać do domu. Była sama. W dzinsowych spodniach, czarnej kurtce, opatulona czerwonym szalem. Skręciła w alejkę, gdzie stałem. Zbliżała się pospiesznie, lekko muskając spojrzeniem mijane groby. Popatrzyła w bok i na chwilę zatrzymała wzrok na mojej twarzy. Już chciałem podbiec, lecz zobaczyłem, że nie reaguje, idzie dalej. Stała przy dużej czarnej płycie, na której jasnymi literami napisane było imię i nazwisko jej taty. Poprawiła ustawione już wcześniej znicze, z kieszeni wyjęła zapalki. Usłyszałem delikatny trzask. Wstążeczka żółtego ognia połyskiwała na końcu patyczka. Czekałem, aż pozapala wszystkie lampki. Nie chciałem jej przestraszyć.

– Czekasz na kogoś? – zapytałem cicho.

Drgnęła. Chyba mnie jednak nie poznała. Uniosła wysoko brwi i coś mruknęła niezbyt wyraźnie. Przez sekundę nasze spojrzenia wreszcie się spotkały.

– Filip? – spytała niepewnie.

– Jednak poznałaś – odpowiedziałem z ulgą.

– No jasne! – Jej głos nic się nie zmienił. Może był odrobinę niższy, ale tak samo ciepły. – Odwiedzasz czyjeś groby?

– Przyszedłem na grób twojego taty.

– To miło. – Uśmiechnęła się. – Jestem tu z mamą i bratem. Pamiętasz Jasia?

– Oczywiście, ale był wtedy bardzo mały.

– No tak – potwierdziła.

Czułem, że jest zakłopotana. Poprawiła szal, a potem zaczęła nerwowo otwierać i zamykać suwak od kurtki.

– Teraz ma sześć lat – mówiła. – Chodzi do przedszkola. Nieżył z niego urwis. A twoi bracia?

– Jacek i Wacek mają dziewięć i dziesięć.

– To tyle, ile mieliśmy my tamtego lata – zauważyła.

– Zgadza się – przytaknąłem.

– Fajnie, że się spotykamy. – Wciąż zmieszana przestępowała z nogi na nogę. – Czekałeś na mnie?

– Czekałem. Już dawno chciałem się z tobą zobaczyć, ale wiesz, jak to jest – tłumaczyłem się nieporadnie.

– Wiem, ja też chciałam, ale jakoś nie wyszło. Tyle się u mnie zmieniło. Nie wiedziałam, czy chciałbyś... – przerwała. – Jakoś nie pasujesz mi do Warszawy. – Uśmiechnęła się. – Wolałabym spotkać cię w Bielinku. Ale to już niemożliwe.

– No tak – przyznałem. – Tego już nie da się załatwić. A ty jesteś tutaj sama? – zapytałem bez sensu. Czułem, że pocał mi się ręce.

– Jestem z mamą i bratem – powtórzyła – ale gdzieś ich zgubiłam. Zmarzłam i nie będę ich dłużej szukać.

– Będą się martwić – zauważyłem.

– Nie, taka była umowa, że w razie czego sama wrócę do domu.

– Odprowadzę cię – szybko zaproponowałem.

– Fajnie, będziemy mogli pogadać.

Zapaliła jeszcze dwie lampki, pozbierała z płyty opadłe liście i

chwileczkę postać milcząca i poważna. A jednak trochę się zmieniła. Spodobała mi się bardziej niż wtedy latem w Bielinku, gdy z wędką jej ojca czekałem na nią nad stawem.

– A więc mieszkanie w Warszawie? – Bardziej stwierdziła, niż spytała.

Wyszliśmy z terenu cmentarza. Na ulicach panował straszny tłok. Musiałem głośno mówić, żeby usłyszała. Zrobiło się ciemno. Światła reflektorów raziły w oczy.

– Wyjechaliśmy niedługo po was.

– Słyszałam od Fabisiowej.

– Byliście w Bielinku w zeszłe wakacje, wiem.

– No właśnie. Ale ciebie nie było.

– Krótco przed wakacjami otworzyliśmy ten sklep. Rodzice mieli mnóstwo pracy. Ja dużo pomagałem. Właściwie całe wakacje przepracowałem w sklepie. W tym roku również. Nawet nie wiesz, ile trzeba w taki sklep włożyć wysiłku, żeby funkcjonował jak należy.

– Domyślam się... i nawet ci trochę zazdroszczę – dodała. – Jak byłam młodsza, bawiłam się w sklep. Wydawało mi się, że to bardzo przyjemne.

– Nie zawsze – przyznałem się. – Ja mam go czasami dość. Nieraz chciałbym wrócić do Bielinka. Tam wszystko było prostsze.

– Tylko nie zawsze szczęśliwsze. – Joasia spuściła oczy.

– Nie mieszkaliśmy tam za długo. – Uśmiechnąłem się, żeby przerwać smutny temat.

– Szybko poszła wam ta przeprowadzka.

– No tak – potwierdziłem. – To stało się rzeczywiście szybko. Mama wróciła do nas na Gwiazdkę. Zarobiła trochę pieniędzy w Niemczech, część dostaliśmy za dom i ziemię w Bielinku. Wystarczyło na mieszkanie i ten sklep. To nie jest wielki sklep – tłumaczyłem. – Ale rodzice są zadowoleni. W każdym razie mama na pewno. Tata też, chociaż tęskni czasami do swojego gospodarstwa.

– Żal ci go? – zapytała.

– Trochę, ale on nie wygląda na nieszczęśliwego. Dostosował się. Chyba bardzo zależy mu na mamie, więc specjalnie nie narzeka. Czasami się odgraża, że na starość wróci do Bielinka. Wierzę mu. Mam przecucie, że kiedyś to zrobi.

– A ja się już przyzwyczaiłam do Warszawy, chociaż nie było łatwo.

Rozmawialiśmy jeszcze długo o tym, co w naszym życiu zaszło przez

ostatnie lata. Co się zmieniło w naszych rodzinach. Wspominaliśmy wspólne wakacje, lato, Bielinek, Dolinę Motyli. Obiecywaliśmy sobie pojechać tam znowu, i spotkać się jak dawniej nad stawem. Mimo pozornej serdeczności czułem, że czas zrobił swoje i dużo trzeba, żeby było między nami jak dawniej.

Stawało się coraz zimniej.

– Może wejdiesz na herbatę? – Joasia zaproponowała, gdy stanęliśmy przed bramą jej domu.

– Muszę wracać.

– Więc pamiętaj, żeby zadzwonić.

– Zadzwonię. Numer telefonu chyba się nie zmienił?

– Numer telefonu jest ten sam, tylko odbiera go najczęściej Jasio. Dzwoni do niego mnóstwo kolegów, więc waruje jak pies przy budzie – dodała. – Ach prawda – jej wzrok złagodniał – dzięki za psa. Jest cudowny. Trochę rozrabiał na początku. No wiesz – uśmiechnęła się – niełatwo przyzwyczać się do mieszkania w bloku, gdy przedtem mieszkało się w Bielinku.

– Jak ją nazwałaś? – zapytałem nieśmiało.

– Nie zmieniłam imienia, nazywa się Kałuża, tak jak chciałeś.

– Fajne imię, nie?

JOASIA ZALEWSKA

Jesteśmy w restauracji, o której mowa w tej części reportażu.

Kręcimy.

Kolejne miesiące zawiedzionych nadziei zaowocowały serią zupełnie nowych obrazów. Malowanie stało się dla mamy czymś w rodzaju terapii. Wyciszyła się i pogodziła z faktem, że tworzy je tylko dla nas i dla siebie. Wystawa w „Filantropie”, która niczego w naszym życiu nie zmieniła, przeszła już do historii. Było oczywiste, że obietnice złożone przez osoby biorące w niej udział nie zostaną dotrzymane, a egzaltowane panie z domu kultury szybko zapomną, że malarskie wizje mojej mamy tak mocno je poruszyły. Trzeba było otrząsnąć się z następnej porażki i normalnie żyć. My z Jasiem mieliśmy przecież własne problemy, czasami nie mniejsze niż kłopoty mamy. W końcu dzieciństwo nie jest wcale takie łatwe, zwłaszcza jeśli w domu brak właściwego wsparcia.

Mama dalej pracowała w banku. Po dwóch latach przełamała swoją niechęć do liczb, nabrała wprawy i wydawało się, że sprawy jakoś się ułożą. Niestety, po pewnym czasie zaczęła chorować. Częściej bywała na zwolnieniach lekarskich niż w pracy. Zresztą nie wyglądała zbyt zdrowo. Niepokoiły mnie jej podkrążone oczy i szklisty wzrok. Twierdziła, że to zatoki, i często chodziła do przychodni. Jednak mimo to wyglądała coraz gorzej.

Nie wspominałam o niczym Marcie. Dość miała własnych kłopotów. Jej tata wyjechał za granicę, a mamę pochłonał kolejny program o zaniedbanych dzieciach. Marta żartowała, że jeszcze trochę, a zaproponuje rodzicom, żeby nagrali program o własnej córce, ponieważ czuje się najbardziej zaniedbywanym dzieckiem na świecie.

Ostatecznie Marta poszła ze mną do zwykłego gimnazjum i pozostała w swoim ognisku. Szkoła baletowa, o której tak marzyła, mieściła się na drugim końcu miasta. To było za daleko, żeby dojeżdżać autobusem. Na rodziców nie mogła liczyć. Mogła liczyć tylko na siebie. Sama musiała radzić sobie z lekcjami, treningiem i bez niczyjej pomocy musiała zdażyć na czas w każde z tych miejsc. Doszłam do wniosku, że życie Marty nie jest

łatwe. Miała chyba gorzej ode mnie. Wprawdzie gdy wracała do domu, czasem czekała na nią dumna z siebie matka, a nie jak u mnie kłębek rozpaczy, ale i tak nie zazdrościłam jej.

Z ledwością godziła obie szkoły. Na taniec poświęcała ostatnio coraz więcej czasu. Dużo ćwiczyła, do tego coraz częściej występowała. Opuszczała lekcje, zawałała sprawdziany, kombinowała na różne sposoby, żeby jakoś wypaść na koniec roku. Coraz rzadziej miałyśmy czas, żeby ze sobą pogadać. Wpadała nieraz na chwilkę, najczęściej po zeszyt albo jakieś zadanie, z którym sobie nie radziła. Chciałam jej wytłumaczyć, jak należy je rozwiązać, ale oczywiście zawsze się spieszyła.

– Joaśka, ja nie mam czasu. – Niecierpliwiła się, gdy wyciągałam długopis i kartkę. – Wpadłam tylko na chwilę, zaraz jadę na próbę. Daj mi odpisać i koniec, i tak nigdy nie będę matematykiem.

– Zobaczysz, kiedyś tego pożałujesz. – Uprzedzałam już chyba setny raz.

– Nie martw się. Jakoś skończę tę szkołę. Później już tylko taniec. – Marzyła z oczami wzniesionymi w niebo.

– Coś ty, a myślisz, że w szkole baletowej nie będzie matmy albo fizy? To przecież normalna szkoła, uczy wszystkiego, nie tylko tańca.

– Daj spokój. – Machała ręką. – Tam liczy się tylko taniec. Innych rzeczy uczą po łebkach. – Łudziła się. – Tyle, żeby jakoś ją skończyć, wystarczy mi to, co umiem.

– A ty coś umiesz? – pytałam złośliwie.

– Mówisz jak mój tata, kiedy zapewniam go, że przejdę do następnej klasy. Zawsze się o to kłócimy. On uważa, że taniec to mrzonki, że trzeba być prawdziwym mistrzem, żeby coś znaczyć w balecie.

– Chyba ma rację. Spójrz na moją mamę. Myślała, że jakoś poradzi sobie, dużo pracując. Nic z tego, potrzebne jest prawdziwe mistrzostwo i talent oczywiście.

– Ależ ja mam talent! – Zapewniała Marta. – A mistrzostwo osiągnę już niedługo. Jeszcze wam wszystkim pokażę.

– Oby. – Kiwałam głową, podając jej zeszyt z gotowymi zadaniami.

Kolejny list do pana Castanellego napisałam dlatego, że nie wiedziałam, co dalej robić. Dużo lepszym angielskim streszczałam mu problemy, które stały na drodze do szczęścia naszej rodziny. W końcu on lepiej ode mnie znał się na malarzach i malowaniu. Mógłby się odezwać i jakoś zaradzić, zrobić coś, żeby ludzie pokochali obrazy mamy. Dlaczego nikt jej nie

rozumie? Napisałam, że prawdziwy artysta potrzebuje pomocy, że bez tej pomocy będzie bardzo źle. Ale cóż to jego mogło obchodzić! Żył sobie gdzieś we Francji, może na Lazurowym Wybrzeżu albo wśród pachnących pól Prowansji, a może nad brzegiem Sekwany, i martwił się o własne terminy, finanse, układy. Nawet nie widział moich listów, bo znikły gdzieś z biurka jego agentów, menedżerów, sekretarek.

– Więc po co do niego piszę? – Zadałam to pytanie Marcie, która właśnie dzwoniła w sprawie kolejnego występu.

– Wymyśliłaś sobie, że to twój ojciec, i męczysz faceta na próżno. To typowy przypadek z programów mojej mamy – powiedziała. – Zagrożone dzieci szukają pomocy w osobach swoich idoli. Licząc na to, że oni i ich styl życia pomogą, w jakiś sposób wpłyną na poprawę ich sytuacji, że stanie się cud i wujek z Ameryki przyśle paczkę z prezentami. – Skwitowała.

– Ja nie chcę żadnej paczki. – Poprawiłam. – Mnie chodzi tylko o mamę. Chcę, aby pomógł jej zrozumieć, że nie każdy może zostać malarzem tylko dlatego, że dużo wie o malarstwie i dużo maluje. Nie chcę żadnej paczki – powtórzyłam. – Chcę, żeby odpisał i potwierdził moje obawy albo żeby powiedział, że jest genialna i utalentowana.

– Przecież ona i tak nie posłucha. Nie znasz swojej mamy? Uparła się, że będzie malarką i koniec. Według mnie nawet sam Castanelli w tym przypadku nie pomoże.

– Więc co ja mam zrobić? Ty nawet nie wiesz, jak ona się męczy, wciąż czekając na cud, na to, że ktoś zadzwoni i zawoła: „Pani obrazy są wspaniałe!”.

– Nie odpowiem ci na to pytanie. – Marta westchnęła. – Naprawdę nie wiem. Chyba nie możesz jej pomóc. Musisz czekać, aż sama zrozumie.

Ale to nie było łatwe. Niepowodzenia artystyczne mamy i jej zmagania z bankowością mogły ją w najbliższym czasie doprowadzić do zguby. Prawie codziennie, po powrocie do domu, nalewała sobie kieliszek wina albo mieszała jakąś wódkę z sokiem.

– Nie mam pieniędzy na fryzjera – odpowiadała, gdy przypominałam jej, że powinna podciąć sobie włosy.

– Idź, jak tylko dostaniesz pensję – proponowałam.

– A potem nie starczy na życie, dziękuję, wolę związać kitkę.

– Nie chcę, żebyś oszczędzała na sobie.

– A na kim mam oszczędzać? Już i tak ledwo dajemy radę – mówiła i

szybko uciekała do kuchni albo do pokoju.

Słyszałam potem, jak płacze albo znów wyciąga z szafki wino.

* * *

Do szkoły chodziłam sama. Marta tańczyła – jak zwykle. Ciekawe, dokąd ją ten taniec doprowadzi? Miałam pełne ręce roboty, bo przepisywanie zeszytów było żmudnym zajęciem. Gimnazjum to nie podstawówka. Chciałam, żeby gdy wróci, miała wszystko gotowe. Mnie to nie przeszkadzało, miałam czas, a zresztą w ten sposób powtarzałam materiał. Dzwoniła do mnie, że wraca do Warszawy w środę, a w sobotę muszę przyjść na jej występ. Przygotowywała się do tego dziewięć dni, na specjalnym zgrupowaniu w górach.

– Wracam dopiero w piątek. Przyjadę ze wszystkimi autobusem.

– Stracisz kolejne cztery dni w szkole.

– Nie ma mnie kto odebrać, zrozum. Tata wyjechał, a mama nie znalazła zastępcy do prowadzenia programu.

– Mogłaby się czasami przejąć twoimi sprawami – nie wytrzymałam – myśli tylko o sobie.

– Przecież nie może odwołać programu.

– Ciągle to powtarzasz. Ale córka to chyba również coś ważnego. Ostatnio nawet nie przychodzi na twoje występy.

– Zna je na pamięć. – Marta próbowała bronić mamy. – Ale ty musisz być na mur. Bez ciebie nie zatańczę, nie zrobię ani kroku. Nie mam szczęścia, gdy ciebie nie ma na sali.

– Trele-morele. – Przedrzeźniałam. – Boisz się, że oprócz mnie nikt na ten występ nie przyjdzie i tyle.

– Zgadza się – potwierdziła. – Będziesz tylko ty. Tata nie może, babcia wyjeżdża, mama ma program.

– Wiedziałam.

– Więc co? Przyjdiesz na pewno?

– Przyjdę i przyprowadzę ze sobą Filipa. – Nagle przyszło mi do głowy.

– Jakiego Filipa?

– Tego z Bielinka, co teraz mieszka w Warszawie. Zawsze chciał ciebie poznać. Dużo mu kiedyś opowiadałam o naszej przyjaźni.

– Pewnie narzekałaś, że cię wykorzystuję.

– Jasne, tylko że wtedy chodziłyśmy do drugiej klasy.

– W drugiej klasie byłam jeszcze prymuską.

– Bo jeszcze nie tańczyłaś. – Przypomniałam. – Szkoda, że wtedy w księgarni poprosiłam o tę książkę. Może zapomniałabyś o balecie.

– To by nic nie dało. Ja już wtedy wiedziałam, co będę robiła. Od urodzenia wiedziałam, że będę tańczyć – wyznała.

Przypomniałam sobie jej taniec na podwórku przed blokiem. Zrobił na mnie wtedy duże wrażenie.

– A ja nie mam zielonego pojęcia, kim kiedyś będę. Chyba powinnam się martwić – wyznałam. – Nic nie przychodzi mi do głowy. Tata chciał, żebym jak on skończyła ekonomię, ale gdy patrzę na mamę, jak bardzo się męczy w tym banku, to nie wiem, co robić.

– Przyjdzie czas i ciebie też oświeci jakaś wizja, zobaczysz. – Marta uspokajała moje sumienie.

– Ale kiedy? Zanim to się stanie, ty już zostaniesz primabaleriną.

– Jeszcze wiele lat ciężkiej pracy przede mną. Ale mam nadzieję, że kiedyś spełni się moje marzenie.

– Życzę ci tego. Tyle trudu nie może pójść na marne. Zobaczymy, jak ci pójdzie w sobotę.

– No właśnie, zobaczymy. – Marta skończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę.

* * *

Zadzwoiłam do Filipa. Od naszego spotkania w listopadzie minęło trochę czasu i jakoś nie było okazji, żeby się spotkać, i nie wiadomo z czyjej winy. Ja nie miałam ochoty wtajemniczać go w nieustające kłopoty mojej mamy, a on widać zapomniał o złożonej obietnicy. Miałam wątpliwości, czy powinnam pierwsza zaproponować spotkanie, lecz w końcu odważyłam się zadzwonić. Ucieszył się. Powiedział, że jeszcze nigdy nie oglądał prawdziwego baletu. Co prawda Marta nie tańczyła w prawdziwym balecie, tylko w ognisku baletowym, ale naprawdę robiła to wspaniale. Zresztą cała grupa ładnie tańczyła. Zawsze byli starannie przygotowani. Nie będzie zawiedziony, na pewno.

Umówiliśmy się przed moim domem. Czekałam przejęta i trochę niepewna, czy wieczór będzie udany czy nie. Mama jak zwykle planowała

kolejny obraz. Niestety, wszystko się kończyło na planach. Ostatnio zupełnie brakowało jej natchnienia. Coraz mniej rozmawiała o swoich kłopotach, coraz więcej milczała. Chodziła późno spać, a potem rano musiałam ją długo budzić, żeby nie spóźniła się do pracy. Czasami obok niej przy łóżku znajdowałam pusty kieliszek. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czy powinnam z nią porozmawiać? Może to coś groźnego?

Filip przyszedł kilka minut przed czasem. Zaprosiłam go do domu na herbatę i otworzyłam pudełko herbatników. Jasiek zjadł wczoraj ostatniego banana, a teraz ostrzył sobie zęby na ciasteczka, które ukryłam przed nim w szafce z kawą. Trzeba go było przywoływać do porządku, bo cały czas przeszkadzał nam w rozmowie i zadawał głupie pytania. Właśnie szykowaliśmy się do wyjścia. Mama szukała parasola.

– Joasiu, weź kurtkę, a Filipowi daj parasol. Pogoda się psuje, może padać.

Zrobiłam niezadowoloną minę. Nie miałam ochoty paradować w spłowiałej kurtce.

– Wystarczy nam parasol. Bardzo lubię wiosenny deszcz.

– Jest dopiero kwiecień. Wieczory są jeszcze zimne.

Nie chciałam pogarszać sprawy i przy Filipie kłócić się z mamą. Posłusznie włożyłam niebieską kurtkę i otworzyłam drzwi. Trzeba uciekać, póki nie wpadnie na lepszy pomysł, i tak z tą kurtką był niezły obciach. W ostatniej chwili zadzwonił telefon. Jakoś tak natrętnie. Poczułam znajome dreszcze. Próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz tak się przestraszyłam. Małe nóżki Jasia przebiegły przedpokój i już rozmawiał z kimś przez telefon.

– Joaśka! – krzyknął. – To do ciebie. – Uniósł słuchawkę ponad głowę i powtórzył: – Dzwoni do ciebie Marty mama.

Wzięłam słuchawkę do ręki i wiedziałam, przypomniało mi się w jednej chwili. Po drugiej stronie usłyszałam płacz i zrozpaczony głos pani Morańskiej. Dopiero po chwili zrozumiałam, co do mnie mówi.

– Marta jest w szpitalu. Występu nie będzie.

FILIP MICHALAK

*Spacerujemy nad potokiem, Po drugiej stronie widać dach jego domu.
Przed domem jakaś kobieta i chłopiec. Filip rozgląda się, mówi spokojnie.*

Nie widać poprzedniego zdenerwowania.

*Ciemne włosy opadają mu na czoło, odgarnia je szybkim ruchem ręki i
za każdym razem spogląda na dom Zalewskich, jakby na kogoś czekał.*

Kręcimy.

To przykra sprawa, ale wypadek Marty sprawił, że moja znajomość z Joašką zaczęła się przekształcać w prawdziwą przyjaźń. Widywałem ją niemal codziennie. Pierwsze dni po wypadku chodziła co dzień do szpitala. Towarzyszyłem jej w miarę możliwości. To była taka dziwna sytuacja, z jednej strony nie mogłem udawać, że nic się nie stało, bo chciałem jej pomóc przetrwać najgorsze chwile, z drugiej bałem się, żeby nie być natrętem. Dreptałem obok nieporadnie, zabawiając ją swoją wątpliwą elokwencją. Znosiła to dzielnie i czasem, choć rzadko, posyłała mi uśmiech. Nie mogła wykrzesać z siebie nic więcej, bo sytuacja z Martą nie wyglądała różowo – miała uszkodzony kręgosłup. Stało się to w czasie skoku do wody. Poszła z koleżankami na basen i chciała tylko spróbować. Skoczyła w złym miejscu, tam gdzie głębokość nie była odpowiednia, i uderzyła o dno.

Lekarze nie potrafili dokładnie określić rozmiarów uszkodzeń, Marta nie odzyskała jeszcze przytomności. Wszyscy czekali w napięciu na rozwój sytuacji. Trudno było na czym innym skupić uwagę. Sprawdzian gonił sprawdzian, a zmobilizować się było trudno. Chodziłem do szkoły, uczyłem się wieczorami, ile potrafiłem, a w przerwach biegałem za Joašką. Kiedy kolejny dzień nie przyniósł dobrych wiadomości, pograżaliśmy się w smutku, a każdy choć cień nadziei dodawał nam skrzydeł.

W szpitalu rozmawialiśmy ze sobą niewiele. Joaška była milcząca, a ja nie wiedziałem, czy wypada paplać bez końca o głupstwach. „A może wypada ! – pomyślałem. – Może nawet trzeba coś mówić, żeby nie stracić wiary w to, że będzie dobrze”. Wiedziałem, że dopóki stan Marty się nie poprawi, dopóty na uśmiech Joaški nie ma co liczyć. Marta była dla niej osobą bardzo bliską. „To głupie – pomyślałem wtedy – że los zbliża nas ze

sobą, to znaczy mnie i Joaśkę, w najtrudniejszych chwilach życia, jakby robił to specjalnie. A my jakoś do siebie trafiamy... Być może, jesteśmy stworzeni dla siebie". Trzeba to wziąć pod uwagę.

Nic nas nie cieszyło, ani wiosna, która zjawiała się piękna i kolorowa, ani zbliżające się wakacje. Dla nas niebo było ciągle zachmurzone. Pomyślałem, że będę później żałował tej wiosny i tego, że przegapiłem jej kolejne wcielenie. Dlatego czasem kupiłem bukietek fiołków albo żonkili, taki z domowego ogródka, bo tylko one przypominały mi wiosnę w Bielinku.

– Wywąchasz cały zapach – żartowałem, widząc, jak Joaśka trzyma je cały czas przy twarzy.

– Tak ma być – tłumaczyła. – Robię sobie zapasy.

– Pamiętasz fiołki w Bielinku?

– Całe kobierce za starą stodołą. – Rozmarzona zamknęła oczy. – Chodziłam po nich boso. Mama krzyczała, że ugryzie mnie pszczoła, ale nie słuchałam. Wydawało mi się, że to grzech chodzić po nich butami.

– Nasze od lat kwitły koło studni.

– Mielście studnię? Nie pamiętam.

– Taką nieużywaną. Latem zarastała chwastami, a w kwietniu kwitły obok fiołki, ciemnoniebieskie i zupełnie białe. Tęsknisz za Bielinkiem czasami?

– Bez przerwy o nim myślę. – Spojrzała mi w oczy. – Tylko tam byłam szczęśliwa. Miałam wtedy prawdziwą rodzinę i żył mój tata. Niczym się nie przejmowałam. A teraz jedno zmartwienie goni drugie. Mam kilkanaście lat, a czuję się jak staruszka. Aż boję się myśleć, co dalej. Żeby chociaż Marcie się poprawiło. To dla mnie teraz najważniejsze.

Marta odzyskała przytomność po dwóch tygodniach. Radość była niesłychana. Otworzyła oczy i powiedziała, że ma ochotę na malinowe lody. Kamień, który spadł z naszych serc, można by porównać do olbrzymiego meteorytu. Lekarze cieszyli się, że pamiętała wszystkie szczegóły ze swojego życia, bo to znaczyło, że nie doszło do uszkodzenia mózgu. Niestety, dały o sobie znać inne sprawy. Istniało zagrożenie, że Marta jeszcze długo nie będzie mogła chodzić, ponieważ przy uderzeniu nastąpiło naruszenie kręgosłupa. Nawet jeżeli złamania dobrze się zrosną, a intensywne ćwiczenia pozwolą jej kiedyś chodzić, już nigdy nie odzyska poprzedniej sprawności fizycznej.

– A co z baletem? – zapytałem głośno. – Czy kiedyś będzie mogła

tańczyć?

Lekarz zrobił zdziwioną minę.

– To ona była baletnicą?

– I to jeszcze jaką! – krzyknęła Joasia. – Prawdziwą primabaleriną.

Lekarz nic nie odpowiedział, tylko pokiwał głową i odszedł korytarzem w kierunku windy. Niepotrzebna nam była odpowiedź. Czuliśmy, że wszystko jest już przesądzone.

A więc życie uratowane, ale marzenia pogrzebane.

JOASIA ZALEWSKA

Skręca nerwowo frędzle przy obrusie.

Na talerzyku nietknięty sernik.

Herbata pokryła się błyszczącym nalotem. Kręcimy.

Mama straciła pracę. Powiedziała tylko dwa słowa: „Straciłam pracę”. Zamknęła się w sypialni i cały dzień nie wychodziła. Dopiero nocą, gdy udawałam, że śpię, usłyszałam, jak się krząta w kuchni i robi herbatę. Przez cały tydzień siedziała w domu i nie chciała nawet ze mną rozmawiać. Byłam wciąż zrozpaczona chorobą Marty, jeszcze nie potrafiłam pogodzić się z jej kalectwem, a tu pojawiły się kolejne problemy. Kończyły się pieniądze. Sprawdziłam, na koncie nie mieliśmy już ani grosza.

Pani Morańska poprosiła, żebym przyszła wieczorem do Marty. Chciała na chwilę wyjść z domu, a nie miała jej z kim zostawić. Pobiegłam na spacer z Kałużą, bo od rana nikt jej nie wyprowadzał, a potem zrobiłam Jasiowi kolację. Nic takiego, sadzone jajko, ostatnie, jakie znalazłam w lodówce. Na szczęście Jasiak lubił jajka i dlatego nie marudził. Potem włączyłam telewizor.

– Bądź grzeczny i nie denerwuj mamy – przestrzegałam. – Wrócę za godzinę, to pogramy na komputerze – obiecałam.

– I dasz mi się ograć, tak jak wczoraj? Wczoraj znowu byłem od ciebie lepszy.

– Obiecuję, że dam ci się ograć, tylko nie rozrabiaj, gdy mnie nie będzie.

Martę zastałam na wózku. Dopiero od kilku dni mogła siedzieć. Po zdjęciu gipsu przeszła wiele dni intensywnej rehabilitacji, teraz ćwiczyła tylko dwa razy dziennie. Jeden raz z rehabilitantem, który przyjeżdżał do niej rano, i drugi raz z tatą albo z mamą, wieczorem.

– Przyniosłam ci kilka płyt, o które prosiłaś. – Wyjęłam z plecaka płaskie pudełko.

Marta milczała. Widziałam tylko jej plecy i głowę odwróconą w kierunku okna. Była chuda jak patyk. Drobne ręce z kościstymi łokciami wystawały poza oparcie wózka, prawie zwisały. Nie mogłam na to patrzeć. Gardło ścisnął mi żal, ale przecież nie wolno było płakać. Nie teraz.

Wiedziałam, że muszę być silna i zachowywać się tak, jakby to mnie wcale nie wzruszało. Tak powiedziała pani Morańska w trakcie ostatniej wizyty w naszym domu. Tylko jak miałam to zrobić, gdy ona tak strasznie wyglądała? Nogi jakby martwe, ustawione obok siebie, zupełnie bez życia, jak kłody. A przecież jeszcze niedawno tańczyły, co ja mówię, niemal fruwały z lekkością skrzydeł motyla, a ręce, zwinnie i miękko układały się w kształty piruetów, głowa wysoko uniesiona, plecy jak deska do prasowania. Myślałam, że pęknie mi serce. Na ostatnim występie Marty, tym, na którym tańczyła hiszpański balet, zazdrościłam jej z całej duszy. Miała na sobie malinową sukienkę, która uwydatniała każdą figurę tańca. U dołu sukienki była tylko jedna mała falbanka, a w pasie czarny koronkowy szal. Marta tańczyła boso, biegając po scenie raz w jedną, raz w drugą stronę. Ta mała falbanka trzepotała rozpaczliwie jak kwiat szarpany porywami wiatru i zdawało się, że za chwilę oderwie się od sukienki i spadnie na podłogę. Wpatrywałam się w tę falbankę i zobaczyłam, że podobna jest do kwiatów malowanych przez moją mamę, tak samo postrzępiona, rozedrgana, oszalała, niewiedząca, w którą stronę odfrunąć, w tę czy w tę, a w połączeniu z czernią szala wydawała się cudowna i jednocześnie upiorna. Wróciłam myślami do tamtego tańca i do tamtych skojarzeń. Czy to możliwe, że Marta już nigdy nie będzie mogła zatańczyć?

Rzucając na ziemię swój plecak, głośno i niechlujnie, dałam jej odczuć swoją obojętność wobec stanu, w jakim się znajdowała.

– Puścić jakąś muzykę? – zapytałam, trzaskając głośno drzwiami od kuchni. – A może zrobić ci herbaty, bo ja chętnie się napiję?

– Nie chce mi się pić – powiedziała. – Jadłam przed chwilą kolację. Ale zrób sobie, jeśli masz ochotę, i nastaw coś swojego, moje płyty już mi się znudziły. A pamiętałaś o książce? – zapytała jakoś bezdźwięcznie. To nie był jej głos, to był głos zdruzgotanego człowieka.

– Książkę przyniosę jutro. Jeszcze jej nie przeczytałam. Filip przyniósł ją dopiero wczoraj przed południem.

– Jutro się z nim zobaczę – powiedziała Marta. – Obiecał, że do mnie wpadnie. Za kilka dni wyjeżdża na wakacje – mruknęła, odwracając twarz w moją stronę. – Wspominał, że chce pojechać na kilka dni do Bielinka.

– Tak, słyszałam i bardzo mu zazdroszczę – wyznałam.

– A wy nie wybieracie się tam?

– Chyba nic z tego nie wyjdzie. – Próbowałam przybrać obojętny ton. –

Mama mówi, że na wyjazd nie mamy pieniędzy.

– To przesądzone? – zapytała zmartwiona.

– Raczej tak. Od kilku dni mama nie chodzi do pracy. Chyba ją zwolnili.

– Przyznałam się w końcu, choć bardzo było mi wstyd. – Nawet nie wiem dlaczego, nic nie mówi. Zachowuje się, jakby wszystko miała gdzieś. Nie wiem, z czego będziemy żyć. Aha – dodałam – i przestała malować.

– Zupełnie?

– Zupełne – potwierdziłam.

– Jak to możliwe, przecież tak bardzo chciała!

– Zmęczyła się. W końcu ile można próbować?

– Ja nigdy nie przestanę tańczyć – oświadczyła. – Jak tylko stanę na nogi, zacznę wszystko od początku. Żeby tylko te moje nogi chciały się lepiej ruszać. – Uderzyła dłońmi w kolana. – Są jak drewniane kłody, do niczego się nie nadają.

– Jeszcze za wcześnie – próbowałam powiedzieć całkiem naturalnie, podczas gdy kroiliam włoską babkę, którą pani Morańska zostawiła dla nas na półmisku. – Niech się wszystko dobrze wygoi. – Oblizywałam palce z lukru, co pomogło mi ukryć drżenie głosu. – Zanim się obejrzysz, znów zaczniesz biegać.

– Mam nadzieję. – Marta uśmiechnęła się. – Wierzę, że wszystko jakoś się ułoży. Tylko mamy mi żal. Zadręcza się wyrzutami sumienia i zrezygnowała ze swojego programu.

– Odeszła z telewizji? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Nie odeszła, tylko wzięła sobie bezpłatny urlop. Chce się mną opiekować. Twierdzi, że to wszystko jej wina, bo nigdy nie miała dla mnie czasu. Ciągłe powtarza, że gdyby odebrała mnie wcześniej, to nic by mi się nie stało. Wprost się zadręcza. Teraz postanowiła zająć się moją rehabilitacją.

– I co ty na to? – zapytałam.

– A co ja mogę? Bez niej jestem zerem.

– A jakaś opiekunka albo pielęgniarka? Nie znam się na tym – tłumaczyłam – ale może warto spróbować?

– Mama nie chce o tym słyszeć. Tak postanowiła i koniec. Zresztą to mi odpowiada. Wreszcie będę się mogła nią nacieszyć. – Wzięła jednak do ręki talerzyk z ciastem i próbowała jeść. – To przykre, że dopiero przez wypadek odzyskałam mamę.

– Jestem ciekawa – zamyśliłam się – co ja powinnam zrobić, żeby odzyskać swoją?

– Wygrać w totolotka i wybudować dla niej salę, w której urządzi galerię obrazów. – Marta uśmiechnęła się ponownie, tym razem naprawdę szczerze.

Wróciłam do domu przed ósmą. Już z dołu usłyszałam głos Jaśka. Drzwi do mieszkania były otwarte, a on siedział na podłodze i płakał.

– Mama zostawiła mnie samego w domu i wyszła. – Tarł pięściami oczy i nie dał mi dojść do słowa. W końcu trochę się uspokoił.

– Ale dlaczego tak wrzeszczysz? – Próbowałam się czegoś dowiedzieć. – Przecież nieraz zostawałeś w domu sam.

– Mama zabrała moje oszczędności. Powiedziała, że są jej potrzebne, a ja wiem, że już mi nie odda! – krzyczał jeszcze głośniej.

– Odda ci, odda. – Uspokajałam. – Jak tylko dostaniemy rentę, to ci odda.

– Nieprawda, tych, które wzięła przed Gwiazdką, też mi nie oddała, a Maciek miał mi kupić FIFA.

– Co to jest FIFA? – Wystraszyłam się, że Jaśkowi wraca stara wada wymowy.

– FIFA to taka gra komputerowa, o piłce nożnej.

– Obejdiesz się bez gry, jesteś za mały. – Podniosłam go z podłogi. – Są rzeczy ważniejsze niż jakaś tam FIFA – powiedziałam ze złością.

– Pewnie, pewnie – przedrzeźniał – na przykład lekarstwa dla mamy i wódeczka. – Stroił małpie miny.

– Nie opowiadaj głupstw! – ryknęłam wściekła.

– Wcale to nie są głupstwa. – Próbował się bronić. – Zobacz pod łóżko. U mamy pod łóżkiem stoi dużo butelek.

Byłam zdruzgotana. A więc zauważył. W końcu wszystko się wydało. Jak mu to wytłumaczyć, jak bronić mamy i jej zawiedzionych nadziei? Kogo poprosić o pomoc? Czułam się bezsilna i coraz bardziej przerażona.

Czekałam na mamę całą noc. Drzemałam pod drzwiami w korytarzu, żeby nie przespać jej powrotu. Mama chodziła jak kot, prawie bezszelestnie, jakby zastanawiała się nad każdym krokiem, jakby się wahała, czy iść dalej czy zatrzymać się w miejscu. Usiadłam w korytarzu naprzeciwko drzwi. Jak otworzy, to zobaczy, że czekam, że jestem tu, pod drzwiami, jak wierny piesek, i niech się przede mną wytłumaczy. Bardzo chciałam z nią porozmawiać i zrozumieć. Byłam wściekła.

– Co robisz o tej porze pod drzwiami, dlaczego nie jesteś w łóżku? – powiedziała ostro. Rzadko jej się zdarzało tak podnosić głos.

– Czekam na ciebie, mamo. – Postanowiłam, że nie pozbędzie się mnie tak szybko. – Martwiłam się.

– Byłam u znajomych – burknęła na odczepkę. – Idź spać, ja też się kładę.

– Dobrze się czujesz? – Widziałam jej napuchniętą twarz i skaleczony policzek.

– Nic mi nie jest. – Oparła się o ścianę i stała bez ruchu. – Trochę kręci mi się w głowie.

– Pomogę ci. – Wyciągnęłam rękę.

– Idź – syknęła przez zęby. – Idź i zostaw mnie w spokoju.

– Jak położysz się do łóżka, to cię zostawię. – Stałam uparcie obok. – Ale przedtem się rozbierz, bo masz brudną sukienkę.

– Sama sobie poradzę, daj mi spokój! – warknęła. – Nic ci do mojej sukienki, rozumiesz?! – Wbiła wzrok w podłogę i stała dalej.

– Nie możesz iść, nie masz siły i zobacz, jak wyglądasz! – Straciłam panowanie nad sobą i krzyknęłam: – Coś ty, mamo, robiła?! – Ten krzyk już dawno miałam w sercu. – Naprawdę jesteś taka nieszczęśliwa? Tak ci ciężko, tak ci z nami źle, że musisz się upijać? Mamo!

A ona podniosła głowę i powoli, jakby w zwolnionym tempie, otworzyła oczy, a potem znowu je zamknęła.

– Tata mówił mi, kiedy jeszcze żył, że nie czujesz się wolna. Czy to prawda? Odpowiedz! Czy to, co nam teraz robisz, jest twoją wolnością, o której marzyłaś? Czy takiej wolności ci brakowało?

Mama kiwała się na palcach raz do przodu, raz do tyłu i nie odpowiedziała. Milczała i milczała, nawet nie wiem, czy cokolwiek słyszała z tego, co do niej mówiłam. Potem złapała się za głowę, zgięła w pół i wymamrotała:

– Muszę iść do łazienki.

Usłyszałam po chwili, jak wymiotuje.

* * *

Mama rano bardzo długo spała. Kiedy weszłam do łazienki, po nocnym kataklizmie nie zostało śladu. Była sobota, dzień wolny, kiedyś nasz

ulubiony, a teraz przeklęty dzień. Snuliśmy się z Jaśkiem po domu markotni.

– Kiedy mama wstanie? – pytał co dziesięć minut, jakbym była wszechwiedząca.

– Nie mam pojęcia, ale chyba nie tak prędko.

– Jak się obudzi, to zapytam ją o pieniądze. Może ich jeszcze nie wydała.

– Wydała – powiedziałam stanowczo.

– Skąd wiesz, powiedziała ci? A na co wydała?

– Nie wiem na co, ale wydała.

– I nie odda?

– Nie, nie odda.

– Szkoda – powiedział i zmartwiony podrapał się w głowę.

* * *

Przez kilka dni miałam nadzieję, że to, co się zdarzyło nocą miało na mamę zbawienny wpływ. Cieszyłam się, patrząc, jak rano rozczesuje swoje lśniące włosy i maluje twarz. Kiedyś robiła to codziennie, ostatnio prawie wcale. Błogi spokój zagościł w moim sercu, bo widok zadbanej mamy upewnił mnie, że najgorsze ma już za sobą. Znowu powyciągała z szafki swoje gazety, oglądała modę, przymierzała stare sukienki, narzekając, że schudła. Zaczęła się interesować własnym wyglądem. Pomyślałam, że to dobry znak, może zdarzy się cud i odzyskam dawną mamę.

Niestety, radość trwała bardzo krótko. Po kilku dniach znowu zaczęły się nocne wypadki trwające do rana, powroty o świcie, podejrzone telefony. Najbardziej bałam się tego, skąd bierze na to pieniądze, bo nie mieliśmy już ani grosza. Co prawda w domu raz po raz pojawiały się jakieś artykuły – kiełbasa, sery, świeży chleb, ale to było tylko zamydlenie oczu. Mama starała się, żeby nie dać mi powodów do narzekania, a potem robiła swoje. Siedziała w domu w ciągu dnia, a na noc znikwała.

Nie potrafiłam się pogodzić z tym i zrozumieć, jak można tak bardzo się zmienić. Była moją kochaną mamą, a jednocześnie kimś okrutnym i zupełnie obcym. Nie poznawałam jej, gdy wracała nad ranem. Ukryta za drzwiami swojego pokoju patrzyłam, jak wkrada się do domu, bosą – bo tak ciszej – dziwnie zmienioną i nieprzytomną. Ta straszna metamorfoza nie mieściła się w mojej głowie. Czułam się samotna i zupełnie bezradna.

Na szczęście Jaś był zbyt mały, żeby coś podejrzewać, miał pretensje do mamy, że z nim nie rozmawia, że ciągle śpi albo siedzi zamknięta w pokoju, ale jego chłopięcy świat miał jeszcze wiele innych uroków. Za to ja umierałam ze strachu. Wyobrażałam sobie różne rzeczy i bałam się, że oprócz ojca stracę również matkę. Tylko tym razem chyba tego nie wytrzymam. Gdyby nie spotkania z Filipem i obowiązki wobec Marty, pewnie bym zwariowała. Bo czy da się wytrzymać, kiedy cały świat się człowiekowi wali, a wszystko, na co w życiu stawiał, okazuje się wielką pomyłką?

Mama marniała w oczach. Schudła okropnie, bo prawie nic nie jadła. Trzęsły jej się ręce i ciągle czegoś szukała. Raz w nocy gdzieś zadzwoniła i zamawiała porcję krewetek. „Mój Boże, po co jej w nocy krewetki? – myślałam. – Przecież ich nie cierpi”. Nic z tego nie rozumiałam. Ale gdy po takim telefonie ktoś cicho zapukał do drzwi, pojęłam grozę sytuacji.

Ukrywałam to przed wszystkimi, przed Martą i Filipem. Było mi wstyd i bałam się, że mamę zamkną w więzieniu, a nas rozdziela, że pewnej nocy otworzą się drzwi i wpadnie do domu zgraja przestępców, żeby się zemścić.

Aż stało się coś i nagle wszystko się zmieniło. W poniedziałek Jasiak nie wrócił na czas ze szkoły. Byłam niespokojna, bo jego wszyscy koledzy bawili się już na podwórku. Szukałam go w szkole i na boisku, zajrzałam do świetlicy internetowej, bez skutku. Kiedy wróciłam do domu, mama jeszcze spała. Obudziłam ją. Długo nie mogła zrozumieć, co do niej mówię, czego chcę. Dopiero gdy zaczęłam płakać i krzyczeć, wyrzucając, że jest okropną matką, że w nosie ma to, co się z nami stanie, i że na pewno ktoś porwał Jasia i zrobi mu krzywdę, ocknęła się i natychmiast wstała. Woda zmyła z niej ślady narkotyku. Zaczęła wydzwaniać po wszystkich znajomych i kolegach. Dowiedziała się, że ktoś widział Jasia, jak wychodzi ze szkoły z jakimś starszym chłopcem. Stałyśmy na balkonie, bo stamtąd widać było całe osiedle, i drżałyśmy ze strachu. Czekaliśmy, modląc się, żeby wreszcie wrócił, żeby nie trzeba było wszczynać alarmu i dzwonić na policję. Mama głośno płakała, mamrocząc słowa pretensji do samej siebie i do życia, które się z nią nie patyczkuje. Obiecała, że jeżeli Jasiak wróci cały i zdrowy, zmieni się.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Jasiak pojawił się koło dziesiątej z winą wymalowaną na twarzy.

– Mamo – szeptał przepraszająco, gdy przytulała go mocno. – Byłem u

nowego kolegi, Bartka. Ma taką świetną grę komputerową. Zaczęliśmy grać i czas tak szybko zleciał.

Jasiek zadowolony, że nie dostał w skórę, radośnie paplał przy kolacji, rozładowując napięcie. Ja milczałam. Nie miałam siły na żadną reakcję. Potem długo nie mogłam zasnąć. Bałam się kolejnego dnia, bałam się wszystkich dni, które były przed nami. Rano, zanim zadzwonił budzik, mama przyszła do mojego pokoju.

– Wiem, jestem okropna – mówiła, nie patrząc mi w oczy. – Muszę się wziąć w garść – oświadczyła. – Pójść do pracy i żyć jak człowiek. – Nerwowo tarła dłonią po oparciu fotela. – Sąsiadka zaproponowała mi pracę w sklepie warzywniczym. Zgodziłam się.

– Jak to? – Nie mogłam uwierzyć. – Chcesz pracować w sklepie? Ty?

– I co z tego? To uczciwa praca, a my potrzebujemy pieniędzy.

– Oczywiście, że uczciwa. – Nie wiedziałam, jak jej wytłumaczyć.

– Filipa rodzice też mają sklep, pracują w nim i to ci nie przeszkadza? – Czuję, że atakuje.

– Ale oni nie skończyli studiów – wydusiłam przerażona.

– Co mi studia pomogą? Do niczego innego się już nie nadaję.

– Jak możesz mówić takie rzeczy? Przecież nawet nie spróbowałaś.

– A bank?

– Nie powinnaś tak szybko się poddawać. Bank ci nie wyszedł, spróbuj czegoś innego – błagałam, patrząc w jej przekrwione oczy i szarą twarz.

– A więc spróbuję, muszę coś zrobić, żeby nie zwariować, choćby to była tylko taka praca – zaakcentowała. – Zaczynam od poniedziałku.

Nic nie mogłam poradzić. Powtarzałam wstrząśnięta: „Moja mama, malarka, kobieta z jaśminem we włosach, z bzem w wazonie, z twarzą anioła, ma ważyć ziemniaki i pakować do woreczków kiszoną kapustę? Czy to jest możliwe?”. Powinnam się cieszyć, że wreszcie chce coś zmienić, pójść do pracy, ustatkować się, ale moje oczy były smutne. Może nie mam racji? Może powinnam być zadowolona, że skończą się wreszcie jej zmartwienia.

* * *

Nieprawdopodobne! Po tylu kłopotach znaleźliśmy się z Jaśkiem w Bielinku. Decyzja o wyjeździe zapadła z dnia na dzień. Nawet nie

przypuszczałam, że sprawy tak się potoczą. Siostra mojej mamy, ciocia Marysia, jest rehabilitantką. Wiedziałam o tym od dawna, ale nie kojarzyłam faktów. Za to skojarzyła je pani Morańska. Dogadały się jakoś i umówiły, że ciocia będzie ćwiczyła z Martą i jednocześnie odpoczywała, a my pojedziemy razem z nimi. W ten sposób udało się nam wyjechać na wymarzone wakacje. Mama została w domu. Wykaraskała się z najgorszego, więc postanowiła odpocząć i rozejrzeć się za nową pracą. Praca w sklepie była ciężka i mało płatna. Nocne wyjścia mamy, o dziwo, się skończyły, a ona sama nabrała chęci do życia. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że stała się lepsza, podobna do tej, którą jeszcze wciąż pamiętałam.

– Może zacznę pod waszą nieobecność malować – powiedziała z błyskiem w oku. – Mam kilka dobrych pomysłów. W końcu mogę to robić dla przyjemności. Nie muszę koniecznie na tym zarobić.

* * *

W Bielinku prawdziwa sielanka. Fabisiowa dokładnie posprzątała dom i zaopatrzyła w najpotrzebniejsze rzeczy. Zresztą z zaopatrzeniem nie było kłopotu, bo pani Morańska cały czas dbała o to, żebyśmy mieli wszystko, czego potrzeba. Ciocia Marysia, bywająca w Bielinku niezbyt często, odkryła jego uroki i już po kilku dniach zaprosiła do nas Kubę, kolejnego narzeczonego. Nie wiem już sama, który to narzeczony, piąty czy szósty, a może nawet siódmy. Jakoś dotychczas nie mogła się na żadnego zdecydować. Może i ten nie przyjmie się na stałe.

Dom pod lasem wypełnił się ludźmi po same brzegi. Nie pamiętam go takiego. Nawet w najlepszych czasach było w nim spokojnie i cicho. Teraz po ogrodzie biegały obce dzieci, nowi koledzy Jaśka, przyjechał narzeczony cioci Marysi i pan Morański, ale tylko na kilka dni, bo spieszył się do pracy. Potem przyjechał Filip, jego bracia i mama. Wszyscy stęsknieni i szczęśliwi, że znaleźli się nareszcie w najcudowniejszym miejscu na ziemi.

Bielinek zmienił się bardzo pod wpływem tego, co się w nim działo. To nie był całkiem mój Bielinek – taki, jak zapamiętałam z poprzednich lat. Wydawał mi się dużo mniejszy i jakiś zabiedzony. Nic dziwnego, miał przecież już wiele lat, a ja, będąc małym dzieckiem, nie dostrzegałam jego mankamentów. Nawet kochałam blizny wyryte na jego murach, lubiałam

koślawe ściany, trzeszczące schody i klekoczące w czasie wichury okiennice. To, co mogłoby się wydawać obskurne i stare, było dla mnie największym cudem świata. Może dlatego noszę w sercu wizerunek tego miejsca, żyjąc obrazami zapamiętanymi w dzieciństwie, atmosferą miłości, którą tak wspaniale potrafili stworzyć rodzice.

Mieszkałam w Warszawie, a moja dusza szybowiała niczym motyl kwiecistymi dolinami, moczyła nogi w zimnej wodzie potoku i bosy biegła z Rozalią po zielonej łące, na której kwiaty sięgały do kolan, a słońce znaczyło na ramionach białe ślady podkoszulka. Jeszcze wciąż czułam nad sobą opiekuńcze skrzydła mojego taty, wiedziałam, że nade mną czuwa, że jest obok mnie, szczególnie tam. Czułam, że w każdej chwili przyjdzie mi na pewno z pomocą. Ot, choćby teraz. Wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia. Mama bez pracy, puste konto w banku, niezapłacone rachunki, widmo biedy. A tu nagle przychodzi wybawienie. Pani Morańska spotyka ciocię Marysię i po tygodniu lądujemy w Bielinku.

Mój dom pod lasem, z Martą jako osobą najważniejszą, wyglądał jednak całkiem inaczej. Nie było za wiele czasu, żeby obcować z przyrodą. Tym razem miałam więcej obowiązków. Obiady na kilka osób – połowę dnia spędzałam w kuchni. Potem spacer z Martą, długie i uciążliwe, bo wózek trudno pokonywał pagórkowaty teren, potem podwieczorek, kolacja, ganieanie za Jaśkiem po okolicy i szukanie go po wszystkich domach, jeszcze kąpiel, plan na następny dzień, kilka minut z książką przed spaniem i powieki same opadały.

Do wyjazdu Filipa dni mijały jak szalone. Potem czułyśmy się trochę samotne. Brakowało nam jego towarzystwa. Przed wyjazdem urządziliśmy mu pożegnalny wieczór. Pani Morańska upiekła tort, a na kolację przywiozła z miasteczka pizzę. Za domem zrobiliśmy ognisko. W złotym świetle ognia patrzyłam na drgające w ciepłym powietrzu drobne listki miłorzębu. Cieszyłam się, że mimo wszystko przetrwał najgorsze chwile i żyje. Ilekroć na niego spojrzę, przypomina mi ostatnie chwile z tatą.

Żegnaliśmy się z żalem. Filip wyjeżdżał z samego rana autobusem do Krakowa.

– Zobaczymy się chyba w Warszawie. – Wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie. – Tylko nie zapomnij zadzwonić – upominał.

– Nie zapomnę – obiecałam. – Jak wrócę do domu, na pewno zadzwonię.

– Cieszę się, że Marta trochę wydobrzała i humor ma lepszy – zauważył.

– Ciocia twierdzi, że do końca roku na pewno będzie chodziła.
– Obie tak ciężko pracują. Marta jest uparta i za wszelką cenę próbuje pokonać chorobę.
– Wierzę, że się uda.
– Może na przyszły rok będzie z nami spacerowała bez wózka?
– Może. – Rozmarzyłam się.
– Ale my, obojętnie, co by się stało, chyba o sobie nie zapomnimy? – Spojrzał mi w oczy i speszył się.
– Obiecuję.
– Ja też obiecuję – powtórzył i zobaczyłam mimo ciemności, że się zarumienił.

Sierpień minął jak jedna chwilka. Rzeczywiście u Marty widać było rezultaty zmuśnych ćwiczeń. Coraz częściej opuszczała wózek i kuśtykała o kulach po podwórku. Ciocka Marysia nie próżnowała. Razem z panią Morańska wyciskały z Marty ostatnie poty. Do Warszawy ciocia wróciła pierwsza, bo jej narzeczony wyjeżdżał się za granicę. Chciała odprowadzić go na lotnisko i pomachać na pożegnanie chusteczką. Znając ciocię Marysię, wiem, że będzie to z pewnością pożegnanie na zawsze, bo w ostatnim dniu bardzo się ze sobą kłócili.

Zostało już tylko kilka dni do końca wakacji. Tak trudno było się z tym pogodzić. Myślałam o domu, o kłopotach, które na pewno nie ominą naszego progu, i o szkole. Myślałam o Marcie, o jej nadziejach na powrót do tańca, o nadziejach mojej mamy i kłopotach wychowawczych z Jasiem, których z pewnością nam nie oszczędzi. Czy podołam?

Wracaliśmy do Warszawy. Walizki były spakowane, dom wysprzątnięty, a my pogrążeni w smutku liczyliśmy godziny. Jeszcze tylko jedna noc i następnego dnia rano wyjazd. Od mamy nie było wieści. Od dwóch tygodni milczała. Wiedziałam, że bezskutecznie szuka pracy. Kiedy telefonowała, miała zgaszony głos i zły humor. Dzwoniła rzadko, bo była spokojna o nas i nasze zdrowie. Wiedziała, że zostawiła nas pod dobrą opieką. Miałam nadzieję, że w tym czasie trochę odpoczęła, odrobiła nieprzespane noce, może powzięła jakieś postanowienia.

Myślałam kiedyś, że dorosły człowiek zawsze poradzi sobie z kłopotami, że tylko dzieci są bezradne i zagubione, że tylko one potrzebują opieki. Zawiodłam się na dorosłości.

* * *

Z samego rana na podwórko zajechał duży samochód. Spaliśmy jeszcze, gdy pani Morańska otworzyła drzwi, żeby sprawdzić, kto się kręci koło domu. Wsiadł z niego duży mężczyzna z ogromną teczką. Obszedł dom, przyglądając się murom, płotom, dotykał okien, spoglądał w górę na dach, patrzył w dół na trzy schodki prowadzące z sieni do ogrodu, który mama tak lubiła malować. Mama Marty podeszła do niego i długo rozmawiali. On coś jej zawzięcie tłumaczył, a ona protestowała. Czułam, że szykuje się coś niedobrego. Ubrałam się i wybiegłam z domu. Przed drzwiami stali już wszyscy. Czekaliśmy na progu, bojąc się zapytać. Jaś przytulał się do mojej ręki i ścisnął mocno za łokieć. Marta pierwsza nie wytrzymała.

– Trzeba się dowiedzieć, o co chodzi.

– Joasiu, twoja mama sprzedaje wasz dom. – Usłyszałam po chwili od pani Morańskiej.

– Jak to dom, ten w Warszawie?! – krzyknęłam.

– Nie mieszkanie, tylko dom, wasz dom, ten w Bielinku.

Tego nie zrozumiałam. To trudno było zrozumieć. To nie mogła być prawda, to mógł być tylko sen.

DOKTOR BIELICKI

Wychodzimy ze szpitala, dźwiga ciężką torbę i co chwila mówi komuś dzień dobry. Wyciąga kluczyki do samochodu i otwiera drzwi.

Kręcimy.

Bardzo dobrze pamiętam ten dzień. Był październik. Obchodziłem swoje urodziny i niosłem na oddział tort. Chciałem poczęstować kolegów z pracy, i jakoś zaakcentować ten dzień, żeby po powrocie do domu nie czuć się samotny i niekochany.

Joasia szła wolno szpitalnym korytarzem, właściwie powłóczyła nogami jak stary człowiek. Miała podkrążone oczy i czerwony nos. Chyba płakała. Nie poznała mnie, zresztą nawet na mnie nie spojrzała. Pomyślałem, co mnie to obchodzi. Jesteśmy w szpitalu, tutaj dzieją się różne rzeczy. Choroba, to nie jest coś, co cieszy człowieka. Ta dziewczyna ma swoje kłopoty i koniec. Jednak po chwili, gdy mnie minęła, poczułem się w obowiązku zareagować. Wciąż miałem do siebie pretensję o tamten dzień, o to, że nie potrafiłem uratować jej ojca, że w pewnym sensie zawiodłem ich zaufanie. Zawołałem ją po imieniu. Odwróciła się i zobaczyłem na jej twarzy ulgę.

– Co tutaj robisz, czy coś się stało? – zapytałem.

Kilka minut musiałem ją uspokajać. Na mój widok rozplakała się.

– Szukałam pana w tamtym szpitalu, gdzie umarł tata.

– Zmieniłem pracę dwa lata temu, teraz pracuję tutaj – wyjaśniłem zdziwiony.

– No właśnie, dlatego przyszłam – oznajmiła, wycierając nos rękawem swetra.

– Szukałaś mnie?

– Przepraszam, ale nie znam innego lekarza, znam tylko pana. Nie wiem, kogo mogłabym prosić o pomoc.

– Jesteś chora? – Próbowałem czegoś się dowiedzieć.

– Nie ja – spoważniała. – Moja mama potrzebuje pomocy.

Rozejrzałem się zakłopotany. Mój kolorowy tort nie pasował do sytuacji.

– Wiesz co – powiedziałem – musimy gdzieś spokojnie pogadać.

Poczekaj chwilę, odniosę tylko ciasto i pójdziemy do gabinetu.

Gdy wróciłem, stała w tym samym miejscu. Gabinet znajdował się na końcu korytarza. Poprosiłem, by usiadła przy stole.

– A teraz opowiadaj.

– Źle się dzieje z moją mamą – powiedziała jednym tchem. – Codziennie się upija i chyba bierze narkotyki. Straciła wszystkie pieniądze, te, które dostajemy co miesiąc, i te odłożone na czarną godzinę. Pożycza pieniądze od sąsiadów i znajomych, chce sprzedać nasz dom w Bielinku, dom, który zostawił nam tata. Wraca nad ranem i wcale nie zajmuje się Jasiem. Nie wiem, co teraz robić. Muszę jej pomóc, ale nie wiem jak. Słyszałam, że to można leczyć. Czy pomógłby mi pan? – zapytała żałośnie. – Ja wiem, że tak nie można, że wciążam pana w swoje sprawy. – Chwyciła mnie za fartuch. – Ale czy ja jestem jakimś Hiobem, któremu wszystko zostaje zabrane?

Siedziałem osłupiały. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się coś podobnego. Byłem chirurgiem, a nie toksykologiem. Potrafiłem coś wyciąć albo przyszyć, albo zacerować, skrócić, a nawet przedłużyć. Niestety, nie zajmowałem się leczeniem ludzi uzależnionych, czyli narkomanów czy alkoholików. Jak mogłem jej pomóc?

– Od kiedy masz z mamą takie problemy? – zapytałem, żeby dać sobie czas na odpowiedź, bo jak na razie jej nie znałem.

– Zaczęło się już dawno. Parę razy była poprawa, ale od wakacji jest tragicznie – wyrzuciła z siebie. Wyczułem, że wyznanie tej okropnej prawdy o mamie przyniosło jej ulgę. – W czerwcu mama straciła pracę i przez jakiś czas nigdzie nie wychodziła, nic ją nie interesowało. Zaczęła wtedy pić i robić inne straszne rzeczy. Potem przestała, chciała się poprawić, poszła do pracy – wyrecytowała. – Pojechałam z Jaśkiem do Bielinka. Myślałam, że już nic jej nie grozi, że to już przeszłość. Niestety, kiedy wróciliśmy pod koniec sierpnia, mieszkanie wyglądało jak pijacka speluna.

– Czy ktoś wam pomógł, porozmawiał z nią? Czy jest jakaś dorosła osoba, która mogłaby się tym zająć?

– Pomaga nam pani Morańska. Płaci za nasze obiady w szkole i czasami robi dla nas zakupy, ale sama ma kłopoty. Jest jeszcze ciocia Marysia, ale ona płacze, bo rzucił ją narzeczony, pierwszy, na którym jej zależało. Nie ma do tego głowy. Wpadnie, czasami próbuje dogadać się z mamą, ale bez skutku. Mama nikogo nie słucha i ciągle jest pijana albo połyka pigułki, po których przez kilka godzin śpi, coś majaczy. Jak się ocknie, wychodzi z

domu, po kilku godzinach wraca i jest to samo.

– Zgłosiłaś to gdzieś, swojej wychowawczyni w szkole albo dyrektorowi?

– Boję się. Marta, moja koleżanka, powiedziała, żebym nic nie mówiła, bo zajmie się nami opieka społeczna i zabiorą Jasia do domu dziecka. Nie mówiłam nikomu, a sąsiedzi są na nas obrażeni, bo mama od wszystkich pożyczyła pieniądze, nie płaci czynszu ani za prąd. Naprawdę nie wiem, co mam zrobić. Gdyby żył tata, nie stałoby się to wszystko. Mama nie nauczyła się radzić sobie bez niego, choć to już tyle lat. Muszę to zrobić za niego, ale nie potrafię. – Wzruszyła ramionami. – Pomoże mi pan?

O rany – byłem przerażony – ta mała mnie przecenia. Jestem człowiekiem samotnym, nie mam dzieci ani żony. Miała pecha, że właśnie mnie wybrała na swojego opiekuna. Czy miałem prawo zawieść, odmówić pomocy, gdy już raz nie pomogłem? Próbowałem odpowiedzieć sobie na to pytanie. A może czas zrobić coś naprawdę pożytecznego, coś, czego nie wymusza obowiązek lekarski, ale zwykle ludzkie współczucie?

* * *

Zaprosiła mnie do siebie we wtorek. Miałem duszę na ramieniu, przekraczając próg obcego domu. Zastałem ją spokojną i uśmiechniętą.

– Niech pan wejdzie, nikogo nie ma. Mama wyszła z samego rana, a Jaś jeszcze nie wrócił ze szkoły. Dzisiaj ma lekcje do wieczora.

– Przyniosłem ciasto. – Podałem jej foliową torbę z kawałkiem placka kupionym w cukierni obok.

– Proszę do kuchni – wskazała drzwi – zaparzę herbatę. Pewnie pan zmarzył?

– Tak, na dworze jest bardzo zimno. Z przyjemnością wypiję coś ciepłego.

Patrzyłem, jak zgrabnie radzi sobie z naczyniami, jak starannie ustawia je na stole, przeciera ściereczką, przygląda się, czy czasami nie została na nich jakaś plamka. Potem wyciąga z szafki biały półmisek.

– Słodzi pan czy pije gorzką? – zapytała troskliwie.

– Słodzę.

– Ja też. Bardzo lubię słodyczne. Dobry ten sernik. – Skubnęła kawałek. – Zostawię trochę dla Jasia. – Odłożyła jedną porcję.

– Myślę, że wszystkiego nie zjemy. – Śmiałem się. – Widzę, że dobrze sobie radzisz z domowymi obowiązkami.

– Jakoś się staram. – Uśmiechnęła się. – Kiedyś nic nie umiałam, ale po śmierci taty wszystko się zmieniło.

– Ciężko ci?

– Nie bardzo, już się przyzwyczaiłam. Robię to odruchowo, nie zastanawiam się nawet. To jest jak codzienne mycie się albo odrabianie lekcji.

– A mama co robi?

– Niewiele, czasami gotuje. Robi dobre naleśniki albo ziemniaki ze śmietaną i szczypiorkiem, albo ryż z cukrem i cynamonem. Ale ostatnio przestała robić cokolwiek. Ucieka od nas, a kiedy zjawi się w domu, nie da się z nią rozmawiać. Jest chyba rozczarowana życiem i nieprzystosowana – powiedziała tak, jakby miała za sobą doktorat z psychologii. – Chciałabym jej pomóc, ale nie potrafię. Nie wiem, co trzeba zrobić, żeby stała się taka jak dawniej. Sama potrzebuję pomocy, a nie mam na kogo liczyć.

– To rzeczywiście trudna sytuacja, lecz może jakoś będę mógł pomóc.

– Głupio mi, że wplątałam pana w nasze kłopoty, naprawdę nie miałam kogo o to poprosić. Pamiętałam, że jest pan w porządku, dlatego odważyłam się do pana zwrócić.

– Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, widząc cię w szpitalu. Minęło już kilka lat od tamtej nocy.

– Wtedy chodziło o mojego tatę. – Westchnęła. – A wie pan, że on często mi się śni. Czasami tak prawdziwie, że się budzę i idę sprawdzić, czy nie ma go w łóżku obok mamy. Ostatnio śni mi się też, że pływam po morzu, daleko od lądu, zupełnie sama na lichutkiej łódce. Woda wcieka przez małą dziurkę, a ja nie mogę nadażyć, żeby ją wylać. Łódka napęnia się powoli, więc wołam go, żeby mi pomógł. Wokół mnie tylko woda i woda, nic więcej.

– Nie znoszę takich snów. – Otrząsnąłem się z obrzydzeniem. – Potrafią naprawdę wyprowadzić z równowagi.

– Muszę panu jeszcze coś pokazać. – Podniosła się z krzesła. – Muszę pokazać panu nasz duży pokój. Myślę, że to potrzebne, by zrozumiał pan całą sytuację i przekonał się, że nie przesadzam w sprawie mamy.

Gdy otworzyła drzwi pokoju, pomyślałem, że jestem w piwnicy albo na strychu. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Pod ścianami stały regały, na

środku kanapa i fotele. Reszta pokoju była zastawiona ramami. Obrazy, wszystkie odwrócone tyłem do drzwi, zajmowały pozostałą powierzchnię. Obrazów były dziesiątki, małe, duże, średnie, wszelkie możliwe wielkości.

– Zastanawia się pan, ile jest tych obrazów? – Czytała w moich myślach.

– Ja wiem. Policzyłam. Dwieście trzydzieści cztery.

– Wszystkie malowała twoja mama?

– Wszystkie. – Odwróciła kilka w moją stronę.

Spoglądałem przez chwilę z uwagą.

– Nie znam się na malarstwie, ale wydaje mi się, że nie są złe.

– Kiedyś uważałam, że są beznadziejne, ale myślę, że się myliłam. To piękne obrazy. Trochę szalone i niezrozumiałe, ale gdy się na nie dłużej patrzy, zapadają w pamięć. Niestety, nikomu nie spodobały się na tyle, żeby chciał zaryzykować, a ci, co zdobyli się na ryzyko, szybko zrezygnowali.

– Trzeba je komuś pokazać – zaproponowałem przekonany, że te obrazy coś w sobie mają.

Wtedy Joasia opowiedziała mi o listach do Castanellego. Wysłała ich ponad dwadzieścia. Wszystkie z prośbą o zainteresowanie. Wysłała też kilka obrazów.

– Wszystko na darmo. – Miała zgaszony głos. – Castanelli nie odpowiedział. Ma dość własnych kłopotów, a takich próśb o zainteresowanie pewnie jeszcze więcej.

– Może trzeba było inaczej?

– Ale jak?

– Muszę się nad tym zastanowić. – Podrapałem się w brodę. – Są przecież jakieś sposoby.

– Tylko kto mi pomoże znaleźć taki sposób? Zresztą teraz, kiedy jesteśmy bez pieniędzy, a długi rosną z każdym dniem, zupełnie nie mam do tego głowy. A jest jeszcze Bielinek. Mama zgłosiła go na sprzedaż w jakimś biurze handlu nieruchomościami. Był już nawet jeden kupiec, ale się rozmyślił.

– Dlaczego mama chce sprzedać ten dom?

– Twierdzi, że z nim tylko kłopoty, że przypomina jej tatę, że nas nie stać, że dzięki niemu spłaci wszystkie długi. Serce mi pęka, gdy o tym myślę. Nic już na świecie nie będzie dla mnie ważne, gdy zabraknie Bielinka. Tylko tam w każdej chwili możemy się schronić, a ludzie w Bielinku zawsze przyjdą nam z pomocą i gdy już wszystko zawiedzie, on da

nam oparcie, jestem pewna.

* * *

W ciągu kilku godzin udało mi się załatwić miejsce w szpitalu. Na szczęście pani Zalewska nie broniła się przed przyjęciem pomocy. Widać było, że jest już u kresu sił. Dom zaniedbany, lodówka pusta, chłód, bo oszczędzały, żeby nie płacić wysokich rachunków, brak żarówek, po prostu obraz nędzy i rozpacz. Gdyby nie córka, która w jakiś cudowny sposób dodawała tej norze uroku, można było przypuszczać, że są na samym dnie. Po sprzętach stojących w pokojach widać było, że kiedyś żyły w zbytku i dobrobycie, lecz lata oszczędzania zrobiły swoje. Dopiero tam, w tym zaniedbanym mieszkaniu zrozumiałem, że nie mogę odmówić pomocy.

Po przyjęciu do szpitala stan pani Zalewskiej szybko się poprawił. Konsultacja psychologa wyjaśniła wiele. Okazało się, bo do tego sama się przyznała, że narkotyki zażywała jeszcze przed małżeństwem, na studiach. Pani Zalewska opowiedziała lekarzowi historię swojego życia, według której wyszła z nałogu dzięki mężowi. Poznali się w górach na szlaku. To on zauważył ją przed sobą, jak usiłowała pokonać trasę na Czerwone Wierchy. Pomógł jej wspiąć się na górę i w czasie tej wspinaczki zakochał się. A potem poszło już szybko. Nie wiedział wtedy, że była narkomanką. Nie przyznała się, a on niczego nie zauważył. Był grzecznym chłopcem z dobrego domu, urzekła go jej oryginalność i nadmierna elokwencja. Myślał, że spotkał niezwykłą dziewczynę, którą rozpira energia i fascynuje świat w każdym jego szczególe. Niestety, po pewnym czasie wszystko się wydało, a oryginalność dziewczyny zaczynała stopniowo przechodzić w inne fazy nałogu. Im częściej brała, tym bardziej mu podpadała. W końcu się zorientował. Najpierw wpadł w popłoch i chciał zerwać znajomość, ale szybko zrozumiał, że jest już za późno. Zakochał się i mimo wszystko postanowił nie rezygnować. Namówił ją na leczenie i terapię. Terapia okazała się skuteczna, dziewczyna przez kilka miesięcy wystrzegła się narkotyków. Pan Zalewski nabrał pewności, że najgorsze jest już za nimi, więc gdy skończyli studia, postanowił, że się pobiorą. Po ślubie zabrał ją na wieś do Bielinka i tam, daleko od miasta, próbował uleczyć do końca. Ze swojego uczucia do żony zbudował mur nie do zdobycia i za tym murem schował swoją ukochaną.

Widocznie terapia miłością i Bielinek pomogły. Pani Zalewska zapomniała o narkotykach. Potem urodziła Joasię, po Joasi Jasia. Wydawało się, że zagrożenie minęło. Żyli jak w przysłowiowej bajce, wśród lasów, łąk i kwiatów. Pewnie szczęście trwałoby dalej chronione mocnymi ramionami, gdyby nagle tych ramion nie zabrakło. Przeprowadzka do Warszawy i śmierć pana Zalewskiego zniszczyły ten mur. Zostawił swoją rodzinę nieprzystosowaną i samotną, na świecie pełnym pokus i złych ludzi. Dopóki były pieniądze, dopóty panią Zalewską trzymała nadzieja, że sama da sobie radę. Potem zawiodły plany, rozeszły się pieniądze, a demon nałogu znowu wyszczerzył zęby i wyciągnął po nią swoje szpony. To cud prawdziwy, że nie zniszczył rodziny. Chyba tylko Joasi można zawdzięczać, że rodzina przetrwała. Pani Zalewska opowiedziała mi dokładnie, z jaką cierpliwością córka znosiła jej humory, jak dzielnie dawała sobie radę z brakiem pieniędzy i nigdy nie narzekała.

– Najbardziej żał mi Joasi – powiedziała po tym, jak wróciła do zdrowia. – Nie byłam dla niej dobrą matką – przyznała. – Nie dawałam jej wsparcia, bo sama nigdy nie potrafiłam mocno stąpać po ziemi. Byłam nijaka, ani zimna, ani ciepła, ani wesoła, ani smutna, ani zła, ani dobra, zawsze nijaka, zawsze letnia. Na letniej matce nie można polegać. Joasia musiała radzić sobie sama, bo ja ginęłam. Obecność dzieci przepelniała mnie strachem, a świadomość, że powinnam zapewnić im dobrobyt, zwałała z nóg, więc znów sięgnęłam po narkotyki. Myślałam, że po nich poczuję w sobie większą siłę, że jak za młodu odzyskam chęć do działania. Zaczęłam brać zaraz po pogrzebie męża. Na początku niewiele, tylko dla poprawienia nastroju, tylko wtedy, gdy tęsknota za mężem i bezradność najbardziej dawały mi się we znaki. Ukrywałam się przed Joasią, jak mogłam, ale jestem pewna, że o tym wiedziała, że wyczuła to dawno. Miałam czasami wrażenie, że wszystkiego się domyśla, tylko specjalnie udaje. Narkotyki to było dla niej coś tak nierealnego, istniejącego jakby w zupełnie innym wymiarze, a kojarzenie narkotyków z własną matką musiało bardzo boleć. To był z pewnością wstrząs. A jednak zabiła w sobie tę świadomość. Wymyślała inne przyczyny mojego stanu, byle tylko nie dopuścić tej najgorszej myśli. To jej pomagało zachować nadzieję. Wmówiła sobie, że jestem zmęczona, że muszę odpoczywać w ciągu dnia, bo nocami pracuję. Nie wchodziła nigdy do mojego pokoju, jeżeli nie była pewna, że zastanie mnie w dobrej formie. Nie chciała widzieć swojej matki w niechlujnym stroju, bez makijażu, z

dziwnym wyrazem twarzy, czasami mówiącą od rzeczy. Oszukiwała samą siebie. Nikomu o tym nie wspomniała, postanowiła na swój własny sposób obronić mnie przed światem, tak jak kiedyś usiłował to zrobić jej ojciec. – Pani Zalewska płakała, opowiadając przykre szczegóły ze swego życia. – Zrobiłam jej wielką krzywdę – dodała na koniec. – To ona jest tu prawdziwą ofiarą, nie ja.

JOASIA ZALEWSKA

Spacerujemy między drzewami.

Zupełna cisza. Jest dziesiąta rano. Piękny widok, zarysy gór w oddali, śpiewają ptaki. Kręcimy. Obok biega Kałuża – zaprzyjaźniła się z nami. Idziemy w kierunku drzewa rosnącego koło starej studni. Na łące pasie się tylko jedna krowa. Dobrze i to. Kręcimy.

Dzięki doktorowi Bielickiemu mama trafiła do szpitala. Nawet się nie broniła. Była zbyt słaba, żeby protestować, i zbyt nieszczęśliwa, żeby zrezygnować z pomocy. Już po dwóch dniach wyglądała lepiej. Odwiedzałam ją w każdej wolnej chwili. Jasio musiał w tym czasie radzić sobie sam.

W pierwszym tygodniu swojego pobytu w szpitalu mama o nic nie pytała. Nic jej nie interesowało, nawet my. Dopiero później jakby ocknęła się z letargu. Wtedy zaczął odwiedzać ją psycholog. Powiedział, że już dawno powinna była skorzystać z jego pomocy. Psycholog stwierdził, że mama jest w głębokiej depresji spowodowanej niepowodzeniami życiowymi. Rozmawiał również ze mną. Pytał, czy radzimy sobie bez mamy. Opowiadałam mu o wszystkim, co zdarzyło się ostatnio w domu, o tym, jak zachowywała się mama w ciągu lat, które minęły od śmierci taty, jak usiłowała zostać malarką, jak zawiodła się na swoich marzeniach mimo uporczywości, z którą o to zabiegała. Opowiedziałam mu o wystawie, o pokoju, w którym stoją dwieście trzydzieści cztery obrazy, o długach, o domu w Bielinku, o jego sprzedaży. Przyznałam się również do dwudziestu listów wysłanych przeze mnie do Paryża w nadziei, że wielki Castanelli odezwie się do mamy i zechce uznać jej obrazy za wartościowe. Opowiedziałam mu o tacie, o dzieciństwie, o tym, że przyzwyczał nas do bez troski życia, a potem umarł.

Odwiedzałam mamę codziennie. Początkowo nie chciała ze mną rozmawiać. Miała do mnie żal, że oddałam ją do szpitala. Ale tak było tylko na początku. Kiedy byłam u niej ostatni raz, rozplakała się. Najpierw zasłoniła twarz poduszką i cichutko szlochała, a potem przytuliła mnie i płakałyśmy obydwie. Uspokoila się po kilku minutach i powiedziała:

– Przepraszam, byłam okropną mamą.

Każdego dnia na oddział przychodził do mamy doktor Bielicki. Tylko dzięki niemu trafiła w dobre ręce i miała szansę całkowicie wyzdrowieć. Martwił się o mnie i Jasia. Pytał zawsze, jak dajemy sobie radę, i czasem zabierał na pizzę lub naleśniki do baru. Polubiłam go. Powiedział, że mama tak szybko nie wróci do domu, że musi całkowicie wyzdrowieć, żeby poradzić sobie z problemami, które zastanie. Rozmawialiśmy również o naszym domu w Bielinku. Pytał, gdzie to jest i czy ten dom dawno do nas należy. Chętnie wyjawiałam mu koleje losu naszej rodziny. W miarę jak odsłaniałam te tajemnice, moje policzki robiły się coraz bardziej czerwone. Zawsze gdy powracałam pamięcią do dzieciństwa, dostawałam gorączki.

Bez mamy radziliśmy sobie nie najgorzej. Przecież nawet wtedy, gdy była w domu, nie odczuwaliśmy za bardzo jej obecności. Właściwie to nawet chowała się przed nami. Czasem przychodziła nocą poprawić kołdrę na łóżku Jasia, głaskała go po głowie, dawała buziaczki. Ciekawe, dlaczego robiła to pod osłoną nocy? Czemu nie potrafiła tak normalnie okazać nam uczucia?

Na szczęście pieniądze po tacie przychodziły regularnie na konto i mogliśmy jakoś żyć. Choć nie było tego zbyt wiele, zupełnie wystarczało na podstawowe potrzeby. Tylko te długi, jak gradowe chmury wiszące nad głową, nie pozwalały spać. Czasami wpadał Filip.

– Przywiozłem ci trochę jedzenia od mamy. – Stawiał na stole okazałe siatki.

Ostatnio dostaliśmy paczkę z Bielinka od Fabisiowej. Napiekła nam pysznych rogalik i dorzuciła słoik smalcu i miodu. W tych trudnych dniach nie brakowało obok nas ludzi życzliwych. Gdyby nie ich wsparcie, byłoby nam o wiele trudniej.

* * *

Zbliżały się święta. Na ulicach panował świąteczny nastrój. Wróciłam do domu z zakupami, podgrzałam zupę i zawołałam Jasia. Oglądał coś w telewizji.

– Choć, zobaczysz, jak w tym roku pięknie wygląda plac Zamkowy! – krzyczał wniebogłose. – Pojedziesz ze mną do miasta? – zapytał, gdy usiadłam obok niego na tapczanie. – Chciałbym to zobaczyć. – Zmrużył oczy i z błogim wyrazem twarzy wpatrywał się w ekran.

Pomyślałam, że byłoby warto. To dobry sposób na poprawienie humoru i okazja, żeby się rozejrzeć za jakimiś prezentami.

Następnego dnia chodziliśmy z Jaśkiem po Krakowskim Przedmieściu.

– Kupisz mi coś? – spytał. – Zobacz, ile tu wszystkiego. – Jego oczy lśniły i od świątecznego blasku ulicy, i z emocji.

– Tylko za co? – powiedziałam bezlitośnie. – Nie mam pieniędzy.

– Sprzedajmy jakiś obraz mamy. Może ktoś kupi na świąteczny prezent.

– Coś ty! Nie wolno sprzedawać obrazów, które należą do mamy.

– Ale ona ucieszyłaby się z tego. Zawsze chciała sprzedawać te obrazy, tylko nikt ich nie kupował, dlatego się rozchorowała – próbował mnie przekonać.

Zastanowiłam się. Może ma rację? Ale zaraz pojawiły się wątpliwości.

– Nie wolno tak! Nie mogę stanąć na ulicy i sprzedawać obrazów – tłumaczyłam bratu. – Przyjdzie policja i mnie aresztuje.

– Skąd wiesz?

– Wiem i tyle. – Wzruszyłam ramionami. – Filip powiedział, że jego mama musiała wykupić na ulicy miejsce, żeby otworzyć swój firmowy stragan. Codziennie przychodzi policja i sprawdza, czy ma pozwolenie.

– No właśnie. – Jasiek kiwnął głową. – Sprzedawaj obrazy na straganie pani Michalakowej.

– Ona ma stragan z ozdobami choinkowymi, świeczkami, nie może sprzedawać obrazów.

– Zapytaj, może się zgodzi.

– Mogę zapytać, chociaż jestem pewna, że nic z tego nie wyjdzie.

* * *

Jeszcze tego samego dnia spotkałam się z Martą. Zastałam ją przy odrabianiu zadań domowych. Była w szampańskim humorze.

– Muszę ci zdradzić tajemnicę – szepnęła z radosną miną. – Moja mama jest w ciąży. Będę miała siostrzyczkę. Już wiadomo, że to dziewczynka. No, prawie wiadomo, na siedemdziesiąt procent. Powiedzieli mi dopiero dzisiaj, żeby nie zapeszyć.

– Bardzo się cieszę, zawsze chciałaś mieć rodzeństwo, więc moje gratulacje. Ale mówiąc szczerze, nie ciesz się za bardzo. Posiadanie rodzeństwa to bardzo odpowiedzialne zadanie i cholernie męczące. –

Miałam na myśli własne doświadczenia i przestrogi Filipa.

– Jakoś to wytrzymam – zapewniała. – Myślę sobie, że ta ciąża to moja zasługa.

– Twoja? O ile wiem, to w tej sprawie niewiele miałaś do powiedzenia.

– Mylisz się. Jestem pewna. Gdyby nie mój wypadek i to, że mama siedzi ze mną w domu, nigdy by się na to nie zdecydowali. Mama chce odejść z telewizji. Wyobrażasz to sobie? Powiedziała, że dość ma ciągłej gonitwy. Chce się zająć domem i dziećmi. To znaczy tatą, mną i siostrą, jeżeli to będzie siostra, albo bratem, jeżeli to będzie brat.

– Nie żał mamie takiej dobrej pracy? – zapytałam zdziwiona.

– Ani trochę. Powiedziała, że ma jeden dobry pomysł na ostatni program, który zrobi, a potem z telewizją koniec.

Uśmiechnęłam się tajemniczo. Ja już wiedziałam, o jaki program chodzi. Kilka dni wcześniej rozmawiałam o tym z panią Morańską.

Gdy wpadłam do Marty we wtorek, dowiedziałam się dalszych rewelacji. Otóż Marta odkryła w sobie nowy talent. Zaczęła pisać wiersze. Po kolejnej męczącej serii ćwiczeń oświadczyła, że z tańcem daje sobie spokój, w zamian będzie poetką.

– Już nigdy nie zostanę prawdziwą baletnicą – oświadczyła kategorycznie. – Po pierwsze mam dość fikania nogami, ta rehabilitacja, te codzienne, nudne ćwiczenia wychodzą mi bokiem. Po drugie z takimi nogami – dotknęła swoich chudych łydek – mogę jedynie tańczyć taniec komara. Nie będę sobie wmawiać, że wrócę do zdrowia i zatańczę jak kiedyś – powiedziała rozsądnie, chociaż mnie wydawało się, że ma w oczach łzy. – Nie przyjmą mnie z takimi nogami do żadnego baletu. Ale przecież nie mogę być tylko zwykłą dziewczyną. Chcę zostać w życiu kimś wyjątkowym – odwróciła wzrok – dlatego postanowiłam być poetką. Do pisania wierszy nogi nie będą mi tak bardzo potrzebne – oświadczyła z uśmiechem, choć czułam, że nie jest jej tak bardzo wesoło. Nie znalazłam słów pociechy. Może tylko myśl o rodzeństwie mogła coś pomóc.

* * *

A jednak się udało. Dogadałam się z Filipa mamą. Obiecała, że załatwi pozwolenie na sprzedaż obrazów i dotrzymała słowa. Spośród wszystkich, które były w domu, wybrałam najbardziej nadające się na świąteczne

prezenty. Znalazłam kilka tak kolorowych, że na siłę mogłyby naśladować choinkę. Pierwszego dnia wzięłam pięć. Targałam je w ogromnej siatce, a na plac Zamkowy pojechałam autobusem. Byłam tak zaabsorbowana, że wychodząc z bloku, wpadłam na starszego pana z brodą i prawie go przewróciłam. Spojrzał podejrzliwie, rozcierając obolałe kolano, jakby chciał spytać, czy uciekłam z domu wariatów. Wyglądałam naprawdę nieprzytomnie – włosy rozczochrane, rozpięta kurtka, a pod pachą torba z obrazami.

Obrazy umieściłam na małym stojaku, który pan Michalak odmalował złotą farbą specjalnie dla mnie. Wcześniej ustawiał na nim skrzynki z warzywami, ale teraz nikt by się nie domyślił, do czego kiedyś służył. Pięć obrazów jeden obok drugiego, na złotym stojaku, lekko oproszone sztucznym śniegiem i anielskimi włosami, prezentowało się bardzo wykwintnie, choć może nieco kiczowato. Pan Michalak twierdził, że tylko tym sposobem przyciągniemy do nich ewentualnych kupców, bo ludzie przed świętami patrzą tylko na to, co się błyszczy i świeci. Chciał nawet owinać stojak lampkami choinkowymi, żeby z daleka rzucały się w oczy, ale na to już nie pozwoliłam. Znałam mamę i czułam, że jej by się to na pewno nie podobało.

Usiadłam z boku na małym stołeczku i czekałam. Zmrok zapadł zaraz po trzeciej, na placu Zamkowym zrobiło się jasno od świątecznych światełek. Oglądałam ten bajkowy świat zachwycona, czując się tym razem jego częścią, a nie widzem jak dotychczas. To miało swój niepowtarzalny urok, choć już po godzinie nogi i ręce miałam skostniałe, bo mróz był spory. Pan Michalak biegał co godzina po gorącą herbatę do baru, żebym się nie rozchorowała, ale to pomagało tylko na chwilę. Zmarznięte ręce z trudem utrzymywały szklanekę. Zrozumiałam, że taka praca na powietrzu wcale nie jest przyjemna.

Pan Michalak przez cały czas robił interesy. A to sprzedał kolorowe świece, a to błyszczące bombki, a to inne ozdoby choinkowe. Dlatego jemu było cieplej. Do moich obrazów nikt nie podchodził. Dziwiłam się – czyżby były aż tak złe? Omijano mój stojak z obrazami, już z daleka oceniając, że nie są godne uwagi. Potem zaczął padać śnieg. Wielkie płatki białego puchu spadały na mnie i na obrazy. Zęby szczękały mi z zimna, nogi zdrętwiały, czułam się jak dziewczynka z zapałkami, czekająca na swojego pierwszego klienta, który zechce kupić od niej chociaż jedno pudełko. Ale nic takiego

się nie stało. W powodzi światła i tanich błyskotek nikt nie zwrócił uwagi na piękne obrazy mojej mamy. Ja doceniłam ich urodę dopiero teraz. Zobaczyłam, że na całym placu tylko one były naprawdę coś warte. To mi dodało siły. Zerwałam ze stojaka świecące nitki lamety i odwróciłam go drugą stroną tak, że widać było, jaki jest stary i odrapany. Obrazy ułożyłam w innej kolejności i stanęłam obok nich z głową zadartą do góry. Stałam tak aż do zamknięcia straganu. Pan Michałak pomógł mi zapakować płótna i obiecał przechować do następnego dnia w swoim samochodzie. Nawet chciał wyręczyć mnie nazajutrz w sprzedawaniu, bo chyba było mu mnie żal. Ale się nie zgodziłam.

Do świąt zostały jeszcze trzy tygodnie. Mama powinna wrócić do domu przed samą Wigilią. W szkole było mniej nauki, właściwie nic się nie działo. Codziennie jeździłam na plac Zamkowy pod stragan i czekałam na kupca. Niestety, niczego nie sprzedawałam. „Może to dobrze – myślałam. – W końcu to są obrazy, to jest prawdziwa sztuka!” Nie nadawały się na prezenty pod choinkę, chociaż nie były zbyt drogie. Bałam się, że mama może się na mnie obrazić, że tak nisko cenię jej talent.

Ze straganów zniknęła część ozdób choinkowych i nie było już w czym wybierać. Dopiero wtedy ludzie zaczęli się przyglądać moim obrazom. Czasami obok stojaka zbierała się niemała grupa gapiów. Spoglądali nieufnie na kwieciste pejzaże i wahali się, czy kupić.

Pierwszy obraz sprzedawałam dopiero w piątek. Kupiła go starsza pani. Byłam bardzo przejęta, gdy odliczała pieniądze.

– O, jaka piękna mozaika. – Westchnęła na widok pola tulipanów. – Widziałam podobną w kościele.

Gdyby to mama usłyszała, byłaby zdruzgotana.

– Wezmę ten obrazek dla mojej przyjaciółki, kocha się w takich mozaikach – Uśmiechnęła się i bez ociągania zapłaciła taką cenę, jaka widniała na karteczce przyklejonej do ramy. Odebrałam pieniądze, drżąc z przejęcia, i nie wiedziałam, czy mam się cieszyć czy płakać.

Następny obraz kupiła kobieta dla swojej córki do jej pokoju. Powiedziała, że powiesi go nad biurkiem, bo na obrazie są jakieś dziwne znaki, jakby cyferki. Przy takich cyferkach będzie się córce lepiej uczyć. Te cyferki, jeżeli dobrze pamiętałam, mama namalowała nocą, gdy była pełnia. Malowała wtedy gałęzie jaśminu na tle rozgwieżdżonego nieba. No cóż, wielka jest siła wyobraźni.

Trzecie płótno kupił chłopak swojej dziewczynie, która studiowała malarstwo. Powiedział, że pole maków o wschodzie słońca wygląda jak prawdziwe, a były to, ściślej mówiąc, szpalery fioletowej kapusty na polu Fabisiowej, podrasowane na czerwono. W końcu prawdziwy artysta ma prawo do własnego punktu widzenia.

W przedświąteczną niedzielę na straganie został tylko jeden obraz z tych przeznaczonych do sprzedaży. Łącznie sprzedałam siedem. „To koniec. Tego ostatniego nie sprzedam” – postanowiłam. To był jeden z ładniejszych. Bałam się, że może to jakaś ważna praca i mama nie wybaczy mi, gdy nie znajdzie go wśród pozostałych. Za sprzedane obrazy dostałam sporo pieniędzy, ale na dnie duszy czułam do siebie żal. Nie wiedziałam, czy robię dobrze.

Pakowałam się do domu. Postanowiłam nie przychodzić już tu więcej. Wtedy podeszło do mnie dwóch panów. Zapytali, czy mam jeszcze obrazy na sprzedaż. Przestraszyłam się nie na żarty.

– Czy pani sprzedaje jeszcze obrazy? – zapytał jeden z nich, trochę młodszy i lepiej ubrany.

– Już się skończyły – wyjaśniłam.

– Szkoda – powiedział i odwrócił się. – Ten pan – wskazał palcem – chciałby jeden z nich kupić. Na prezent dla swojej żony – dodał. – Jeden chyba jeszcze został. – Patrzył, jak przyciskałam do siebie ramę.

– Ale ten nie jest na sprzedaż – szybko powiedziałam.

Wtedy zza pleców wychylił się drugi mężczyzna, starszy i jakiś dziwny. Miał wąską twarz i brodę. Już kiedyś gdzieś go widziałam... No tak, to ten pan sprzed bloku. To jego omal nie przewróciłam, gdy wychodziłam z obrazami.

– Chcielibyśmy tylko zobaczyć, jeśli można – kontynuował młodszy. – Ten pan jest wielkim znawcą obrazów.

Zamarłam z przerażenia. A więc zostałam przyłapana. Wiedziałam, że źle się dla mnie skończy to sprzedawanie. Marta uprzedzała, że mogą mnie podejrzewać, że są to obrazy kradzione. Odwijałam powoli papier, układając w myślach, co powiem na swoją obronę.

– Mogę zobaczyć? – Młodszy odebrał ode mnie obraz i pokazał starszemu.

Brodacz spojrział na obraz, potem na mnie, potem na młodszego pana i coś powiedział, kiwając głową. Nic nie rozumiałam, rany! Co teraz ze mną

się stanie? Czy zabiorą mnie do więzienia? A Jaś, co będzie z Jasiem? Zostawiłam go samego w domu...

Wtedy obok mnie jak na zawołanie pojawił się ojciec Filipa.

– Panowie coś sobie życzą? – zapytał, kładąc rękę na moim ramieniu. – Już kończymy sprzedaż i zamykamy stragan – powiedział, żeby było wiadomo, że nie jestem sama.

– Owszem – młodszy natychmiast zareagował. – Jesteśmy zainteresowani tym obrazem – powiedział ostro.

– Ten obraz nie jest na sprzedaż – powtórzyłam. – To obraz na prezent dla mojej mamy.

– My nie jesteśmy z policji – młodszy powiedział nieco łagodniej, bo chyba poczuł, że się boimy. – Proszę się nie obawiać. Ten starszy pan to pan Castanelli. Przyjechał z Paryża i chce się skontaktować z autorką tych obrazów. Czy to ty jesteś Joanna Zalewska? – Spojrzał przyjaźnie, a ja kiwnęłam tylko głową. – Pan Castanelli – kontynuował – postanowił osobiście się potrudzić, żeby zobaczyć obrazy, o których tyle pisałaś.

ZAKOŃCZENIE

Pani Morańska przemyślała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Główny scenariusz powstał na papierze, a potem rozpoczęły się prace w terenie, reportaże, które zgrane w odpowiedniej kolejności miały się ułożyć w całość. Morańska bardzo wzruszała historia Joasi Zalewskiej, dlatego wszystkie dodatkowe elementy, które się pojawiały w trakcie robienia reportażu, upewniały ją, że wybrała odpowiedni temat na swój ostatni program „Życie w toku”. Rozmowy z poszczególnymi osobami nagrywała w takiej kolejności, żeby wyłonić sedno problemu, który chciała w tym programie poruszyć. Po reportażu akcja przeniesie się do studia, w którym zaproszeni goście wraz z bohaterami będą dyskutować na dany temat. Oczywiście druga część programu będzie się odbywać na żywo.

Montaż udało się zakończyć do piątku, W niedzielę o godzinie szesnastej miała się odbyć emisja programu. Do studia zostali zaproszeni jedynie główni bohaterowie. Pozostałe osoby, z którymi nie przeprowadzano wywiadu, lecz tylko pomocnicze rozmowy pomagające we właściwym świetle ukazać postać głównego bohatera, mogły przebieg audycji śledzić na ekranach własnych telewizorów.

* * *

Fabisiowa postawiła na stole szklanę z kawą dla siebie i dla syna. Potem z namaszczaniem włączyła telewizor. Nie mogła uwierzyć, że za chwilę ujrzy w telewizji ukochany Bielinek, swoich sąsiadów i nawet siebie samą. Jeszcze teraz dostaje gęsiej skórki, gdy wspomni, jak pod jej dom zajechała telewizja. Cała wioska zbiegła się, żeby zobaczyć. Ale innych też nie oszczędzono. Byli u Kowalskiego, u Małeckiej, u Szymona Kamieniarza. Pewnie i oni w swoich domach siedzą przed telewizorem, czekając na „Życie w toku”. Przecież oglądali to od lat, każdego miesiąca słuchali, jak obcy ludzie opowiadają historię o czyimś życiu. Dzisiaj zobaczą siebie. To było dla nich prawie tak, jakby któreś z nich wylądowało na Księżycu.

* * *

Maria zdyszana wpadła do domu. O mały włos spóźniłaby się na program. Obiecała siostrze, że na pewno go obejrzy. W końcu to program o rodzinie. W ręce ścisnęła paszport. Wkrótce wyjeżdża za granicę. Kuba zadzwonił na początku czerwca z wiadomością, że dostał pracę i mieszkanie. Kupił nowe meble i czeka. Była taka szczęśliwa. W końcu wszystko jakoś się ułożyło. Małgorzata czuje się dobrze, całkiem wyzdrowiała i dalej maluje. Ten malarz z Paryża kupił połowę jej obrazów i chce je tam wystawić. Jaś z Joasią na wakacje wyjeżdżają jak zwykle do Bielinka. Życie jest piękne!

* * *

Pan Morański podgrzewał mleko. Agatka miała już cztery miesiące i niestęchanie duży apetyt. Gdy była głodna, natychmiast wszczyniała alarm. Pan Morański wolał ją nakarmić zawczasu. Nie chciał przegapić ostatniego programu swojej żony. Pracowała nad nim, dzieląc czas między sprawy służbowe i macierzyństwo. Zanim program powstał, poświęciła wiele wysiłku na zbieranie materiału. Mimo że znała ze szczegółami historię rodziny Zalewskich, chciała, żeby widzowie dobrze wszystko zrozumieli, żeby we właściwy sposób odebrali intencję programu. Morańskiemu temat tej ostatniej audycji też dawał dużo do myślenia, w końcu był jednym z bohaterów. Cieszył się, że Joasia nareszcie wybrnęła z kłopotów, że odzyskała mamę, zdrową i spełnioną, że nadeszły dla jej rodziny lepsze czasy.

* * *

Michalakowie tego dnia nie otworzyli swojego sklepu. Już od rana mieli za to włączony telewizor – na wszelki wypadek, gdyby pomylili godzinę emisji albo, nie daj Boże, telewizja zmieniła godzinę nadania programu. Wiedzieli, że zobaczą syna, znajomych i ukochany Bielinek. Jacek i Wacek z półmiskiem chipsów i butelką coli leżeli na dywanie przed samym ekranem i pilnowali.

* * *

Doktor Bielicki nerwowo skubał ucho. Zły był na siebie, że dał się namówić do udziału w programie. Nie czuł się dobrze przed kamerami i nie był przekonany, czy Joasi potrzebny jest rozgłos i publiczna dyskusja. Nie była stworzona do życia w świetle jupiterów, a to, co przeżyła, wolałaby zamknąć na zawsze w głębokiej niepamięci.

Ostatnie miesiące były dla niego pracowite i przepełnione trudnymi decyzjami. Sprawa z Joasią i panią Zalewską zmieniła nieco jego życiowe plany. Już nie był człowiekiem samotnym. Miał przyszywaną córkę Joasię i odkupiony właśnie dla niej Bielinek.

Siedział na sali, a obok ludzie, których jeszcze dwa lata temu nie znał. Życie wplątało go w ich historię i zastanawiał się często, czy to przypadek czy przeznaczenie. Patrzył na panią Zalewską, jak dzielnie znosi nową sytuację, i cieszył się z jej sukcesu. Obrazy, te same, na które przez lata nikt nawet nie zechciał spojrzeć, od kilku miesięcy zaczęły się świetnie sprzedawać, a ich autorka musiała malować następne.

Bielicki szukał wzrokiem Marty i Filipa. Rozglądał się po sali i dostrzegł ich z lewej strony, w pierwszym rzędzie krzesel. Podobnie jak on mieli niewyraźne miny. Z przodu sali siedzieli ich koledzy ze szkoły, dyrektor, nauczyciele, wszyscy szczęśliwi, że mają okazję wystąpić w telewizji, choć nie bardzo wiedzieli, o czym będą mówić.

W studiu mimo klimatyzacji było strasznie duszno. Pani Morańska, czuwająca nad każdym szczegółem, uwijała się jak w ukropie. Machina ruszyła i było wiadomo, że gdy zapali się czerwone światelko, już niczego nie da się odwołać ani ukryć. Wtedy nie można już popełnić żadnego błędu. Nie można się pomylić, wejść ze złej strony, usiąść na niewłaściwym miejscu. Jeżeli operator nie zauważy na czas czyjegoś potknięcia lub przeoczenia, kamera pokaże wszystko.

Goście programu, a jednocześnie bohaterowie, siedzieli wokół sali na wygodnych fotelach. Przed sobą mieli duży ekran. Na ścianach wisiały obrazy pani Zalewskiej, teraz piękniejsze, oprawione w szerokie ramy. Szalone kwiatowe kompozycje przyciągały wzrok. Na czterech fotelach tuż przed ekranem siedzieli najważniejsi goście: pani Zalewska, Artur Castanelli – znany francuski malarz i profesor oraz starszy pan – krytyk sztuki. Jeden fotel pozostał pusty. To na nim zasiądzie bohater – najważniejsza osoba

programu.

Zaczęło się. Wszyscy czekali na znak. Zapaliło się czerwone światelko i nagle, w absolutnej ciszy, rozległ się aksamitny i spokojny głos pani Morańskiej:

– Dzień dobry państwu. Witam kolejny raz w programie „Życie w toku”. Mam przyjemność zaprosić państwa do obejrzenia czegoś absolutnie niezwykłego. Zastanowimy się wspólnie nad pewnym zjawiskiem społecznym. W czasach, w których tak trudno jest pogodzić sprawy rodzinne i zawodowe, w pogoni za sukcesem, za społecznym uznaniem, zapominamy o tym, co najważniejsze. Dzisiaj opowiem bardzo wzruszającą historię. O jej autentyczności mogę zaświadczyć osobiście, ponieważ i ja w niej uczestniczyłam. Przydarzyła się ona pewnej dziewczynce, którą poznałam kilka lat temu. To wyjątkowa opowieść o niej i jej rodzinie. Zobaczmy więc, a o tym czy jej bohaterka będzie miała prawo zasiąść na honorowym miejscu, zdecydujecie sami. Zanim przedstawię gości których zaprosiłam do studia, zobaczymy przygotowany wcześniej reportaż. A więc zaczynamy.

Na ekranie ukazała się Joasia Zalewska. Stoi w oknie, widać tylko jej prawy profil, jasne włosy ściągnięte czarną gumką i zwinięte w gruby rogalik. Za oknem bloki...

– Pamiętam nasz dom. Stał na zboczach pagórka, pod samym lasem. W tym domu czułam się wolna jak ptak...

* * *

Joasia obserwowała wszystko w poczekalni za główną salą. Miała przed sobą jak na dłoni wszystkich bez wyjątku. Widziała mamę, szczęśliwą i rozpromienioną, w nowej sukience, z włosami pięknie upiętymi na tę okazję. Widziała obok niej jej mistrza i opiekuna, jak skręca palcami swoją brodę i robi dziwne miny do kamery. Widziała Jasia jak wierci się na krześle i ukradkiem dłubie w nosie. Widziała rumieńce na policzkach Marty i zacięty wzrok Filipa. Patrzyła na koleżanki i kolegów ze swojej klasy. Byli wszyscy nikt nie zasnął. Jak ja to wytrzymam? – myślała, spoglądając na fotel na którym będzie musiała usiąść. W kieszeni trzymała ostatni wiersz Marty napisany na kawałku bibułki. Tylko ten wiersz dodawał jej otuchy. – Marta chyba naprawdę zostanie poetką – pomyślała z podziwem i jeszcze raz

przeczytała kilka napisanych słów. Spojrzała na datę w górnym prawym rogu: – Piąty sierpnia... "

* * *

Program dobiegał końca. Rozległy się głośnie oklaski. Kamera najpierw pokazała panią Zalewską, jak ociera ukradkiem łzę, pana doktora, jak szuka czegoś w kieszeni, Martę, bladą i przejętą, uśmiechniętego przewrotnie Filipa, po czym fotel dla głównego bohatera, a następnie drzwi, w których miał się za chwilę ukazać. Rozległ się gong i pani Morańska powiedziała:

– A teraz, proszę państwa, osoba, która tego wszystkiego dokonała, Joasia Zalewska. Oto ona!

Wszyscy wstrzymali oddech. Złote wrota sławy otworzyły się szeroko, kurtyna podskoczyła, rozległ się gong i... , niestety, za tymi drzwiami nikogo nie było.

* * *

Doktor Bielicki jechał samochodem zbyt szybko. Wjeżdżając do Bielinka, odruchowo hamował. W tym miejscu czasami bawiły się dzieci. Lecz było zbyt wcześnie. Minał drogę przez malinowe pola, przejechał obok sklepu i kościoła. Wstawał dzień. Za wzgórzami majaczyła mglista poświata zwiastująca poranek, turkusowa szarość, po której trudno było poznać, jaka będzie pogoda. Ale niebo było czyste. Tylko delikatne, postrzępione smugi chmur odpływały jak łabędzie po tafli nieba gdzieś na północ. Przez otwarte okno wpadał do samochodu ostry zapach poranka. Wieś chyba jeszcze spała, choć zazwyczaj o tej porze rolnicy zaczynali żniwować.

Zatrzymał się na poboczu drogi. Dalej poszedł piechotą. W nieruchomym powietrzu wszystko jakby zamarło, jakby ktoś wcisnął dla świata pauzę. „A może to mi się tylko śni?” – pomyślał. Sytuacja było niezwykła. Rozejrzał się zdziwiony. Nawet najmniejszy szelest nie mącił panującej ciszy. W domu pod lasem nikogo nie zastał. Jeszcze raz sprawdził wiadomość na komórce: „Musi pan zdażyć przed świtem – Joanna”.

Bielicki biegł szybko w kierunku Doliny Motyli. Nie znał dokładnie drogi, ale opadające zbocze, na którym stał dom, prowadziło go prosto do celu. Sam nie wiedział, czego ma szukać i na co czekać. Przez moment

pomyślał, że zwariował. Dorosły facet, a dał się nabrać na taką historię. Zwątpił i zatrzymał się zaskoczony tą myślą. „Co ja tu robię? – Przestraszył się. – To jakieś szaleństwo!” Spojrzał na samo dno doliny. Zobaczył ich. Byli tam prawie wszyscy. Stali jak zaczarowani, spoglądając w tym samym kierunku. Bielicki wyteżył wzrok, lecz jeszcze niczego szczególnego nie dostrzegł. I nagle ten dźwięk, najpierw bardzo cichy, jakby lekki wiatr poruszył liśćmi na drzewie. Wydawało mu się, że słyszy też śpiew, dziwną melodię, a może czyjeś westchnienie. Z oddali z samego ujścia doliny, tam gdzie otwierał się zakręt, ujrzał nadpływającą mgłę, która zbliżając się, migotała dziwnym światłem. Nad głowami zgromadzonych i nad całą łąką unosił się śnieżny całun motyli. Nadlatywały ze wschodu, razem z promieniami wschodzącego słońca. Szeleściły tak lekko jak spadające na ziemię drobne kawałki papieru. Rozsiadły się, zamieniając trawę w iskrzący śnieg.

Joasia stała trochę wyżej na małym pagórku. Obok niej Filip. Bielicki zobaczył, że trzymają się za ręce. Oplotła ich biała chmura. Zataczała duży krąg wokół ich głów, taki wianek z motyli. Z tej chmury oderwał się nagle jeden nieco większy i bielszy od innych i opadł na ramię Joasi. Dziewczyna wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Motyl uniósł się po chwili, zatrzepotał skrzydłami i zanim zdążyła coś zrozumieć, odleciał. A ona stała jak skamieniała i bała się ruszyć, i bała się pomyśleć, że to niemożliwe.